ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXI.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.

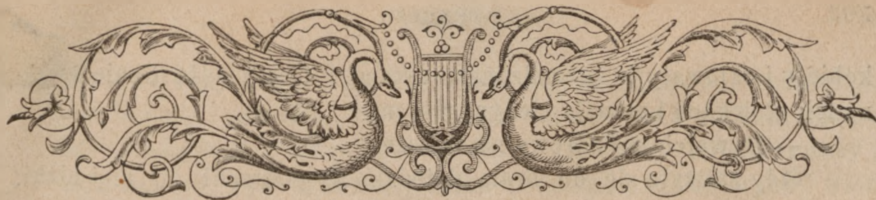
1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 8 Sierpnia 1893 r.



DEBIUTANTKA.

I.

Na zielonem tle rozległych pól, rozkołysanych młodem jeszcze zbożem, rysowała się maleńka wioska. Nie było w niej nic szczególnego, przecinała ją szara droga, biegnąca prostą linią między dwoma rzędami nizkich, od starości pochylonych chat chłopskich. Ani gór tu nie było, ani potoków, ani malowniczo ugrupowanych skał, ani nawet kościołka. Zwyczajnie wioska mazowiecka, gromadka domków, tu i owdzie kępka drzew owocowych, nie wielka struga i szmat łąk pokrytych żółtym kwiatem.

I dwór właściciela, świecący białemi ścianami w pośród klombów, lip i topoli, duży, obszerny — nie zatrzymałby na sobie oka turysty. Otaczały go z trzech stron zabudowania gospodarskie, ustawione pod kątami prostemi, świeże, utrzymane dobrze, ale pozbawione wszelkiej ornamentacyi architektonicznej.

A jednak było w tym pospolitym krajobrazie dużo wdzięku, dużo czystych linii przemawiających nie tyle do wzroku, ile do serca, które umie kochać prostotę i szczerość.

Odczuwała to prawdopodobnie młoda, przystojna kobieta, która posuwała się wolno środkiem drogi w stronę mieszkania pańskiego, bo, przystając co chwila, rozglądała się wokoło, ogarniała długiem spojrzeniem dalekie łany, lub podnosiła głowę do nieba, na którem jarzyło się właśnie białe słońce czerwcowe.

Z małych chałup chłopskich wybiegały dzieci w białych koszulinach, z potarganemi konopiastemi czuprynami, przypadały do rąk

kobiéty i całowały je zabrudzonemi ustami. Ona kładła dłonie swoje na ich główkach i mówiła cichym głosem:

— Bywajcie mi zdrowe na zawsze.

Gdy zbliżyła się do bram dziedzińca, podszedł do niéj nizki, otyły mężczyzna z ogorzałą twarzą, ujął w milczeniu jéj rękę i przycisnął ją, bez słowa, do dużych, płowych wąsów. Potém odwrócił głowę i dotknął palcami powiek, jak gdyby rozcierał łzę, która pod niemi wzbierała.

— Dziękuję panu serdecznie za okazane mi współczucie — odezwała się—ale niech pan nie rozpacza. Ziemia taka obszerna, znajdę sobie na niéj gdzie miejsce. Dziękuję panu za wszystko dobre, panie Golasiński, za wierną służbę, za uczciwość i życzę panu powodzenia na przyszłość.

Rządca majątku pokiwał głową i wyrzekł:

— To tak się mówi, pani dziedziczko, ale dziś nie tak już na świecie, jak to dawniéj bywało. Ziemia wprawdzie obszerna i piękna, pomieścilibyśmy się na niéj wszyscy, gdyby nie chciwość i złość ludzi. O mnie, jak o mnie, ja dam sobie radę, dopóki mi Pan Bóg zdrowia nie odmówi, ale co pocznie z sobą taka pani delikatna, jak dziedziczka. Świat nie jest taki rozkoszny, jak wygląda, zwłaszcza gdy człowiek musi szukać na niém dla siebie miejsca, zajętego przez innych.

Dziedziczka nie odpowiedziała na razie nic, znów ogarnęła długiém spojrzeniem jednostajny krajobraz, popatrzyła na biały dwór oczami przyćmionemi łzą, potém odparła:

— Niech mi pan każe założyć do powozu. Nie chciałabym być obecną przy licytacyi. Lepiéj oszczędzić sobie ostatniéj przykrości.

Rządca dotknął powtórnie palcami powiek, pokręcił wąsa na odwagę, potém oddalił się szybko w stronę stajni.

Dziedziczka szła wolno ku dworowi, żegnana ciągle po drodze niememi uściskami bab i chłopów, którzy obejmowali jéj kolana.

— Bywajcie mi zdrowi, bywajcie mi zdrowi — powtarzała głosem coraz więcéj słabnącym.

Nagle przyśpieszyła kroku. Czuła, że nie zachowa pozornego spokoju. Całéj woli musiała użyć, aby nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Poważnie weszła po stopniach kamiennych, prowadzących do przedsionka drzwi i tu dopiéro, znalazłszy się w swoim buduarze, padła twarzą na szeslong. Tłumiony ból wypłynął teraz z piersi jéj potokiem łkań, które wstrząsały całém jéj ciałem. Długo leżała tak,

miotana rozpaczą. Gdy obfite łzy ulżyły jéj sercu, podniosła się, otarła oczy i zasiadła przed czarném hebanowém biurkiem, zastawioném mnóstwem drobnych zbytkownych gracików. Otworzywszy jedną z szuflad, wydobyła z niéj kilka pudełeczek safianowych i włożyła je do wytwornéj inkrustowanéj szkatułeczki. Były to jéj bižuterye, niegdyś cacka, bawidełka, zdobiące na balach i wieczorach żonę bogatego człowieka, dziś jedyny jéj majątek. Wartość pieniężną tych cacek utrzymałaby nie jedną rodzinę ubogą przez kilka lat, ale dla niéj, dla pani Opolskiéj na Opolu, nie przedstawiała sumy znacznéj.

Zamknąwszy szkatułkę, oparła głowę na dłoni i żegnała się w myśli z przeszłością, a witała nieznaną przyszłość. Lat temu pięć, gdy stawała jako młodziuchna panienka na ślubnym kobiercu z zamożnym obywatelem ziemskim, zazdrościła jéj szczęścia cała okolica. Cóż za świetna partya, mówiono powszechnie. Alicya urodziła się w czépcu, powtarzały jéj rówieśniczki. I zdawało się rzeczywiście z początku, że córka wioskowego szlachcica zrobiła naprawdę „dobrą partyę“. Kochający mąż otoczył ją zbytkiem, wykwintem dostatku, woził zagranicę, bawił, pamiętał o jéj rodzinie, był dobrym mężem i krewnym. O tém tylko zapomnieli zawistni, że majątek, choćby najznaczniejszy, nie jest majątkiem, gdy dostał się w udziale człowiekowi, który nie rozumié znaczenia liczb. Pan Opolski, nie przypuszczając, aby się jego fortuna mogła kiedykolwiek wyczerpać, rozrzucał złoto pełnemi garściami, reszty zaś dokonała lichwa. Gdy go po paru latach ciągłe licytacye i procesy przekonały, że przestał być właścicielem Opola i przyległości, wówczas porzucił ziemię, któréj nie rozumiał bez ekwipażów, koni i zbytku. Odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, nie troszcząc się o to, że zostawia po sobie młodą wdowę, któréj walka z życiem sprawi więcéj trudności, aniżeli jemu, mężczyźnie.

Pani Alicya Opolska broniła się przez cały rok po śmierci męża, po bohatérsku przeciw lichwiarzom, ale nie mogła powstrzymać ostatecznéj ruiny, przed którą mąż jéj uciekł. Dziś miał jéj komornik zabrać inwentarz i meble, a jutro przybędzie do Opola nowy już właściciel.

Cios ten dotykał nietylko ją. Miała starych rodziców i młodsze rodzeństwo, które potrzebowało jéj pomocy, o nich nie wolno było jéj zapomnieć.

O téj rodzinie swojéj myślała w chwili, kiedy patrzyła z pochyloną na dłoni głową przed siebie, szukając dla siebie i dla nich w ciemnéj otchłani jutra, punktu oparcia. Środki, które jeszcze posiadała, nie wystarczą nawet dla niéj na długo. Wiedziała o tém

dobrze. Zrozumiała, że powinna wybrać sobie jakąś pracę, któraby zapewniła jéj i rodzinie dalsze istnienie. Przebiegając myślą różne zajęcia, szukała w pośród nich daremnie dla siebie odpowiedniego, chciała bowiem połączyć użyteczność z przyjemnością, chciała zarabiać, ale zarabiać z rozkoszą, bez wstrętu.

Córki dostatniego niegdyś domu, nie chowane na robotnicę. Nie nauczono jéj żadnego fachu, żadnego rzemiosła, nie przyzwyczajono nawet do pracy regularnéj i systematycznéj.

Dodano do jéj boku najsamprzód bonę, potém guwernantkę, za których pomocą przyswoiła sobie mnóstwo elementarnych wiadomości i kilka języków, potrzebnych pannie przeznaczonéj do życia w dostatku. Braków wychowania nie dopełniła oczywiście pani Alicya pod opieką męża, który bawił się nią jak pieścidełkiem, odsuwając od niéj wszelkie trudy i troski życia, chociażby dlatego, że ich sam nie znał i poznać nie chciał.

Daremnie więc szukała osamotniona kobiéta w przeszłości swojéj punktu, na którymby jéj oko zmęczone spocząć mogło. Nagle rozjaśniła się jéj twarz. Lubiła zawsze deklamacye, które zjednały jéj w salonach sąsiedzkich sławę artystki. Czytywała z chęcią dużo poezyi, uczyła się ich na pamięć i popisywała się przy każdéj sposobności talentem wykonawczym, który jéj powszechnie przyznawano. Teatr lubiła namiętnie, występowała nawet sama na scenkach amatorskich, zawsze rzęsistemi wynagradzana oklaskami. Co było dla niéj dawniéj zabawką, mogło się teraz stać zawodem, chlebem, przyszłością.

— Tak—wyrzekła do siebie—jedyna dla mnie droga.

Właśnie zajeżdżał powóz przed dwór. Pani Alicya rzuciła raz jeszcze okiem na szereg pokojów, który jutro mieli objąć w posiadanie inni obcy ludzie i zadzwoniła na pannę służącą.

W pół godziny potém, ubrana do drogi, opuszczała dom, w którym doznała dużo słodyczy, a jeszcze więcéj boleści, żegnana westchnieniami wieśniaków i płaczem służby.

II.

Nazajutrz po przyjeździe do Warszawy, pani Alicya postanowiła zabrać się natychmiast do wykonania swoich nowych zamiarów.

Dowiedziawszy się o adresie profesora sztuki dramatycznéj i o godzinach, w których przyjmował, była w porze właściwéj już gotowa do wyjścia, gdy spojrzała jeszcze raz wypadkiem w zwierciadło i zatrzymała się nagle. Nie takie robiła wrażenie, jakie powinna by-

ła robić osoba, wchodząca na drogę zarobkowania. Kostyum *crême* batystowy w *lilas* bukiety, przybrany wstążkami i koronkami, kapelusik najświeższéj mody, zastosowany do ubrania, parasolka wytworna z kosztowną rączką z kości słoniowéj, pantofelki lakierowane i kolczyki brylantowe, nie zaleciłyby jéj wcale na aspirantkę tanich lekcyi. Nie chcąc zwracać uwagi, przebrała się skromnie.

Zawoławszy dorożkę, kazała się zawieść na ulicę Leszno, gdzie w jednéj z kamienic profesor zajmował połowę drugiego piętra.

Drzwi otworzyła jéj młoda dziewczyna, odwołana widocznie odgłosem dzwonka od prania bielizny, bo ocierała z mydlin mokre ramiona.

— Czy zastałam w domu pana Piekarskiego? — zapytała pani Alicya.

— Pan jest zajęty, ale mogę poprosić panią, jeżeli jest jaki pilny interes — odparła służąca i, podawszy gościowi wytarty stołek, poszła do pokojów.

Po chwili ukazała się na progu wysoka, szczupła kobiéta, w jasnym poplamionym szlafroczku, z włosami rozpuszczonemi, w pantoflach przydeptanych, która, ujrzawszy przed sobą młodą i dystyngowaną damę, podbiegła do niéj skwapliwie.

— Pani dobrodziejka pragnie mówić z profesorem? — odezwała się, modulując głos z przesadą.

— Chciałam się rzeczywiście widziéć z panem Piekarskim, ale powiedziano mi że zajęty—odparła pani Alicya.

— Jest teraz zajęty, ale mogę go na chwilę poprosić.

— Jeżeli pani łaskawa...

Pan Piekarski tak samo wysoki, szczupły i tak samo przesadnie uprzejmy, jak jego żona, zbliżył się do czekającéj z miną bohatéra teatralnego.

— Jestem do usług pani. Czém mogę służyć?—wyrzekł głosem, zdradzającym dawnego wykonawcę ról dramatycznych.

— Pragnę pomówić z panem o lekcyach, które chciałabym pobierać—odpowiedziała pani Alicya.

Profesor, obrzuciwszy przyszłą uczennicę swoją badawczém spojrzeniem, skłonił się sztywno, ze sztuczną godnością i poprosił ją do przyległego pokoju, mówiąc:

— Może się pani zechce zatrzymać aż skończę lekcyą.

Zostawszy sama, pani Alicya zaczęła się rozglądać w otoczeniu. Nie wielka izdebka, w któréj się znajdowała, służyła jednocześnie za sypialnią i jadalnią. Dwa łóżka żelazne, na środku stół okrągły z resztkami obiadu, kilka wyplatanych dziurawych krzeseł, umywal-

nia, szafa na ciemno pomalowana, lampa, okna bez firanek i kilka doniczek pelargonii, stanowiły całe umeblowanie. Przez uchylone drzwi dochodził ją z drugiego pokoju gwar rozmowy.

Gromadka osób, złożona z pięciu kobiét i trzech mężczyzn, wykonywała jakąś scenę z nieznanéj jéj komedyi. Młody blondyn, powierzchowności i twarzy pospolitéj, ubrany w szary garnitur źle skrojony, w butach grubych, rozkładał ręce przed nizką szatynką w kretonowéj sukience, udając kochanka. Dyalog ich nie robił zupełnie wrażenia prawdy. Oboje poruszali się niezręcznie i mówili głosem, który miał być tkliwym, a był w istocie nienaturalnym. Kłamstwo źle granéj sytuacyi uwydatniło się jeszcze bardziéj, gdy się do akcyi wmieszał trzeci uczeń, mężczyzna otyły i wysoki z czerwoną twarzą, odtwarzający rolę ojca dramatycznego, a podobny raczéj do rzeźnika.

Ponad tą trójcą unosił się pan Piekarski z podwójną równocześnie powagą dwóch godności, bo nieomylnego profesora i starego aktora. Ciągle coś poprawiał, układał ramiona, ustawiał nogi, wygładzał dykcyę, zawsze sztuczny i przejęty zadaniem swojego powołania.

Pani Alicya słuchała zrazu i patrzyła z ciekawością. Po raz pierwszy w życiu widziała kulisy teatru, który jéj się dotąd przedstawiał zawsze gotowy, błyskotliwy w oświetleniu lamp wieczornych. To co roztaczano przed jéj oczami, było dopiéro poczwarką tego, co jéj, publiczności, dotąd podawano. Osoby wytwornéj, przywykłéj do ludzi dobrego towarzystwa i do widowisk scen pierwszorzędnych, nie mogła olśnić ta karykatura sztuki dramatycznéj. Coś, jakby niewyraźne jeszcze uczucie zawodu, przykrego złudzenia, odezwało się na dnie jéj serca, przepełniając je obawą niepewnego jutra. Przez chwilę było jéj, jak gdyby powinna uciec, aby nie patrzéć dłużéj na ten brud i nieporządek, na ubóstwo i kłamstwo, wszystko bowiem, co dostrzegła w mieszkaniu profesora, raziło jéj smak wykwintny. Trwało to jednak tylko zaledwo kilka sekund. Zbyt była młodą i zbyt mało znała odwrotną stronę medalu teatralnego, aby ją pierwsze rozczarowanie mogło stanowczo zniechęcić. Z niecierpliwością czekała teraz na koniec lekcyi, która dobiegała już do kresu.

Pan Piekarski, pożegnawszy uczniów, przeprowadził panią Alicyę do opróżnionéj salki, wskazał jéj miejsce na jakiéjś wytartéj kanapie i zapytał wręcz:

— Więc pani życzy sobie pobierać u mnie lekcye sztuki dramatycznéj?

— Właśnie w tym celu przybyłam—odpowiedziała Alicya.

— Czy pani się już gdzie uczyła?

— Nie, panie, nie uczyłam się nigdzie.

— Co panią skłania do obrania sobie zawodu aktorskiego? — zapytał aktor.

— Zamiłowanie i potrzeba pracy, któraby mi w przyszłości dała utrzymanie. Wybrałam ten zawód, bo ten mnie pociąga; oddam mu się z całém zamiłowaniem i poświęceniem, jeżeli okaże się talent. W tym celu zgłaszam się do szanownego pana, prosząc go, abyś był łaskaw ocenić, czy warunki, jakiemi rozporządzam, odpowiadają wymaganiom sceny.

Odpowiedź pana Piekarskiego poprzedziła chwila długiego milczenia, poczem podniósł się, wyszukał tom poezyi i podając je Alicyi, polecił jéj przeczytać którykolwiek ustęp.

Czytała Maryę Malczewskiego, rozdział pożegnania z Wacławem. Głos jéj drżał, bladła i rumieniła się naprzemian, nareszcie, wzruszona, nie mogąc powstrzymać łez, rozpłakała się.

Profesor, przywykły widocznie do scen podobnych, nie zdziwił się bynajmniéj roztkliwieniu przyszłéj uczennicy. Poczekawszy, aż się utuliła, ułożył się z nią o warunki lekcyi i wyznaczył jéj godziny.

III.

Z trzaskiem i łoskotem wypadł z dworca warszawskiego wieczorny kuryer wiedeński. Żegnało go kilkaset oczu, które ścigały pociąg aż do pierwszego zakrętu. Szły za nim łzy i życzenia, żale, może i rozpacze jak zawsze, kiedy się człowiek żegna z człowiekiem. Z wagonów błysnęło jeszcze kilka twarzy w żółtym blasku lamp gazowych, kilka rąk oddawało z oddalenia uściski, potém zakryła noc uchodzącego potwora i zwykła cisza zaległa peron.

Kuryer był już za miastem i wybiegłszy na równinę mazowiecką, posuwał się gładko po szynach, pomykając tajemniczo, do legendowego podobny rycerza.

Podróżni zaczęli się w powozach urządzać do drogi.

W jednym z wagonów drugiéj klasy, spoczywała w rogu przy oknie pani Alicya, otulona ciepłym płaszczem, który ją miał chronić przeciw chłodom wieczoru jesiennego. Przyłożywszy głowę do poduszki, zamknęła powieki, aby nie widziéć otoczenia, które jéj wcale nie zajmowało. Chciała być sama ze sobą, z myślami swojemi.

Dla niéj nie przybył nikt na dworzec, ani jedna dłoń nie żegnała jéj uściskiem serdecznym, ani jedne usta nie zadrżały słowami: „do miłego, prędkiego widzenia.“

Jechała w świat między ludzi obcych, jak bannitka, jechała na pracę i trud, zapomniana prawie przez najbliższą rodzinę, która nie mogła jéj przebaczyć obranego zawodu.

Zrazu, gdy zawiadomiła krewnych o zamiarach swoich, odpowiadano jéj półuśmiechami, żartami, drwinkami, nikt bowiem nie chciał wierzyć, aby wykonała naprawdę co postanowiła. Późniéj, po rozpoczęciu lekcyi pod przewodnictwem pana Piekarskiego, gniewano się na jéj nowy „kaprys,“ na niemądrą „fantazyę,“ w końcu, kiedy, zamknąwszy studya przygotowawcze, oświadczyła, że przejdzie na scenę, ogłoszono ją szaloną „waryatką.“

Wszystkie te drobne, a mimo to bolesne ukłucia znosiła cierpliwie, dążąc wytrwale do celu, który sobie wytknęła. Właśnie zbliżała się do pierwszéj mety, udawała się bowiem do jednego z większych miast prowincyonalnych, gdzie miała wystąpić jako debiutantka.

W chwili, kiedy ją pociąg unosił coraz daléj i daléj od miejsc licznych przykrości, przebiegała jeszcze raz myślą wiadomą przeszłość.

Kilka ostatnich miesięcy, spędzonych w Warszawie, poświęciła wyłącznie nauce. W miarę zwiększania się umiejętności, rosło przywiązanie się jéj do nowego zawodu. W istotach przedstawianych bohatérek, odnajdywała siebie, przejmowała się zarówno boleściami, jak cieszyła wesołością odtwarzanych kreacyi. Jéj natura właściwa, potęgowała doznawane wzruszenia, rozkoszując się obranym zawodem.

I teraz uśmiéchała się do tego.

— Ot tak, tak, to jedyna praca dla inteligentnéj kobiéty, jedyny zawód dla mnie.

Od chwili postanowienia, że zostanie artystką, Alicya żyła i oddychała tylko jedném pragnieniem: wstąpienia na te szczęśliwe, okwiecone deski.

Wybrała sobie karyerę artystyczną, bo wierzyła, że sztuka wykonawcza daje nietylko chléb, ale i zadowolenie wewnętrzne. Lubiła teatr od lat dziecinnych, podziwiała niejednokrotnie siłę słowa żywego i zazdrościła wielkim aktorom ich wpływu na serca ludzkie. Zawodowi, któremu się teraz sama poświęciła, zawdzięczała mnóstwo wrażeń i wzruszeń szlachetnych. Bywało, że ją podniosły dramat w chwilach ciężkich utulił, lub wyborna komedya wywołała na usta jéj uśmiech wtedy, kiedy się goryczą zaprawione tylko... do skargi układały. Dla niéj, dla nowicyuszki, spełniały jeszcze deski scenicz-

ne posłannictwo nauczycielki i aktorzy zaś byli kapłanami w świątyni sztuki.

Szybko krzyżowały się w mózgu jéj myśli coraz to inne, coraz żywsze, barwniejsze. Po godzinie zapomniała zupełnie o bolesném wczoraj i widziała przed sobą tylko jutro jasne, pogodne, szczęśliwe.

Równomierny turkot pociągu działał na nią jak monotonna pieśń niańki: zamknęła szczelnie powieki, usypiała.

Kiedy ją sen miękkiém odejmował ramieniem, widziała się na scenie w roli bohaterki dramatycznéj, wygłaszającą kwieciste słowa poezyi, które spływały lśniącym potokiem na setki głów. Odblask własnego zapału dostrzegła na twarzach słuchaczów opromienionych zachwytem, a świadomość, że ona to przykuła do siebie uwagę tylu oczu, dała jéj szczęście.

Z widziadłem tém przeszła w krainy Morfeusza. Kiedy się przebudziła, była już w miejscu do którego zdążała.

Kazawszy się zawieść do hotelu, uwiadomiła natychmiast dyrektora teatru o swojém przybyciu. Mimo zmęczenia, ubrała się starannie i czekała z niepokojem na człowieka, który miał być jéj zwierzchnikiem. Była to jéj pierwsza służba, zależna od cudzéj woli.

Dyrektor stawił się około południa i powitał ją z niezwykłą uprzejmością.

Po wymianie wstępnych zapytań, przeszedł odrazu do interesów.

— Na pierwszy debiut weźmiemy „Maryę Stuart“ — mówił. — Sztuka ta daje artystce dużo sposobności do popisu. Mam nadzieję, że rola tytułowa będzie w repertuarze pani jedną z najlepszych. Trzy próby wystarczą.

Debiutantkę przeraziła zapowiedź trzech prób.

— Panie dyrektorze — odezwała się z nieśmiałością — boję się grać tak prędko, z taką małą ilością prób. Rola Maryi jest trudna. Dużo w niéj sytuacyi, zbiorowych scen, sądziłam że mi pan dyrektor przynajmniéj sześć prób wyznaczy. Doprawdy obawiam się nieumiejętnością narazić siebie i kolegów na *fiasco*.

Dyrektor odpowiedział na to:

— Radzibyśmy zrobić wszystkie ulgi dla pani, ze względu na zupełne nieobycie się jéj ze sceną, ale nowa sztuka idzie w sobotę, drugi pani debiut w środę, na więcéj więc jak na trzy próby nie wystarczy czasu. Przyślę pani wieczorem naszego poczciwego reżysera, on z panią pomówi, przedstawi ci kolegów i obznajmi ze zwycza-

jami prób. To bardzo porządny człowiek. Gdybym więcéj takich miał w mojém towarzystwie, interes możnaby zrobić. Uczciwy i zdolny, będzie się pani podobał.

Mówiąc to, przypatrywał się uważnie Alicyi.

Wizyta przeciągnęła się jeszcze chwilę, poczem dyrektor zaczął się wybiérać do wyjścia.

— A niechże pani będzie w redakcyach — radził, biorąc kapelusz.

— Chciałam pana dyrektora właśnie prosić o adresy i wskazówki do kogo mam się udać — odpowiedziała Alicya i podając mu papiér i ołówek, prosiła o zanotowanie nazwisk i ulic.

— Trzeba będzie być w Echu i w Tygodniku. Są jeszcze i inne, ale te najważniejsze. To muchy, dobrze kąsać potrafią i zgryźć człowieka, który od nich słowa życzliwego łaknie.

To mówiąc, ucałował obydwie ręce swojéj przyszłéj bohatérki dramatycznéj.

— Dziś wieczorem woźny zawiadomi panią o próbie. A rano wstać trzeba — upominał jeszcze dyrektor z progu. — Całuję rączki, rzucił jéj na pożegnanie i wyszedł.

Po wyjściu dyrektora, Alicya postanowiła udać się natychmiast do główniejszych redakcyi, aby załatwić się zaraz pierwszego dnia z całą stroną formalną swojego debiutu.

Wzięła na siebie kostium z ciemno-zielonego aksamitu, odpowiednie okrycie, kapelusz i gotowa do odwiedzin kazała się zawieść do najbliższéj redakcyi.

Kiedy wstępowała na wschody, uczuła nagle lekkie drżenie w całém ciele. Drżenie to wzmagało się w miarę posuwania się w górę, tak, iż musiała się na zakręcie oprzéć o galeryę, aby nie upaść. Serce jéj biło gwałtownie, krew zalała jéj mózg, odbiérając na chwil kilka przytomność.

Po raz pierwszy w życiu ogarnął ją strach. Wiedziała, że dalsze jéj losy mogą zależéć od wrażenia, jakie wywoła na ludziach kierujących opinią publiczną.

Wszakżeż oni, ci rycerze pióra, rozdają sławę i utrwalają powodzenie, lub onieśmielają i zniechęcają słowem nie życzliwém wszelkich nowicyuszów. Kilka zwrotów, rzuconych na papiér, pomnożonych przez prasę drukarską tysiąckrotnie, roznoszą po świecie nieznane dotąd szerszym kołom nazwisko, zwracając na nie uwagę, lub ośmieszając je.

Alicya rozumiała potęgę dziennikarstwa, zdawała sobie dokła-

dnie sprawę z doniosłości kroku, jaki właśnie czyniła, przeto zawahała się przed samemi drzwiami redakcyi.

I znów doznała po raz drugi od chwili opuszczenia Opola, jakiegoś uczucia obawy, niepewności, tego samego, które ją chciało cofnąć z drogi po wysłuchaniu pierwszéj lekcyi u Piekarskiego.

Kobietę, otoczoną od kołyski dostatkiem, usuniętą zupełnie poza koło pospolitéj walki o byt, panią swojéj woli, kaprysów nawet, przygnębiała świadomość niższości i niemocy, jaka łączy się zawsze z każdém zarobkowaniem. Dotąd uczyła się, przygotowywała do pracy, teraz miała spojrzéć w samo oblicze nieznanego jutra. Będzież ona dla niéj przyjaciółką ta przyszłość nieznana, ludzie czy podadzą jéj dłoń serdeczną, albo odtrącą obcego przybysza? Nie wniknęła jeszcze dokładnie w tajemnice zakulisowe, słyszała jednak już tyle o nieżyczliwości aktorów dla nowicyuszów i złości dziennikarzów, że mogła miéć powód do obawy.

Długo trwało, zanim zdobyła się na odwagę do przekroczenia progu redakcyi. Kilka razy posuwała rękę w stronę dzwonka, zawsze jednak cofała ją i kładła na serce, które coraz gwałtowniéj biło.

— Ależ trzeba nareszcie — szepnęła.

Wydobywszy kartę wizytową, otworzyła drzwi i weszła do przedpokoju.

Nie czekała długo. Woźny powrócił za chwilę i wprowadził ją do gabinetu redaktora.

Z fotelu, z poza stosu gazet, które pokrywały obszerne biuro, podniósł się mężczyzna młody, wysoki, brunet, ubrany wytwornie, podług najświeższéj mody. Jego ciemno-niebieskie oczy, błyszczące żywo na tle śniadéj cery, spoczęły przez chwilę uważnie na zarumienionéj twarzy debiutantki. Potém zbliżył się do gościa i podsunąwszy mu fotel ruchem światowca, wyrzekł głosem dźwięcznym:

— Proszę niech pani spocznie. Wiedzieliśmy już o pani przybyciu i czekaliśmy na nie niecierpliwie. Spodziewam się, że pani „Marya Stuart“ zrobi nam rzeczywistą przyjemność.

Należało odpowiedziéć coś banalnego, rzucić jakiś frazes, któryby nawiązał dalszą rozmowę, ale Alicya była tak zalękniona, że nie znalazła na razie nawet zwykłego zwrotu salonowego.

Redaktor, przywykły widocznie do tremy debiutantek, mówił sam daléj, przypatrując się Alicyi bardzo uważnie.

— Niech się pani naszéj publiczności nie obawia. Prowincya nie ma smaku tak wyrobionego jak Warszawa. O ile zresztą ocenić mogę z pani warunków zewnętrznych, sądzę, że pani nie potrzebuje miéć powodu do obawy.

Tu skłonił się w jéj stronę uprzejmie i uśmiechnął się znacząco.

Zachwycona tak życzliwém przyjęciem, Alicya odzyskała panowanie nad zburzonemi nerwami. Z rutyną osoby z towarzystwa, zaczęła teraz opowiadać o swoich nadziejach. Redaktor słuchał, poddawał zdania, wtrącał uwagi, podtrzymując rozmowę bardzo zręcznie.

Kiedy się po dwudziestu minutach żegnali, podali sobie ręce jak dobrzy przyjaciele i obiecali sobie „do widzenia."

— Więc proszę pamiętać — mówiła Alicya, już na progu — Hotel rzymski Nr. siódmy i ósmy, o godzinie siódméj.

— Stawię się niezawodnie — odparł redaktor, odprowadzając gościa do drzwi.

Gdy schodziła po wschodach, odetchnęła szeroko. Więc praca nie wygląda w istocie tak czarno, tak złowrogo, jak skarżą się jéj niewolnicy, więc można potrzebować zarobku i nie przestać należéć do świata, z którego się wyszło? Oh tak — radowało się serce Alicyi, ukołysane uprzejmością redaktora.

Bez obawy już obiegła jeszcze kilka innych redakcyi i wróciła pokrzepiona na duchu, do hotelu na obiad.

Właśnie kończyła już deser, kiedy jéj garson doniósł, że się reżyser teatru o nią dopytuje. Kazała go więc poprosić do sali.

Gdy wszedł pan Barosz, dyrektor artystyczny sceny, na któréj miała stawiać pierwsze kroki, podniosła się żywo i wyciągnęła do niego rękę.

Reżyser, mężczyzna średniego wzrostu, dobrze zbudowany, brunet, z czarnym wąsem pod nosem lekko zagiętym, liczący około lat czterdziestu, ujął jéj palce w obie dłonie i powitał ją tak samo serdecznie jak redaktor.

— Bardzo dobrze, że pani przybyła — mówił — czekaliśmy na panią z upragnieniem. Repertuar nasz szwankuje bez bohatérki dramatycznéj.

I tak samo, jak redaktor — obrzucił debiutantkę bystrém spojrzeniem.

Alicya dostrzegła w jego czarnéj źrenicy coś, jakby błysk zdziwienia. Wzrok jego przeszedł z jéj twarzy na toaletę, chwytając szybko wszystkie szczegóły wykwintnego ubrania.

— Może pan pozwoli filiżankę czarnéj kawy — zapytała Alicya, wracając na krzesło.

Reżyser skłonił się i spoczął także.

— Mówił mi dyrektor — zaczął — że pani jest w całém tego

słowa znaczeniu debiutantką, że stajesz dopiéro po raz pierwszy przed publicznością.

— Pan dyrektor dobrze pana objaśnił — odparła Alicya. — Występowałam dotąd tylko na scenie mojego profesora i dlatego obawiam się rzeczywiście, czy podołam zadaniu, zwłaszcza, że wyznaczono mi odrazu role bardzo trudne.

— Hm, trochę to hazardowne — mruknął reżyser, jakby do siebie — ale — dodał zaraz głośniéj — to nic, na prowincyi można ryzykować.

I znów przypatrywał się Alicyi, pokręcając wąsa.

— Przepraszam panią za niedyskrecyę — odezwał się po chwili — ale co panią skłoniło do przejścia z domu rodzinnego na scenę?

— Najsamprzód pociąg, a następnie potrzeba — odpowiedziała Alicya.

— Bo jeżeli tylko pociąg, który bywa bardzo często złudnym — mówił reżyser — to radziłbym pani namyślić się dobrze, póki jeszcze czas. Teatr zdaleka, a teatr zblizka, to dwie bardzo różne rzeczy, to poezya i rzeczywistość, blask i brud, marzenie i prawda.

Zdumiona, słuchała Alicya słów reżysera.

Twarz jego osnuł cień jakiegoś bolesnego smutku, kiedy ciągnął daléj:

— Panią dziwi, że reżyser teatru zniechęca debiutantkę do desek, które mają świat przedstawiać, zamiast ją zachęcać; ale reżyser zna lepiéj od innych tajemnice zakulisowe, bo o niego opiérają się wszystkie ambicye, zawiści i podłości aktorskie. Do zwykłéj debiutantki nie przemawiałbym w ten sposób, pani jednak, o ile widzę, przychodzi do nas ze świata, który nie ma wyobrażenia o odwrotnéj stronie naszego medalu, który nie wié, że scena zabiéra bezpowrotnie czystość serca i duszy, że demoralizuje więcéj od każdéj innéj pracy, przeto uważam sobie za obowiązek zwrócić uwagę pani na zawodność karyery pozornie błyskotliwéj a w istocie wcale nie powabnéj.

— Już zapóźno panie — wyrzekła Alicya z mocą.

— Dlaczego pani?

— Bo nie mam zwyczaju cofać się z drogi raz wytkniętéj.

— W takim razie...

Reżyser zrobił ramionami ruch rezygnacyi.

— W takim razie — powtórzył — przejdźmy do debiutu.

IV.

Nazajutrz, w godzinach popołudniowych, udała się Alicya do teatru.

Gdy wysiadła z najętego powozu, ujrzała przed sobą duży gmach z kolumnadą przed bramą, pamiętający widocznie dawne czasy, bo deszcze wraz z powietrzem zabrały murom ich pierwotną świeżość, okrywając je śladem zniszczenia.

Prowadzona przez woźnego, szła debiutantka zrazu jakiemiś długiemi i ponuremi kurytarzami, potém pięła się w górę po brudnych, zużytych schodach.

— To tu — odezwał się woźny — wskazując na odrapane, niegdyś białe drzwi.

Sługa, zdjąwszy czapkę, spojrzał na Alicyę z uśmiechem znaczącym.

Przyszła artystka, zrozumiawszy niemą prośbę, sięgnęła do woreczka i wynagrodziła chojnie grzeczność oficyalisty, za co odebrała ukłon głęboki.

Gdy, podniósłszy klamkę, przekroczyła próg „świątyni sztuki,“ powiały na nią nieprzyjemnie pachnące chłody. Wilgoć poczuła i zaduch.

Trwało kilka chwil, zanim oko jéj, przywykłszy do półcieniów, rozpoznało najbliższe otoczenie. Ujrzała przed sobą jakieś fantastyczne ściany, robiące wrażenie żagli, spuszczających się z niewidzialnych masztów. Wydostawszy się z zakulis, bo kulisy to były, znalazła się w ogromnéj sali, pogrążonéj w ciemnościach, oświeconéj zaledwie w dziesiątéj części, migotliwym płomykiem kaganka. Wiedziała, że była nareszcie na scenie, o któréj tyle marzyła i po raz trzeci od chwili, kiedy postanowiła być aktorką, było jéj, jak gdyby ją ktoś z tyłu pochwycił i starał się cofnąć. Szybkim krokiem posunęła się naprzód, oglądając się za ludźmi, których szepty dochodziły ją z różnych zakątków.

Gdy tak stała bezradna, czekając na kogoś, ktoby jéj dodał odwagi, wysunął się z poza jednego z ogromnych płócien jakiś męzki cień i wyciągnął do niéj rękę.

— Witam panią na scenie naszego teatru — odezwał się głos jéj znany — i życzę ci, ażebyś po tych zawodnych deskach, stąpała zawsze pewno i z przyjemnością.

Serdecznie uścisnęła Alicya dłoń reżysera Barosza, gdyż on to był, szczerze wdzięczna za słowa zachęty.

— Będę się starała — odparła — być artystką w teatrze, a po za nim dobrą koleżanką.

Reżyser, zwróciwszy się do gromadki osób, które wysuwały się teraz ze wszystkich stron na środek sali, wyrzekł głosem donośnym:

— Przedstawiam państwu i polecam nową koleżankę naszą, panią Alicyę...

Nastąpiła prezentacya po szczególe.

Mężczyźni kłaniali się debiutantce uprzejmie, kobiéty otoczyły ją wieńcem, obrzucając ciekawemi spojrzeniami.

Gdy wniesiono dwie lampy i ustawiono je na stołach, ujrzała przed sobą kilka niewieścich twarzy, nie okraszonych wcale uśmiechem życzliwym.

— Więc zaczynajmy — zawołał reżyser.

— Nie ma jeszcze Żabskiego — wtrącił ktoś z boku.

— Nic nie szkodzi, zaczniemy bez niego, nadejdzie. On dopiéro przy końcu aktu wchodzi.

— Panie Kolski! — krzyknął pan Barosz.

Na wołanie to odpowiedziało najsamprzód jakieś chrząkanie, następnie plucie, w końcu zaszurgały po podłodze dwie ociężałe nogi, wlokące się wolno.

— Już idę, idę — zawołał głos ochrypły. Téż to skaranie Boskie, robić po południu próby; niedługo to i w nocy trzeba będzie szczekać jak pies w téj budzie. Tyle się człowiek napyskuje tych głupstw, że aż wstyd w kościele w niedziele przed Panem Bogiem. Bodaj się to już raz skończyło.

— No właź do budy, właź, nie chlap językiem, dosyć, dosyć! — mruknął reżyser — zaczynajmy. No właź! Sceny z Maryą. Akt pierwszy, scena pierwsza.

Do budki suflera wgramoliła się chuderlawa figurka, przeklinająca podczas téj operacyi teatr, dyrektora, aktorów i debiutantki.

Artyści przywykli snadź do pesymistycznych wybuchów swojego podpowiadacza, nie słuchali bowiem nawet jego ordynaryjnych wyrzekań. Rozbiwszy się w kupki, gawędzili swobodnie i wesoło, gdyż co chwila zatrzepotał się tu i owdzie pusty śmiech. Kilka kobiét, stojących tuż za Alicyą, oglądało ją bardzo troskliwie od kapelusza do bucików, a jedna z nich, zbliżywszy się, dotknęła ręką jéj włosów i zapytała:

— Czy to własne, prawdziwe?

Debiutantka drgnęła i cofnęła się szybko o cały krok. Obrazi-

ło ją to szczególne pytanie, którego jéj dotąd nikt nie zadał, lecz mimo to, odpowiedziała uprzejmie.

— Czy włosy moje wydają się tak bardzo obfite, że robią na pani wrażenie fałszywych?

— Zaczynamy — wołał znów reżyser.

— Przecież czekam — odburknął sufler — akt pierwszy, scena pierwsza: Marya Stuart, Rizzio, paź.

Próba zaczęła się i szła dość składnie, debiutantka bowiem umiała rolę swoją bardzo dobrze. Potrzebnemi okazały się tylko poprawki sytuacyjne, które aczkolwiek bardzo nieznaczne, niecierpliwiły aktorki i aktorów.

Kiedy Alicya po dwóch godzinach, spędzonych wśród półcieniów, zaduchów, niedyskretnych szeptów i badawczych spojrzeń, stanęła znów przed teatrem owiana świeżém powietrzem i blaskami dziennemi, wówczas doznała dziwnego uczucia. Zdawało jéj się, że uwolniono ją z jakiegoś więzienia, z jakiejś nory zatęchłéj. Takim ciężarem spadła na pierś jéj pierwsza, rzeczywista próba. I zapragnęła biedz, uciec jaknajdaléj od gmachu teatralnego. Skinęła na przejeżdżającą dorożkę i kazała się wieść za miasto, na pole, pod jasne sklepienie niebieskie. Dopiéro za rogatkami odetchnęła szeroko. Widok rozległych łanów przypominał dziecku wsi, ciche, białe, w klombach lip i topoli spowite Opole. Alicya przymknęła powieki i wróciła myślą i sercem do swojego dworku. Swojego? Ktoś inny przebywał już pod jéj niegdyś dachem.

— Wrócić już tam nie mogę, nie mogę — szeptała, połykając łzy.

Na dworze gasła powoli gwiazda dzienna, tracąc z każdą minutą swe blaski promienne. Białe, coraz bielsze słońce, rysujące się wypukle na skraju widnokręgu, osuwało się, drgając ku zachodowi, ustępując miejsca szarym mrokom, które zaléwały szybko ziemię.

W téj chwili przypomniała sobie Alicya obiecaną wizytę Horeckiego i kazała stangretowi wrócić do miasta.

— Trzeba pracować, płakało jéj serce.

Gdy się dorożka zatrzymała przed hotelem, przesunął się pod ścianami jakiś wysoki cień, którego kontury przypominały Alicyi postać Horeckiego. Ale omyliła się widocznie, bo przechodzeń, choć spojrzał na nią, nie zbliżył się, lecz znikł w ciemnościach ulicy sąsiedniéj. Zaledwo jednak znalazła się na piętrze w swojém mieszkaniu, zastukał ktoś do drzwi i do numeru wszedł redaktor, trzymając kapelusz w prawidłowo zaokrąglonéj ręce, przebiegł przestrzeń od pro-

gu aż do szeslongu na którym Alicya spoczywała, szybkim, elastycznym krokiem i skłonił się z banalnym na ustach uśmiechem.

— Przekonywa się pani, że jestem słowny — wyrzekł, wyciągając do niéj białe, starannie utrzymywane palce długiéj dłoni.

Alicya, która się na widok pana Horeckiego podniosła z miejsca, pochwyciła skwapliwie podaną rękę.

— Bardzo panu dziękuję za uprzejmość — mówiła — proszę, niech pan spocznie. Zdawało mi się, że widziałam pana przed chwilą przed hotelem?

— I dobrze się pani zdawało — odparł redaktor.

— Więc to pan był rzeczywiście? A dlaczegóż...

— Dlaczego się do pani nie zbliżyłem, chce pani zapytać. Wszakże tak?

— Bo... doprawdy...

— Nie uczyniłem tego przez życzliwość dla pani.

— Przez życzliwość?.. Nic nie rozumiem...

— Czy pani mnie naprawdę nie rozumié — zapytał redaktor, obrzucając Alicyę badawczém spojrzeniem.

— Ale naprawdę, panie. Jest bowiem zwyczajem przyjętym, że panowie kłaniają się znajomym paniom, gdy je spotykają na ulicy.

— To zależy...

Wzrok redaktora spoczął powtórnie bardzo uważnie na twarzy Alicyi, która spłonęła gorącym rumieńcem.

— To zależy? — powtórzyła coraz więcéj zdumiona.

— Przepraszam panią za niedyskrecyę, którą popełnię w téj chwili — wyrzekł redaktor, przysuwając się bliżéj do Alicyi — ale zanim pani odpowiem na pytanie, potrzeba mi drobnéj informacyi. W jakim teatrze pani dawniéj występowała?

— Dotąd w żadnym panie. Będzie to mój pierwszy krok na prawdziwych deskach scenicznych — odpowiedziała Alicya.

— I nie żyła pani dotąd w sferach teatralnych?

— Jedynym, osobiście mi znajomym artystą był mój profesor deklamacyi.

— Teraz to panią rozumiem — odezwał się redaktor, odsuwając się z krzesłem. — Nie zna pani poprostu zwyczajów i obyczajów świata, do którego wstępujesz. Ale tych zwyczajów i obyczajów trzeba się nauczyć, gdy się chce zostać dobrą aktorką.

— Co do mnie — wyrzekła Alicya — to zdaje mi się, że aby zostać dobrą artystką, wystarcza najzupełniéj posiadać trochę talentu wykonawczego i pracować usilnie nad rolami.

Po raz trzeci spojrzał pan Horecki na debiutantkę.

W jego oczach błysnęły jakieś tajemnicze blaski, po wązkich ustach przesunął się uśmiech znaczący.

— Zapewne — mówił wolno — tak być powinno, a jednak...

Podniósłszy nagle szybkim ruchem głowę, zapytał:

— Czy pani już po kolacyi? Bo moglibyśmy przejść na dół do sali restauracyjnéj?

Zaskoczona niespodzianym zwrotem redaktora, nie wiedziała Alicya co na razie odpowiedziéć. Był to w jéj życiu pierwszy obcy, zaledwo raz widziany mężczyzna, który pomijał wobec niéj formy towarzyskie. Nie przywykła do takiéj obcesowości, zawahała się przez kilka chwil nad tém, jak postąpić w położeniu dla niéj nowém.

— Jeśli panu mogę służyć, proszę niech pan przyjmie „czém chata bogata tém rada“ — odezwała się po jakimś czasie i pobiegła do dzwonka.

Redaktor zerwał się z krzesła, chcąc jéj przeszkodzić.

— Ale nie tak... zdawało mi się... przepraszam panią...

Było już zapóźno, bowiem zjawił się na progu garson.

— Jakiego wina używa pan redaktor?

— Ależ żadnego, żadnego. Bardzo panią przepraszam za ambaras, ale nie tak sądziłem, zdawało mi się, że może pani zechce w towarzystwie mojém...

— Właśnie dlatego — podchwyciła Alicya — pozwalam sobie narzucić panu moją gościnność. Domyślam się, że pan redaktor jest zwolennikiem win francuskich, gdyż o ile mi wiadomo, węgierskie wychodzą obecnie z mody.

I nie czekając na odpowiedź gościa, rozporządziła Alicya wieczerzą.

Całe to zajście, nie sprawiało panu Horeckiemu przyjemności, gdyż zamiast spocząć, chodził szybko między meblami, mierząc gospodynię wejrzeniem niepewném.

— Bo wié pani — odezwał się po chwili — po raz pierwszy mi się zdarza, że mnie aktorka prowincyonalna u siebie podejmuje. Widzę teraz w istocie, że pani jest debiutantką w całém tego słowa znaczeniu, jakiéj się zwykle w tearze nie spotyka.

— A, ja zaczynam się domyślać — mówiła Alicya — że będę się musiała nauczyć jakichś innych zwyczajów i obyczajów, o jakich dotąd nie miałam pojęcia.

Właśnie wchodził garson z nakryciem do kolacyi.

— Może mi pan teraz zechce wytłómaczyć — zapytała Alicya, podnosząc się z fotelu — dlaczego mnie pan rozmyślnie przed hotelem nie poznał?

— Poprostu dlatego—odparł redaktor — że nie wiedziałem, czy to pani będzie dogodne. Dowie się pani z czasem, że nie wszystkie artystki lubią być witane wszędzie przez znajomych.

Mówiąc to, podał Alicyi z ukłonem ramię i przeprowadził ją do drugiego pokoju. Zanim usiadł przy małym stoliku naprzeciwko gospodyni, szepnął coś na ucho garsonowi.

W milczeniu spożyli przekąski, zakropiwszy je starym koniakiem.

Gdy garson wraz z potrawą z pulardy podał butelkę czerowonego wina, spojrzał redaktor uważnie na etykietę.

— Może pan pić, nie struje się pan — zapraszała Alicya, napełniając sama kieliszki.

— A widzę, widzę, że się pani bardzo dobrze zna na winach — wtrącił redaktor.

— Więc niechże pan pije, bardzo proszę.

Pan Horecki podniósł kieliszek i wyrzekł:

— Za pani pomyślność i za naszą młodą, a mam nadzieję, że serdeczną przyjaźń.

— Oby się tak stało—wyrzekła Alicya, dotykając własnym kieliszka redaktora.

Dobre wino wróciło redaktorowi swobodę, którą odebrało mu niezwykłe zachowanie się debiutantki. Zaczął teraz wypytywać Alicyą o jéj przeszłość i słuchał z wielką uwagą, jéj nie długich, a mimo to w wypadki bolesne brzemiennych dziejów. W miarę jak Alicya, opowiadając, ożywiała się, rosło zajęcie pana Horeckiego. Jego szafirowe, o stalowych połyskach oczy, zdawały się chwilami rozszerzać, a twardy wyraz ust cienkich złagodził uśmiech życzliwy.

Kiedy Alicya skończyła opowieść swoją, redaktor zbliżył się do niéj, ujął ją za obydwie ręce i, ściskając je szczerze, wyrzekł głosem miękkim.

— Z wszystkiego, co słyszę, widzę, że pani potrzebuje instruktora i opiekuna, któryby cię informował i bronił przeciw zawiściom świata teatralnego. Jeżeli mnie pani zechce przyjąć na swego rycerza, będę jéj służył z całém oddaniem.

Alicya odpowiedziała najsamprzód gorącym rumieńcem, następnie równie szczerym uściskiem dłoni.

— Oh, dziękuję, dziękuję panu — zawołała — przyjaźni nie odtrąca się nigdy, a tém mniéj w mojém obecném położeniu. Już próba

dzisiejsa odsłoniła mi rąbek świata, do którego wstępuję, a do którego jak czuję, trudno mi będzie przywyknąć. Jeżeli mi pan wtedy zechce ułatwić pierwsze kroki na scenie, odpłacę panu prawdziwą wdzięcznością.

— Nietylko pani ułatwię — zapewniał redaktor — ale uczynię wszystko, co w siłach moich, aby pani oszczędzić zwykłych, a bardzo przykrych zawodów debiutantki.

Alicya podziękowała uśmiechem, który odbił się w oczach redaktora szybkim płomieniem.

W téj chwili wchodził garson z butelką szampańskiego wina, mrożoną w lodzie.

Redaktor, nie zważając na ździwione spojrzenie gospodyni, kazał naczynie otworzyć i nalać płyn perlący się w kieliszki.

Gdy służący wyszedł, podbiegł do Alicyi i, chwytając powtórnie jéj ręce, mówił z pośpiechem:

— Przepraszam, że się sam rozporządziłem, ale jestem zdania, że tylko wino szampańskie jest godném ust pięknéj kobiéty. Jedyne to zresztą wino, które rozwesela, nie rozgrzéwając zbytecznie krwi.

Alicya nie sprzeciwiała się, biorąc szkło w palce, wyrzekła:

— Więc pijmy jeszcze raz za pomyślność naszéj młodéj, a szczeréj przyjaźni.

Kiedy pan Horecki w godzinę potém opuszczał debiutantkę, żegnał się z nią, jak z dobrą znajomą.

— Do widzenia jutro, do miłego widzenia — powtarzał jeszcze z korytarza.

V.

Jeszcze Alicya nazajutrz spoczywała w łóżku, kiedy jéj pokojowa przyniosła afisz teatralny. Zaledwie debiutantka rzuciła okiem na duży czerwony papiér, zerwała się z posłania przerażona. Po raz pierwszy w życiu wydrukowano jéj nazwisko dużemi, czarnemi literami podając je do wiadomości publicznéj.

— Więc to już dziś, za kilkanaście godzin—szeptała, przyciskając ręką bijące serce.

Dzisiaj ciemna przestrzeń, którą przywykła widzieć na próbach pustą, oświeci kilkaset płomyków gazowych i zaludni mnóstwo osób, spragnionych wrażeń artystycznych i wzruszeń. Dziś zbiorowy człowiek, zwany tłumem, obrzuci ją ciekawemi spojrzeniami i wyda sąd

doraźny o jéj uzdolnieniu aktorskiém. A może odtrąci, odepchnie nieznanego przybysza, może...

Coraz mocniéj i szybciéj uderzało serce Alicyi. Debiutantka musiała zebrać całą odwagę, aby przygotować się do wyjścia, na próbę ostatnią, która miała się odbyć w rannych godzinach.

Gdy wieczór nadszedł, udała się do teatru, tym razem już na przedstawienie. Wziąwszy klucz od stróża garderób, znalazła się w małéj, wapnem wybielonéj izdebce, w któréj zostawiono do jéj użytku tylko stół, krzesło, zwyczajną fajansową miednicę i dzbanek z wodą. Pokoik ten, nie różniący się zupełnie od celi więziennéj, oświecały dwa płomienie gazowe.

Bez przyjemności rozpatrywała się Alicya w swojéj przyszłéj siedzibie, tak niepodobnéj do buduarów, w których się w domu trefiła i ubierała. Nie zatrzymując się jednak dłużéj nad ubogiém urządzeniem garderoby aktorskiéj, kazała rozpakować kufry i sama zajęła się rozmieszczeniem swych rzeczy. Przyniesione przez nią dywany, tiulowe serwety, lustro własne i bukiet świeżych róż, przysłanych od redaktora Horeckiego, rozweseliły smutny pokoik, który się od razu zapełnił i zmienił do niepoznania. Przyodziana w biały muślinowy szlafroczek, zasiadła przyszła bohatérka dramatyczna przed toaletą i zaczęła się charakteryzować. Cienka warstwa *coldcremu*, trochę różu i pudru nie zmieniły białości i świeżości jéj cery, a szminką podkreślone powieki, mocniéj jeszcze uwydatniły jéj duże, ciemno stalowe oczy.

Pierwszy dzwonek zastał ją już gotową zupełnie. Kiedy muzyka rozpoczęła uwerturę, Alicya zadrżała.

— Boże mój, nie opuszczaj mnie, dodaj mi sił i odwagi—modliła się, szepcząc.

Dziwny strach przejmował ją, czuła zimno i drżenie w całém ciele; przedmioty w oczach jéj nikły, to mięszały się, przybierając inne, fantastyczne kształty. Była blizką omdlenia. Przypomniała sobie w téj chwili radę redaktora Horeckiego i kazała sobie podać kieliszek koniaku.

— Koniak wróci mi siły i rozgrzeje podrażnione nerwy.

Drugi dzwonek rozległ się niepokojącym dźwiękiem po kurytarzach. W garderobach sąsiednich powstał ruch, hałas, wołanie; odezwały się gniewy aktorek na niezręczne, albo nie prędko posługujące garderobiane.

— Zaczynamy — wygłosił inspicyent.

Do drzwi garderoby Alicyi zapukał ktoś zlekka.

— Proszę wejść—odezwała się drżącym głosem debutantka.

— Czy pani już gotowa?—wyrzekł, wchodząc reżyser Barosz.

— Tak, panie—pośpiesznie odpowiedziała Alicya, przyglądając mu się uważnie—z trudnością pana poznaję.

— Czy dlatego, że ucharakteryzowałem się na scenę? — zapytał reżyser.

— Nie sądziłam rzeczywiście — mówiła Alicya — aby maska i strój mogły tak człowieka zmienić.

Dziwny wydał jéj się ten mężczyzna, umalowany jak „*clown*“ cyrkowy.

Pan Barosz oglądał debiutantkę starannie ze wszystkich stron, popatrzył na jéj twarz, popróbował nawet ręką peruki, badając czy dobrze przymocowana, a przekonawszy się, że wszystko w porządku, wyrzekł:

— Czy wolno zapytać, w jakim stanie znajduje się pani serduszko. Czy wytrzyma debiut?

— Okrutnie bije, rzuca się w piersiach, jak ryba złowiona—odparła Alicya—ale sądzę, że trwogę jego opanuję.

— Serdecznie pani tego życzę—mówił reżyser, chwytając Alicyę za rękę—nie uwierzy pani, jak bardzo pragnąłbym jéj powodzenia, skoro sobie tego życzysz.

Dłoń jego ściskała przy tych słowach rękę Alicyi, a jego czarne palące oczy obrzucały ją płomienném spojrzeniem.

Właśnie rozległ się dźwięk ostatniego dzwonka. Kurtynę już podnoszono. Reżyser wybiegł, a debiutantka została na miejscu jak wryta.

Jeszcze kilka chwil, a stanie przed publicznością, przed sędzią swoim, który wyda na nią wyrok, bez pobłażania i bez litości.

Alicya przyłożyła obydwie ręce do falującéj piersi. Tak szybko biło jéj serce, że utrudniało jéj oddychanie.

— Na panią koléj — wrzasnął w téj chwili inspicyent, ukazujący się na progu garderoby.

Alicya odetchnęła szeroko, potém zrobiła nad głową znak krzyża i wyszeptawszy: w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, wyszła na scenę.

Gdy znalazła się na deskach, na których świat miał być odtwarzany, powiała na nią ze sali fala jakichś szmerów i stłumionych głosów, których znaczenia jeszcze nie rozumiała. Nie wiedziała, czy ją życzliwi witają, czy téż niechętni odtrącają.

Tylko starzy rutynowani aktorzy, tłoczący się za kulisami, wyczuli w chaosie urywanych i przeciągłych szeptów, sympatyczne zdzi-

wienie publiczności, która przypatrywała się z przyjemnością młodéj, urodziwéj z wytwornym smakiem ubranéj kobiécie.

Debiutantka, stanąwszy po raz pierwszy w życiu przed obliczem kilkuset doraźnych sędziów, straciła na chwilę przytomność. Roztaczająca się przed nią przestrzeń, podobna do różnobarwnego falującego morza, wydała się jéj przepaścią, od któréj dzieli ją zaledwie kilka sekund czasu. Jeszcze chwila, jeszcze słów kilka, mówiącego do niéj aktora, a ona mówić zacznie.

— Boże, Boże — milcząc, modliła się Alicya, bezmyślnie wpatrzona w dal.

Oczy jéj, rozszerzone gorączką, nie widząc nic, przebiegały kołyszące się fale głów. Czuła ból w sercu, gorycz w gardle, martwiała. Przed oczyma jéj stanęła cała przyszłość, która zależała może od dzisiejszego wieczora, spuściła oczy, aby zapomniéć o widzach i wsłuchiwała się w to, co mówili na scenie. Usłyszała ostatnie słowa.

— Teraz, już...

Wysiłkiem woli zdobyła się na przytomność i zaczęła mówić.

Z ust jéj popłynął głos dźwięczny postawiony bardzo dobrze, naginający się z wielką łatwością do treści. Posuwała się ze swobodą osoby dobrze wychowanéj i z dystynkcyą iście królewską. Chociaż wzruszenie ściskało jéj gardło, i sprowadzało szybkie bicie serca, mimo to nie potknęła się ani razu do końca aktu. Gdy spuszczano zasłonę, dziękowała jéj publiczność jednym przeciągłym oklaskiem.

Pewniéj już i ochoczéj, ośmielona szczerém przyjęciem, wyszła na scenę w akcie drugim. Gdy i tym razem występ jéj zamknęły oklaski, wróciła za kulisy tak szczęśliwa, że uczuła potrzebę podzielenia się radością swoją z kolegami. Kochała w téj chwili wszystkich komparsów, którzy jéj do tryumfu pomogli. Szybko zbliżyła się do jednéj ze starszych aktorek, aby jéj podziękować za pomoc.

— Myślałam, że pani w scenie z Rizzim przeleci przez kratkę do orkiestry—wyrzekła matka dramatyczna — trzęśliśmy się od śmiechu, a sufler połknął aż cały niuch tabaki z wesela.

Obrzucona brutalnemi słowami staréj komedyantki, zwróciła się Alicya do młodszéj koleżanki, grywającéj role naiwnych. Ale i tu spotkał ją zawód, naiwna bowiem, zamiast uścisnąć szczerze podaną jéj dłoń, odezwała się:

— Dlaczego pani nie otwiéra buzi szerzéj. Trzeba pamiętać, że publiczność nie siedzi tak blizko pani, jak my, trzeba mówić głośno, wyraźnie. Sykać już zaczęli.

Z dalszych kulis posłyszała jeszcze Alicya kilka zdań, które odsłoniły jéj psychologię świata dotąd nieznanego.

— Gada, jak kura — mówił ktoś — ciągle jednym głosem. Nic z niéj nie będzie.

— A pyszna — dodał ktoś inny — sroka jakaś! Wielka pani! Oh! ho!

Alicya uczuła się nagle obcą, samotną wśród tych wszystkich ludzi, od których dobréj lub złéj woli, zależało nadal jéj powodzenie. Przypomniawszy sobie słowa redaktora Horeckiego, zrozumiała, że życzliwe przyjęcie publiczności odwróciło od niéj serca współtowarzyszów. Zdobyta przez nią garść oklasków poruszyła widocznie mnóstwo ambicyi, zazdrości i zawiści.

Nizka złość otoczenia zatruła debiutantce rozkosz pierwszego uznania. Byłaby dużo za to dała, gdyby jéj ktoś w téj chwili uścisnął dłoń serdecznie i okazał radość z jéj szczęścia.

I znalazł się rzeczywiście ktoś taki. Gdy wracała do garderoby, aby się przebrać do aktu czwartego, zaszedł jéj drogę redaktor Horecki i, uścisnąwszy jéj obydwie ręce, mówił głosem ciepłym, w którym przebijała prawda.

— Winszuję pani, winszuję, z całego serca winszuję sukcesu. Wzięła pani publiczność wstępnym bojem, co mnie niekłamaną sprawia przyjemność. Jestem bardzo szczęśliwy, że los pozwolił mi stwierdzić piórem i drukiem pierwszy pani tryumf. Obowiązek ten wynagrodzi mię taką radością, jakiéj już dawno nie doznałem. Och, winszuję pani, winszuję...

Alicya trzymała dłonie redaktora kurczowo w swoich, oddając mu uścisk równie gorący. Wszakże był to jedyny człowiek, który brał udział w jéj powodzeniu, który jéj nie zazdrościł i nie zniechęcał. Byłaby się rzuciła na jego szyję, złożyła głowę na jego piersi. Tak potrzebowała się przytulić do kogoś życzliwego. Ale pan Horecki był dotąd dla niéj obcym. Nie miała prawa narzucać mu swoich trosk i uciech.

— Nie wiem, jak mam panu podziękować — mówiła, obrzucając redaktora spojrzeniem pełnem wdzięczności—taki pan dobry, taki pan zupełnie inny od mojego obecnego otoczenia.

— Niech pani nie dziękuje—wyrzekł pan Horecki — prawdziwa przyjaźń nie ma potrzeby dobiérać słów, a mniemam, że przyjaźń nasza jest odtąd faktem dokonanym.

— Och, tak, tak — szeptała Alicya — nie zapomnę panu nigdy téj chwili...

Spojrzeli na siebie i uczuli, że złączyła ich różowa wstęga rze-

czywistego przywiązania. Wiedzieli o tém, że życzyli sobie dobrze, że byli sobie blizcy.

— Za przyjemność, jaką pani nam sprawiła—mówił redaktor— należy się pani od nas, publiczności, doraźna nagroda. Pani pozwoli zaprosić się po spektaklu na skromną wieczerzę, którą obmyśliliśmy dla ciebie z kilku kolegami. Chcę pani w ten sposób ułatwić zawarcie stosunków i znajomości, bez których aktorka istnieć nie może.

W tém odezwał się dzwonek inspicyenta i przerwał dalszą ich rozmowę.

Powodzenie Alicyi było zupełne, rosło z każdym aktem.

Kiedy wróciła po skończeniu widowiska do garderoby, zastała w niéj dyrektora teatru i reżysera. Obydwaj zasypali ją uprzejmemi słowami, łącząc swoje uznanie, uznanie fachowe, do doraźnéj oceny publiczności. Dyrektor nalegał, aby zgodziła się natychmiast na stałe angażowanie.

Gdy Alicya, przebrawszy się, opuszczała teatr, spotkała się w *foyer* z panem Horeckim, który czekał na nią otoczony gronem nieznanych jéj osobistości. Nastąpiła prezentacya. Alicya poznała jeszcze dwóch innych redaktorów, trzech młodych rezydentów teatralnych i kilku adwokatów. Między zaproszonymi znajdowali się także dyrektor i reżyser.

Kolacya odbyła się w tym samym hotelu, w którym debiutantka zamieszkała. W jednym z większych gabinetów, służących do podejmowania liczniejszego towarzystwa, czekały już na gości zakąski, rozstawione na małym stoliku. Był tu kawior, homar, ostrygi, kanapki, łosoś, sardynki, śledzie pocztowe i mnóstwo innych przysmaków, dobranych przez pana Horeckiego z niepospolitą znajomością gastronomiczną.

— Zaczynamy od wódeczki — mówił redaktor, który wprowadził Alicyę, — jaką pani można służyć? słodką, gorzką czy koniakiem? Sądzę, że najlepiéj odrobinę koniaku po emocyi całego wieczoru.

Dziwném wydało się młodéj kobiécie, nie przywykłéj do takiéj kolacyi, wszystko co widziała naokoło siebie. Znalazłszy się w towarzystwie samych tylko mężczyzn, przekroczyła po raz pierwszy formy i reguły, jakiemi się dotąd kierowała. I wódki nie pijała w domu publicznie i nigdy téż nie znajdowała się w gabinecie restauracyjnym bez opieki męża, lub kogoś z krewnych. Jeszcze temu kilka tygodni byłaby się śmiertelnie obraziła, gdyby się ktoś był ośmielił zaprosić ją na podobną wieczerzę. Wiedziała teraz, że się stosunki, zwyczaje i obyczaje, a nawet pojęcia zmieniają razem z położe-

niem, z zewnętrznemi warunkami bytu. Zawstydzona, onieśmielona, wzięła z rąk pana Horeckiego drżącemi palcami kieliszek koniaku i wypiła go szybko. Reszta towarzystwa rzuciła się teraz z głośnym gwarem na wódkę i zakąski.

Uprzejmym ruchem ramienia wskazał jéj redaktor miejsce na samym czele długiego stołu, nakrytego na dwanaście osób.

— Należy się pani miejsce honorowe—mówił pan Horecki — bo to dziś pani ślub ze sztuką.

— Gdzie oblubienica, tam musi być i mąż — zawołał ktoś z obecnych.

Wesoły śmiech reszty wynagrodził dowcipnisia.

— Niechże oblubienica sama wybiera — wyrwał się ktoś drugi.

— Brawo, brawo, niech wybiera—wołano zewsząd.

Alicya zarumieniła się, nieco za swobodny wydał jéj się ton wesołych panów.

— Sztuka chodzi zwykle w parze z opinią publiczną, która, opiekując się nią, popierając i zasłaniając, zastępuje jéj męża—mówił dyrektor teatru, skłoniwszy się w stronę Horeckiego.

— Doskonale, doskonale—wołano—więc po prawéj siądzie pan Horecki, a po lewéj redaktor „Tygodnika".

Do Alicyi przysunął się średniego wzrostu, dosyć otyły brunet, posuwający się prosto, sztywno, na krótkich nóżkach. Na jego twarzy, zdradzającéj pochodzenie semickie, malowała się zmysłowość, jakaś złość zaczajona w oczach kłujących.

Pan Neuberg ukłonił się Alicyi ruchem protekcyonalnym i wyrzekł głosem skrzeczącym:

— Mam nadzieję, że będziemy żyli zawsze w zgodzie, jak przystoi na uczciwe stadło małżeńskie.

Słowa te podkreślił znaczącém spojrzeniem, które wywołało powtórny rumieniec na twarz Alicyi.

Gdy Alicya spoczęła na krześle, otoczona z dwóch stron redaktorami, a reszta towarzystwa zajęła miejsca dowolne, zaczęła służba obnosić półmiski. Jedzono zrazu wśród szeptu stłumionego, zakrapiając rybę winem czerwoném, w miarę jednak jak ubywało pełnych butelek, a przybywało pustych, podnosiła się skala gwaru. Równocześnie z podniesioną temperaturą krwi, zmieniały się gesty, ton i przedmiot rozmowy: panowie przy rybie przyzwoici, zachowywali przy pieczystém już mniej względów, należących się kobiécie, a gdy podano szampana, zdawali się zapominać, że nie znajdują się tylko w towarzystwie męzkiém. Posypały się dowcipy, dwuznaczniki, uwagi

wątpliwéj treści, w stronę zaś debiutantki szły coraz częściéj spojrzenia wyzywające, śmiałe, zuchwałe w końcu, które ją obrażały.

-- Niech panią nie dziwi ton, jakim się ci panowie posługują — mówił Horecki do Alicyi. — Przyzwyczaiły ich do niego aktorki, nietylko prowincyonalne, lecz nawet pierwszorzędne. I pani musi do niego przywyknąć.

— Zdaje się, że nie pogodzę się nigdy z kabotyneryą teatralną, a przynajmniéj będę się starała utrzymać zawsze na stanowisku kobiéty uczciwéj i dobrze wychowanéj.

— W takim razie nie zrobi pani nic w teatrze — odezwał się redaktor Neuberg. — Kto bowiem chce dobrze odtwarzać ludzi, słabości i namiętności ich, musi te słabości i namiętności osobiście zbadać. Najpierwsze atorki świata nie dochodziły przez cnotę do stanowiska i sławy.

— Nie chciałabym za tę cenę być sławną—wyrzekła Alicya.

— Tak pani dziś mówi, ale niech pani tylko zasmakuje w oklaskach, a zrobi pani dla nich wszystko — zauważył pan Neuberg.

W gabinecie zrobiło się tak głośno, jak gdyby nie dwanaście, ale sto osób w nim biesiadowało. Coraz częściéj rozlegał się odgłos strzelających korków szampana, coraz to swobodniejsza stawała się rozmowa, coraz bezwzględniejsze słowa rzucane w stronę debiutantki.

Alicya, nie mogąc znieść dłużéj atmosfery męczącéj, pochyliła się do Horeckiego i szepnęła:

— Jeżeli mi pan dobrze życzy, zechciéj mnie stąd wyprowadzić.

Nie tak to jednak było łatwo, jak jéj się zdawało. Towarzystwo, spostrzegłszy jéj zamiar, zerwało się z krzeseł i otoczyło ją wieńcem.

— Nie puścimy pani, nie puścimy, nie godzi się opuszczać tak wcześnie dobrych przyjaciół, dopiéro się teraz na prawdę bawić będziemy, teraz dopiéro będzie wesoło, swobodnie — wołały zewsząd różne głosy.

Z wielkim trudem zdołał Horecki uwolnić Alicyę i przekonać jéj wielbicieli o potrzebie wypoczynku po silnych wrażeniach pierwszego występu.

Gdy się Alicya w kwadrans potém znalazła w swoim pokoju, rzuciła się twarzą na szeslong i wybuchła głośnym płaczem.

VI.

Było już późno, kiedy się Alicya nazajutrz przebudziła. Ciężki, fantastycznemi widziadłami przerywany sen, nie pokrzepił jéj ciała. Czuła się znużona, wystudzona, jak gdyby przez noc całą wcale nie spoczywała. Wrażenia dni ostatnich szły tak szybko po sobie, były dla kobiéty wychowanéj w innych warunkach, tak niezwykłe i ciężkie, że ją nad miarę podrażniły. Widziała już teraz z osobistego doświadczenia, iż życie, które będzie odtąd prowadziła, nie ma nic wspólnego z dawniejszém. Zrozumiała obniżenie swego stanowiska towarzyskiego, narażanego ciągle na każdym kroku.

Rzucając się w nocy niespokojnie po posłaniu, śniła o teatrze, o próbie, o debiucie i o kolacyi w towarzystwie męskiém. Aktorzy przybierali jakieś postaci karykaturalne, wykrzywiali twarze, targali ją za suknię, wlekli po scenie, a publiczność to klaskała, to świstała. Ponad tą wrzawą piekielną unosił się głos redaktora Neuberga, suchy, chrapliwy, nieprzyjemny. Alicya usiłowała się wydostać z grona nieprzychylnych jéj ludzi, broniła się, uciekała, szamocąc się daremnie. Właśnie ukazał się w głębi widowni pan Horecki, śpiesząc jéj z pomocą, gdy się przebudziła.

Wyczerpana snem męczącym, dźwignęła się leniwo z łóżka i spojrzała na zégarek. Było już południe, zadzwoniwszy na służbę, kazała sobie podać śniadanie i gazety poranne.

Po raz pierwszy w życiu pochwyciła drżącą ręką, z chorobliwym pośpiechem zadrukowane arkusze papiéru. Mówiły przecież o niéj, skrystalizowały sąd publiczności, wyrok wydały na nią przez nieznane audytoryum. Od téj białéj świéżą farbą drukarską przesiąkłéj bibuły, zależało jéj jutro, jéj los. Szybko rozwinęła dziennik Horeckiego, szukając oczami rubryki teatralnéj. Wzrok jéj padł po chwili na nazwisko, które ją przeraziło. Było to jéj imię wydrukowane tłustemi literami. Pan Horecki poświęcił debiutantce dużo miejsca, rozpisał się obszernie o sztuce saméj, a przeszedłszy następnie do wykonawców, uwzględnił głównie debiutantkę, któréj przyznał duży zasób talentu, niezwykłą jak na nowicyuszkę pewność ruchów i poprawną dykcyę. Słowa jego były tak szczere, taką jakąś serdecznością zaprawione, że Alicya poczuła w nich pióro przyjaciela. Odczytawszy recenzyę z bijącém sercem do samego końca, ukryła twarz w dłoniach i przetrwała kilka minut w upojeniu. Potém wróciła raz jeszcze do krytyki, przeczytała ją po raz drugi, trzeci, czwarty, rozkoszując się pochwałami. Bez obawy już wzięła drugą gązetę, któ-

réj redaktorem był pan Neuberg. Znalazła tam ton zupełnie inny. Wprawdzie nie odmówiono jéj i w „Tygodniku“ talentu, ale uczyniono to z taką ilością zastrzeżeń, tak sucho i niechętnie, że zwroty nie dopowiedziane, zatarły wrażenie wygłoszonych. Zadziwiło to więcéj Alicyę, aniżeli zasmuciło. Debiutantka nie rozumiała, aby dwóch ludzi mogło miéć o téj rzeczy zdanie tak odmienne. Zdawało jéj się bowiem jeszcze, że słowo drukowane mówi zawsze tylko prawdę, że jest nieprzedajne i rzetelne. Wierzyła oczywiście więcéj sądowi Horeckiego, niż Neuberga.

Spragniona po niespokojnie spędzonéj nocy świeżego powietrza i ruchu, ubrała się i była już gotową do wyjścia, kiedy ktoś do drzwi zapukał i na jéj uprzejme „proszę“ — ukazał się w pokoju dyrektor teatru.

— Szczerze pani winszuję wczorajszego debiutu — odezwał się na powitanie — ale co pani zrobiła Neubergowi, że się z panią tak dyplomatycznie obszedł. Trzeba go sobie było trochę zjednać, do czego była wczoraj po spektaklu wyborna sposobność. Chytry to pan i sprytny, ale zręczność niewieścia znajdzie i na takich sposób.

— Zdawało mi się—odparła Alicya — że dla krytyka wystarcza takie lub inne wykonanie.

— Tak zdaje się wszystkim debiutantom — mówił dyrektor — czemu się wcale nie dziwię, ale trzeba się koniecznie nauczyć znajomości świata, do którego pani wstępuje. Publiczność powtarza sąd recenzentów, oni więc właściwie zapełniają salę teatralną, a nam aktorom dają stanowisko.

— Przepraszam pana—mówiła Alicya—ale...

— Proszę się nie tłómaczyć—podchwycił dyrektor — to są rzeczy, które przychodzą z czasem. Ponieważ publiczność panią życzliwie przyjęła, a pan Horecki, którego sąd u nas najwięcéj waży, panią poparł, przeto podpiszę chętnie umowę na sezon bieżący, jeżeli się pani na warunki moje zgodzi.

Warunki podane przez dyrektora nie odpowiadały nadziejom Alicyi. Zwierzchnik pocieszał polepszeniem ich na przyszłość, ale radził usilnie, aby starała się pozyskać przychylność Neuberga, a raczéj jego czytelników.

Gdy się wieczorem ukazała w teatrze za kulisami, zbliżył się do niéj ze słowem życzliwém jedyny tylko Barosz. Reszta kolegów witała ją chłodno, a koleżanki z wyraźną niechęcią. Daremnie siliła się na uprzejmość dla wszystkich, pragnąc zawiązać stosunki ściślejsze z towarzyszami. Aktorki odpowiadały jéj z przymusem, obrzucając zawistném spojrzeniem jéj elegancką toaletę. Wszędzie do ko-

gokolwiek się zwróciła, czytała na twarzach ukrytą jakąś zawiść, któréj sobie na razie wytłómaczyć nie mogła.

Wszedłszy do swojéj garderoby, usłyszała obok w pokoiku sąsiednim rozmowę kilku aktorek, która rzuciła pełną garść światła na to, co się wkoło niéj działo.

— Patrzcie, jaka mądra—mówiła pierwsza amantka—ktoby się po niéj tego spodziéwał. Taka niby skromna, a jednak jaka sprytna. Ja kiedy debiutowałam, to nie łaziłam po redakcyach, nie żebrałam o reklamy i dlatego nic o mnie nie pisali. Ale mało mnie to obchodzi. Uznanie zdobyłam i bez tego, a jéj rywalizacyi wcale się nie boję. Już nie jedną taką mądrą przetrzymałam i jeszcze przetrzymam.

— A czy pani wié — odezwała się inna aktorka — że ta gąska była wczoraj na kolacyi w gabinecie. Podobno spiła się jak niebo-skie stworzenie i całowała wszyskich panów po kolei.

— A wiem, wiem. Całe miasto o tém gada. Naturalnie, nowe sitko, głupcy na nią lecą, ale zobaczymy, co będzie za rok.

— Za rok to będzie mamki grywała, albo ogony z kanapy. Wszystkieśmy to samo przechodziły.

Alicya nie słuchała daléj. Zamknąwszy drzwi wyciągnęła ręce w górę i zawołała:

— Więc tak wygląda odwrotna strona medalu! Tak wyglądają kulisy stanu aktorskiego! Okropnie, okropnie!...

Długo stała w miejscu, zdeptana, złamana we dwoje. Serce jéj wzbierało łzami, pierś podnosiła się łkaniem.

— Okropnie, okropnie—powtarzała coraz ciszéj.

— A jednak trzeba wytrwać!—zawołała głośniéj.

Otarłszy łzy i zakrywszy ślady ich pudrem, opuściła garderobę z zamiarem udania się na salę, gdyż nie miała dziś za kulisami żadnego zajęcia.

Na kurytarzu, prowadzącym do lóż pierwszego piętra, spotkała się z Horeckim. Podali sobie ręce szczerze i weszli do loży.

— Powraca pani z za kulis? Jakże przyjęły panią koleżanki?— zwrócił się z zapytaniem redaktor.

I nie czekając na odpowiedź Alicyi, mówił daléj, badawczo w nią się wpatrując.

— Widzę łzy w oczach pani... Spodziewam się od pani szczerości, bo chyba wierzysz temu, że wszystko, co ciebie dotyczy, obchodzi mnie bardzo.

— Wierzę panu i dziękuję z całego serca. Ale pomimo, że pragnęłabym ulżyć sobie, dzieląc się z panem przykrością, jaka mnie przed chwilą spotkała, nie zdołam powtórzyć wszystkich bezlitosnych

oszczerstw, jakiemi zaocznie obrzucili mnie ci ludzie — załzawionym głosem wypowiedziała Alicya, padając na fotel, ustawiony w głębi loży.

— Pojmuję pani drażliwość, bo spotyka cię to po raz pierwszy— wyrzekł Horecki — ale mam nadzieję, że z czasem przywykniesz do intryg i zawiści aktorskiéj.

— Nie, panie—przerwała z mocą Alicya—do tego nie przywyknę nigdy.

— Nigdy?! — wpatrując się w nią zajęciem, powtórzył redaktor—więc co będzie?

— Doprawdy, nie wiem—głucho, jak gdyby do siebie wymówiła Alicya.

I ona w téj chwili zadawała sobie w głębi duszy pytanie: co będzie?

Powiodła wzrokiem po zapełnionéj sali. Cofnęła się jednak szybko. Uczucie wstydu ogarnęło ją całą.

Więc i ona dziś już należała do téj gromady ludzi, murem chińskim oddzielonéj od reszty świata. Jedna godzina, jedno ukazanie się na tych deskach...

— Ależ nie, nie, to być nie może — szepnęła do siebie i zwróciła się twarzą do Horeckiego.

Pierś jéj podniosło ciężkie westchnienie, oczy pałały ogniem, była jak w gorączce.

— Nigdy nie widziałem pani tak piękną — wpatrując się w nią, wyrzekł Horecki.

— Nigdy jeszcze nie byłam tak nieszczęśliwa—wymówiła z bólem w głosie Alicya. — Patrzyłam na ruinę majątkową, widziałam dużo nieszczęść swoich i cudzych, ale sama nie czułam nigdy hańby na sobie, a teraz ci ludzie obrzucają mnie nią dowolnie. Oh, panie, te nad moje siły!... — Zakrywając twarz, powtarzała — ja tego nie zniosę!...

Horecki śledził każdy ruch jéj, każde jéj słowo. Ta kobiéta przed kilkoma dniami poznana w zwykłych okolicznościach debiutantki, przedstawiała mu się coraz dziwniéj, niezwykléj. Jéj młodość, jéj piękność, jéj samotność, zachowanie się jéj, zajmowały i zachwycały go. Wydawała mu się tak zupełnie inną od wieln dotąd spotkanych kobiét i aktorek.

Spojrzał na nią uważnie.

Jasne jéj włosy nie wydały mu się nigdy tak bujnemi i pięknemi, jak teraz. Ciemno-stalowe oczy paliły się tajonym bólem i błyszczały wstrzymywaną łzą. Miała na sobie czarną aksamitną suknię,

która bardziéj jeszcze uwydatniała białość jéj cery i zabarwione krasą policzki; kosztowne brylanty w uszach, świeże róże we włosach i przy staniku, czyniły ją samą i toaletę jéj harmonijnie ładną.

— Rozumiem panią, współczuję z tobą i uczyniłbym wszystko, aby cię uszczęśliwić—z zapałem mówił Horecki—w ukryciu ściskając rękę Alicyi, któréj mu ona nie broniła.

W téj chwili akt się skończył, kurtynę opuszczono; orkiestra zalała salę dźwiękami walca.

Horecki podniósł się z miejsca i, utkwiwszy w Alicyi błyszczące szafirowe oczy, zapytał:

— Czy pozostaje pani do końca widowiska?

— Nie, panie, za chwilę opuszczę lożę. Czuję się bardzo strudzoną i wyczerpaną.

— Czy pozwoli pani odwiedzić się dziś w hotelu?

— Jeżeli pan łaskaw, proszę.

— Do widzenia więc za kwadrans.

To mówiąc, skłonił się z powagą debiutantce i wyszedł.

Zaraz po wyjściu Horeckiego do loży Alicyi wszedł redaktor Neuberg.

— Witam panią i pozdrawiam serdecznie — wycedził, wyciągając do niéj rękę protekcyonalnie. — Wygląda pani ślicznie. Wszystkie lornetki zwracają się w stronę twojéj loży. Artystka ma zawsze w sobie coś, co nęci i pociąga.

— Nawet wtedy, kiedy się o to sama nie stara?

— A któraż to aktorka nie stara się o to, aby się podobać?

— Taka, któréj na tém nie zależy.

— Nie może nie zależéć kobiécie w teatrze, aby nie zdobyła sobie jaknajwiększéj ilości wielbicieli—wymówił z pewnością siebie redaktor, przysuwając krzesło swoje do Alicyi, tak, że kolanami swemi otarł się o suknię debiutantki.

Alicya odsunęła w tył krzesło.

— Tak jest, każda artystka stara się, aby grą swoją i pracą zdobyć jaknajwiększe uznanie, a tym sposobem zjednać najwięcéj wielbicieli—odpowiedziała Alicya.

— Pani tak mówi, jak dziecko. Chcąc dobrze grać, trzeba miéć piękne toalety, kosztowne brylanty, dobre recenzye, kwiaty, a to wszystko zależy nie od aktorki, lecz od jéj wielbicieli.

Alicya miała chęć rzucić Neubergowi kilka słów wzgardy i skłoniwszy mu się opuścić lożę, ale przypomniała sobie wyraźnie instrukcye dyrektora, wyrzekła więc:

— Zapewne pan redaktor zna lepiéj życie teatralne odemnie, która dopiéro wczoraj rozpoczęłam karyerę artystyczną, ustępuję mu więc zdania w téj sprawie.

Orkiestra grała skoczną polkę.

— Trzy rzeczy na świecie są, dla których warto stracić głowę— mówił Neuberg—wino, kobiéta i muzyka.

— Czy pan redaktor żonaty?—przerwała Alicya.

— Naturalnie — odpowiedział pan Neuberg, mlaszcząc językiem.— Ale żona to taki towar, który się zostawia w domu, a po nowe zdobycze chodzi się na miasto—i zadowolony, że mu się udał dowcip, zaśmiał się głośno.

Alicya wyczekiwała z upragnieniem końca antraktu i pozbycia się Neuberga. Widocznie zrozumiał to, bo podniósł się i wyrzekł:

— Nie jest pani dziś w humorze. Będę u pani jutro, w hotelu, bo należy się pani odemnie wizyta.

— Będę oczekiwała pana redaktora—wyrzekła Alicya, skłoniwszy się grzecznie.

— Do miłego widzenia jutro — ściskając jéj rękę, wyrzekł Neuberg.

— Do widzenia — powtórzyła, a kiedy się za nim drzwi loży zamknęły odetchnęła z trudnością i szepnęła—nareszcie wyszedł.

Pośpiesznie zarzuciła na głowę koronkową chusteczkę, zasłoniła twarz gęstą woalką i, otulając się kosztowną futrzaną rotundą, opuściła lożę. Potém szybko zeszła po schodach i zniknęła w ciemnościach ulicy.

Tu i tam poleciał za przechodzącą szept jakiś.

— Widziałeś? Wczorajsza debiutanka—rzucił ktoś zdaleka.

— Patrz, patrz, to nowa aktorka z Warszawy.

— Ładna, widziałeś?...—zapytał ktoś inny.

— Wielka dama, ani nie spojrzała na nas nawet.

Przybywszy do hotelu, Alicya zadzwoniła na służbę i zamówiła wieczerzę. Potém zdjęła szybko ciężką, aksamitną toaletę, wzięła na siebie biały flanelowy szlafroczek, podbity różową materyą, rozpięła modną, wysoką fryzurę i związując włosy lekko wstążką, rzuciła się na szeslong, aby cokolwiek odpocząć.

Wrażenia, zmieniające się z nadzwyczajną szybkością, wyczerpywały ją niewymownie, czuła zamęt w głowie i brak sił przerażający.

Za chwilę miał przybyć Horecki, człowiek tak bardzo inny od wszystkich, których dotąd poznała. Przymknęła powieki, wypoczywała.

— Czy pani przyjmuje — odezwał się ktoś z kurytarza, lekko pukając do drzwi.

— Proszę—zawołała Alicya i zerwawszy się, pobiegła, aby powitać oczekiwanego gościa.

Horecki ujął jéj rękę i składając na niéj długi, przeciągły pocałunek, wpatrywał się, nie ukrywając swego uwielbienia.

— Po raz pierwszy widzę panią w stroju negliżowym i przyznać muszę, żeś w nim jeszcze piękniejsza.

— Nie pozwala mi pan przyjść do słowa, witając mnie komplementem. To ja raczéj powinnam przeprosić, że ośmielam się przyjmować wizytę pańską w rannym szlafroczku. Ale, doprawdy, czuję się tak bardzo strudzoną, że mam nadzieję, iż życzliwość pana tę pozorną opieszałość mi przebaczy.

— Nietylko przebaczy, ale i podziękuje — wyrzekł Horecki. — I powtórnie ucałował ręce Alicyi.

— A teraz niech pan spocznie, proszę. Cały wieczór dziś do mnie należy. Mam panu tyle do powiedzenia...

To mówiąc, wzięła dwie poduszki z kanapy i ułożywszy z nich oparcie, usiadła wygodnie i wyciągnęła swobodnie nóżki, obute w pantofelki tureckie, złotem haftowane.

Horecki obserwował ją uważnie; po chwili także zajął miejsce.

— Czy pani pozwoli?—zapytał, sięgając po cygaro.

— Proszę pana. Tak jestem spragniona podzielić się z panem wrażeniami chwil ostatnich. Pan jest jedynym człowiekiem z wszystkich w tém mieście poznanych, którego rozmowa nie sprawia mi przykrości. Zapomniałam panu powiedziéć, że jedyną jasną chwilę dnia dzisiejszego zawdzięczam panu. Oh, dziękuję, dziękuję — i wyciągając do niego rękę, mówiła daléj. — Tyle serdeczności, tyle ciepła znalazłam w sprawozdaniu o grze mojéj w pańskiém piśmie, że chyba nigdy nie zapomnę uczucia radości, jaką ono spowodowało.

W tejże chwili podano wieczerzę.

— Jeżeli pani zgodzi się na mój wybór, ja zamówię wina — wyrzekł Horecki.

— Już zamówione. I zdaje mi się, że gust mój odpowie życzeniom pana.

Służący ustawiał nakrycia, kieliszki i półmiski z potrawami.

Horecki spojrzał znacząco na butelki i uśmiechając się do gospodyni, wyrzekł:

— Pani jesteś nietylko zachwycającą, ale i dobrą jak anioł.

Alicya częstowała gościa z uprzejmością i swobodą; naléwała wino, podawała owoce.

— Wnoszę toast na cześć bohatérki wczorajszego wieczora i najmilszéj, dzisiejszéj gospodyni — odezwał się redaktor

— Wychylam cały — mówiła Alicya, niosąc do ust kieliszek złotawego płynu — i dziękuję w imieniu debiutanki i mojém własném.

— Jakiego uczucia doznaje pani na myśl, żeś od dziś już została zaliczona do grona aktorów i aktorek? — zapytał, wpatrując się z ciekawością redaktor.

— Dziwnego, niewytłómaczonego. Ogarnia mnie jakiś smutek, czuję żal do siebie i do wszystkiego co mnie pchnęło na tę drogę. Nie pojmuję jeszcze tego nowego uczucia, ale domyślałam się, że mi ono nie wróży nic dobrego na przyszłość.

— Przyszłość jest już teraz w ręku pani saméj. Możesz nią kierować dowolnie. Postawiłaś pierwsze kroki na tych deskach tak dobrze i szczęśliwie, że chyba zadowolenie samo powinno panią napełnić radością i nadzieją. Nie pojmuję goryczy w usposobieniu zwycięzcy na drugi dzień po wygranéj bitwie.

— Tak prawda, pan ma słuszność. To, co się działo w twoich oczach wypadło na moją korzyść, poznałeś mnie przed debiutem, zagrałam dobrze, jestem zaangażowaną, zebrałam garść oklasków, powinnam się starać, aby ich zdobyć więcéj i t. d. A jednak...

— A jednak to pani nie wystarcza — podchwycił Horecki. — Zbyt młodą i zanadto piękną jesteś, aby ci oklaski same wypełniły życie...

— Nie panie, nie rozumiemy się — przerwała Alicya. — Nie o samotności mojéj chcę mówić, lecz o zawodzie, jaki wywarła na mnie sztuka i teatr zblizka.

— Tym razem rozumiemy się — wyrzekł z uśmiechem redaktor — ale teraz ja zacznę robić pani uwagi. Pani jesteś idealistką, żądasz od zwykłych, pospolitemi skłonnościami obdarzonych ludzi, aby w dzień powszedni i przy pracy, byli odświętnie przyodziani i witali cię zawsze wykwintną uprzejmością i uśmiechem.

— Pod tym względem i po części zgadzam się z redaktorem na zarzut jaki mi czynisz. Brak mi tego grzecznego zawsze względem mnie otoczenia, téj uprzejmości towarzyskiéj, jaką się otacza nasz świat, ale z tego powodu nie śmiałabym obwiniać tych ludzi. Nie panie, mam im za złe przewrotność i złośliwość wyrafinowaną, którą mnie powitali.

— Pojmuję panią — wyrzekł Horecki, obrzucając ją całą troskliwém spojrzeniem. — Ale ci ludzie i ten świat dla pani się nie zmie-

nią, a pani jeżeli chcesz pracować w teatrze, zastosuj się; inaczéj, prócz jednéj walki o byt, przybędzie ci druga walka saméj ze sobą.

— Czy potrafię panie, czy mi starczy sił zerwać ze wszystkiém, w czém się wychowałam i zżyłam — odparła z głębokiém westchnieniem Alicya.

— Ja będę pani dopomagał, będę czuwał nad tobą, uczynię wszystko, byle choć w części osłodzić pani tą ciernistą i trudną drogę.

— Dziękuję panu — ze łzami w oczach wyrzekła.

Zamilkli oboje.

Migotliwy blask świéc, rzucał fantastyczne cienie na twarz Alicyi, odbijał się w perlistym płynie szampana i drżał niepewny w ciemnych źrenicach Horeckiego.

— Życie składa się z samych niespodzianek — przerywając ciszę, wyrzekła Alicya.

— Zgadzam się — odpowiedział Horecki — ale częstokroć z bardzo miłych niespodzianek. Bo czyż nie jest nad wyraz wszelki miła niespodzianka dla autora, dla człowieka, dla krytyka wreszcie, spotkać kobiétę taką jak pani?

— Doprawdy? A czémże ja się różnię od kobiét wogóle?

— Wszystkiém...

— Wszystkiém? — uśmiéchając się, powtórzyła Alicya. — Krzywdzi pan cały rodzaj niewieści, wyróżniając mnie jedną ze wszystkich! A ponieważ nie znoszę, aby kto wobec mnie popełniał coś niemiłego drugim, wnoszę toast na cześć pokrzywdzonych!

— Wybornie, doskonale! — mówił w zapale Horecki, biorąc z rąk Alicyi kielich, napełniony winem — z pani rąk przyjąłbym nawet truciznę!..

— Gdyby była tak dobrą i smaczną jak to wino — śmiejąc się, podchwyciła Alicya.

— Gdyby była tak dobra i słodka, jak pani!

— Niech i tak będzie — odrzekła. — Gorycze, jakie mnie bezustannie od jakiegoś czasu spotykają, wzbudziły we mnie tęsknotę za wszystkiém, co jest dobrocią ludzką. Słucham więc słów pana z ufnością i radością, bo czuję potrzebę czyjejś serdeczności.

Horecki z zachwytem przyglądał się jéj zarumienionéj twarzyczce i oczom, które patrzyły jasno i szczerze, gdy do niego mówiła te słowa.

— Czy tylko serdeczności? — podchwycił. — Wszelka przyjaźń mężczyzny do kobiéty i odwotnie prowadzi zawsze do uczucia silniejszego — do miłości.

— Do miłości? — wpatrując się w niego, powtórzyła Alicya.

— Tak, bo to jest jedyne pragnienie ludzkie, które wszystkiego pożąda i daje wszystko, jedyna gra biorąca i dająca życie, jedyne szczęście naprawdę. Pozatém istnieją tylko troski i rozczarowania.

— Być może, ale czyż i tutaj niema rozczarowań?

— Prawda. Ale tutaj czar chwili płaci sowicie za niedobory przyszłości — coraz bardziéj zapalając się, mówił Horecki. — Tak jak w kielichu wina tonie pamięć chwilowych przykrości, tak w gorącym pocałunku ust zapomina się o całym świecie cierpień ludzkich. Na cześć miłości więc wnoszę toast i składam go w ręce pani.

— Na cześć miłości — wyrzekła.

Oczy jéj spotkały się z oczyma Horeckiego i zatrzymały przez chwilę w jego ognistych źrenicach.

— Pani patrzysz na mnie z ciekawością i niedowierzaniem — mówił przekonywająco Horecki. — Bo może nie wiész co to za rozkosz kochać, jaki to zachwyt patrzéć na oczy i usta, uśmiéchające się do nas rozkosznie, rozchylone w gorącym pocałunku, pragnieniem rozbudzone... Ach! pani Alicyo! — wyrzekł z zapałem.

Podniósł się szybko, podszedł do kanapki, na któréj siedziała Alicya, chwycił jéj obydwie dłonie w swoje ręce, przyciągnął do siebie i wpatrując się w jéj płonącą twarz, mówił namiętnie:

— Jakaś ty piękna, Alicyo, jak mnie ciągnie siła jakaś niezwyciężona do ciebie... Kocham cię jak żadnéj dotąd nie kochałem kobiéły...

— Panie — przemówiła prawie nieprzytomnie Alicya.

Horecki objął ją jeszcze silniéj ramieniem i nachylając się tak, że oddech ich łączył się w jedno tchnienie, mówił daléj, coraz namiętniéj:

— Nie pojmujesz chyba Alicyo, jaka to męczarnia miéć cię w objęciu, patrzéć na twoje usta i oczy i nie całować, nie pieścić cię, a czuć, że drżysz takiém samém jak ja pragnieniem.

Ona, upojona, pochyliła głowę na jego ramię, przymknęła powieki i zdawała się śnić. I ją ogarniało jakieś miękkie roztkliwienie i ona czuła, że ją siła jakaś ciągnie do niego.

— Nie chcę znać konwenansów, nie uznaję żadnych innych względów, prócz pragnień serc naszych. Kocham cię i musisz być moją!...

W téj chwili pobiegł do drzwi i przekręcając klucz w zamku, zwrócił się do Alicyi ze słowami:

— Teraz już nam nic nie staje na przeszkodzie, jesteśmy sami zupełnie.

Alicya zerwała się z miejsca i stanęła nieruchoma, wpatrzona w Horeckiego. On zatrzymał się także. Stali tak przed sobą: młodzi, piękni oboje, przykuci do miejsca: on z niedomówionemi wyznaniami na ustach, ona z niewypowiedzianym żalem w oczach.

Przykre milczenie trwało kilka chwil.

— Pani Alicyo!..

— Oh! nie mów pan proszę — zakrywając twarz, zawołała.

Łzy ścisnęły jéj gardło. — wybuchnęła tłumionym płaczem.

— Przebacz mi Alicyo — rzucając się przed nią na kolana, wyrzekł Horecki — ja cię kocham! Czyż mogłem przypuścić...

— Naturalnie, czy mogłeś pan przypuścić, aby kobiéta, szukająca zarobku na scenie, zamieszkała sama w hotelu, która przyjmuje gościa o północy była uczciwa i chciała nią pozostać. To prawda — zanosząc się od płaczu mówiła — pan ma słuszność, to ja jestem szalona. Ale ja przypuszczałam...

Po chwili, już spokojniéj, ocierając łzy, dodała.

— Życie składa się z niespodzianek. Doświadczenie kosztuje wiele, bardzo wiele.

Długą chwilę trwało milczenie.

Alicya wstała, przeszła się po pokoju i zatrzymując się naprzeciw Horeckiego, mówiła daléj głosem poważnym, w którym drżała nuta smutku i bólu.

— W jednéj chwili zniweczył pan wszystkie moje złudzenia. Ja byłam szalona, przyznaję się, ja myślałam, że spotkawszy mnie taką samotną, zgnębioną, nie będzie pan gonił za chwilową rozrywką i szałem, ale że i w panu obudzi się prawdziwe uczucie dla mnie, że się przywiążesz, że... albo ja wiem co myślałam? — ze zwątpieniem i jakby się sama siebie pytała, wyrzekła.

Osunęła się na krzesło, przycisnęła dłońmi czoło i zamilkła.

Horecki podniósł się, przeszedł tam i napowrót po pokoju i zwracając się do niéj, wyrzekł:

— Obecność moja staje się dla pani przykrą, widzę to, dlatego żegnam panią.

Alicya zdumiona, odwróciła głowę. Ujrzała go stojącego przed sobą. Był spokojny, piękny, wyniosły. Tylko oczy nie wyrażały zachwytu i uwielbienia, a głos pozbawiony serdeczności, zimnym przejął ją dreszczem.

— Czy nie ma mi pan nic do powiedzenia? — zapytała, wpatrując się w jego opuszczone powieki.

— Boję się panią obrażać daléj, przeto wolę milczéć. Niech

pani będzie przekonana, że jéj więcéj nigdy nie narażę na podobną zniewagę — wyrzekł z nieukrytym sarkazmem w głosie.

— Na podobną zniewagę. Boże! Co on mówi? — wyszeptała, podnosząc się z krzesła.

— Żegnam panią — powtórzył Horocki.

Poczém skłonił się i zwrócił w stronę drzwi.

Alicya powiodła za nim oczami, usłyszała chrzest klucza, który przekręcał w zamku, widziała jak wychodził i znikł w ciemnościach kurytarza.

W oczach jéj ściemniało i upadła na krzesło złamana.

VII.

Długo trwało, zanim się Alicya podniosła z krzesła.

Doznany zawód, wzburzył całą jéj istotę. Horecki był jedynym człowiekiem, którego nazywała swoim przyjacielem.

— Czy tylko przyjacielem?.. — pytała się sama siebie.

I widziała go przed sobą, gdy, po raz pierwszy z bijącém sercem przestąpiła progi nieznanéj jéj redakcyi, przypomniała sobie pierwszy wieczór spędzony razem w tym samym numerze, kiedy ją żegnał, zachowując wszystkie względy, należne przyzwoitéj kobiécie. Pamiętała życzliwe zachowanie się jego względem niéj na téj wesołéj, a przykréj dla niéj koalicyi. Potém starała się przywieść na pamięć wszystkie szczegóły dzisiejszego wieczora. Taką uprzejmością i dobrocią tchnęło każde jego słowo, tyle serdeczności czuła w wyznaniach jego, takie to wszystko co mówił było czarujące, rozkoszne, miłe...

— Oh Boże, Boże — ukrywając twarz w dłoniach mówiła — więc to wszystko było kłamstwem i udaniem.

Nie rozbierając się, rzuciła się na łóżko, rozrzewiona zupełnie bolesnemi wspomnieniami. Podparła ręką głowę i patrzyła w dopalające się świéce, zostawione na stole, pośród kieliszków i niewypróżnionych butelek.

Debiut, oklaski, powodzenie, poznani ludzie i doznane zawody, kolejno przesuwały się przed jéj osłupiałym wzrokiem.

Od czasu do czasu przyciskała ręką zimne czoło i zamykała oczy.

Dniało już, gdy Alicya otuliła się kołdrą i, zmówiwszy krótki pacierz, starała się zasnąć.

Obudziła się zmęczona i zgnębiona.

Podniosła się, okryła szalem i podeszła do lustra.

Blada cera i podkrążone ciemną obwódką oczy, wyraźnie mówiły że cierpiała. Czuła zimno, dreszcz przejmował ją całą. Ubrała się ciepło i wyszła z numeru.

Szary ranek jesienny, bez słońca i ciepła powiał na nią nieprzyjemną wilgocią.

Alicya minęła główny plac miasta, przeszła parę ulic i wstąpiła do kościoła. Czuła potrzebę modlitwy. Uklękła na stopniach ołtarza, przed którym odprawiał kapłan cichą mszę świętą i pogrążyła się w głębokiéj zadumie.

W świątyni było prawie pusto. Nawy nie wypełniały ani śpiéw, ani dźwięki organów. Monotonny szept księdza dochodził zaledwie od ołtarza. Cicho było w domu Bożym, prawie głucho.

Alicya potrzebowała właśnie takiego spokoju. Przytuliwszy się do filaru, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła tę rozmowę bolesną, a korną z Bogiem, która nie posługuje się słowami, obywa się bez zaokrąglonych myśli i pacierzów, zadawalniając się tłumionemi westchnieniami. Złamana, skarżyła się Panu Panów na sierocą dolę swoją, na samotność i opuszczenie. Tak niedawno poszła między ludzi, by walczyć o byt, zdobyć prawo do istnienia, a doznała już tyle poniewiérek i upokorzeń. Od chwili, kiedy stanęła na scenie, była własnością publiczną, oddana na łaskę i niełaskę każdego, kto się do niéj zbliżał. Wszystkim zdawało się, że mogą sięgnąć bezkarnie po jéj honor, po jéj cześć niewieścią.

Pochyliła się niżéj, przyłożyła prawie twarz do zimnych kamieni i załkała cicho. Łzy, które płynęły dosyć długo, ulżyły nieco jéj sercu. Podniosła głowę, obejrzała się po kościele. Przed ołtarzem nie było już księdza a w ławkach pobożnych. Spojrzała na zégarek, dziesięć minut brakowało do rozpoczęcia próby. Przeżegnała się, odetchnęła głęboko i wyszła pośpiesznie z kościoła.

Gdy weszła na scenę, przywitała grzecznie kolegów i koleżanki i czekała w milczeniu na próbę. Powiodła wzrokiem dokoła. Ciemna i pusta przestrzeń wiała chłodem. Aktorzy i dziś obrzucali ją niemiłemi spojrzeniami, szeptali w jéj obecności i nie upoważniali jéj niczém do zażyłości ze sobą. Powtarzała w milczeniu rolę, przywodząc sobie na pamięć trudniejsze sytuacye. Zajrzała do kajetu i przeglądała go z trudnością dopatrując w ciemności szukanéj sceny.

— Debiutantka nie umié roli. Wstyd przychodzić z kajetem na próbę. Ja kiedy debiutowałam, to w nocy umiałam wyrecytować nietylko swoją rolę, ale i wszystkich wchodzących do téj sztuki — odezwała się z przekąsem jedna z aktorek, która grywała role charakterystyczne.

Inne koleżanki zaczęły szeptać między sobą i przyglądać się Alicyi, która zamknąwszy kajet, niema, przysłuchiwała się téj niespodzianéj i niewłaściwéj, podług niéj uwadze.

Ugrupowano aktorów i zaczęto próbę.

Alicyi przypadło miejsce na kanapce przy „charakterystycznéj,“ która w dalszym ciągu nie zaniechała robić jéj uwag.

— Pani powinna nosić włosy nizko. Mówię pani, że ci wcale oczów nie widać z pod grzywki. A już to różować wcale się panna nie umié. Tu plaster, tam plama... Jak mamę kocham, wyglądasz jak ten co weźmie na poty i położy się pod pierzynę, aby się rozgrzał. Kiedym po raz pierwszy...

— Cicho tam, uważać! — krzyknął reżyser. — Nella na scenie, pani Alicyo!

Alicya zerwała się, podeszła na środek i zaczęła mówić.

Wszystkie w milczeniu znoszone przykrości, topiła w słowach, któremi mówiła zbolała dusza autora, przez usta nieszczęśliwéj Nelli.

Aktorzy i aktorki pozajmowali miejsca wprost niéj i przyglądali się granéj scenie z zajęciem.

Wyczerpana bezsennością i smutkiem, Alicya kilkakrotnie zacięła się w mowie i zawahała z odpowiedzią. Wahaniu się jéj towarzyszyły zawsze śmiéchy aktorów i hałas, który uspokajał szorstko reżyser.

Po skończonym akcie, Alicya zbliżyła się do pana Barosza i wyciągając doń rękę, chciała podziękować za uwagi, jakiemi jéj służył podczas próby.

— Dziękuję panu serdecznie... — zaczęła.

— Niech się pani nie zbliża do mnie na próbie — przerwał jéj Barosz półgłosem. — Nie chcę aby mówiono o nas, że się w sobie kochamy.

Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł, zostawiając Alicyę, zdziwioną, na środku sceny.

Po skończonéj próbie, gdy wracała Alicya do hotelu i właśnie czekała na przejazd powozów, spostrzegła zdala idącego redaktora Horeckiego. Serce jéj zabiło żywo, krew uderzyła do głowy. Opanowała jednak wzruszenie i poleciała oczami za idącym, chcąc mu się przypatrzéć i oddać spodziewany ukłon.

Horecki spojrzał się w stronę, gdzie stała, i nie dotknął nawet ręką kapelusza.

Alicya przygryzła wargę, połknęła łzy cisnące się gwałtem do gardła i szybko przeszła na drugą stronę ulicy.

Ten nowy cios zachwiał nią całą. Czuła że jéj sił braknie. Chciała pobiedz za nim, zapytać go, dlaczego wyrządził jéj tyle przykrości i za co? Obejrzała się w stronę gdzie poszedł i zatrzymała się jak wryta.

Horecki stał zwrócony do niéj twarzą i śledził ją widocznie, ale i tym razem, chociaż oczy ich się spotkały, nie ukłonił się jéj, ani téż zamierzył ją poznać! Nie czekając daléj, skinęła na dorożkę i kazała się wieźć do hotelu.

Czuła zawrót w głowie, oddychała z trudnością.

— Czyżbym go kochała? — pytała się sama siebie, przyciskając ręką serce, które uderzało w piersi jak młotem.

Odpowiedź z ust jéj nie wychodziła, a ból zwiększał się z każdą minutą.

Przybyła do numeru i upadła na szezlong, nie rozebrawszy się nawet. Nie jadła obiadu, nie dzwoniła na służbę. O zmroku dopiéro podniosła się, wypiła szklankę herbaty, ubrała się strojnie i poszła do teatru. Chciała być ładną, chciała się podobać.

Biała, angielska suknia, obramowana złotym galonem, ubiérała ją dobrze.

Gdy weszła do loży, zaczęto szeptać i pokazywać ją sobie wzajemnie.

Alicya nie zwracała uwagi na szereg zajętych krzeseł, wpatrzona tylko w lożę Horeckiego.

Siedział z dwoma panami, rozmawiając wesoło i swobodnie. Po chwili wstał i wyszedł z loży.

Serce jéj zabiło, drżała nerwowo, nie mogąc oddychać.

— Może przyjdzie — tłumiąc oddech myślała.

Jakież jednak było jéj zdziwienie, gdy go wkrótce potém ujrzała w loży sąsiedniéj, którą zajmowała wczoraj przybyła dopiéro co śpiéwaczka włoska, nizka, otyła brunetka.

Usunęła się w głąb loży, oparła głowę o mur i tak, niewidziana przez nikogo, siłą woli tłumiła ból, łzy, rozpacz, które miotały nią naprzemian.

Przez ścianę dochodziła ją rozmowa, prowadzona po francusku przez Horeckiego i dźwięczny śmiéch śpiéwaczki.

Zamknęła oczy, nie słyszała już nic. Potém mimowoli zerwała się na czyjeś kroki w kurytarzu i znowu upadła na krzesło.

Po pierwszym akcie wróciła do domu. Natychmiast położyła się do łóżka. Doznane przejścia wyczerpały jéj siły tak, że z obawą myślała, jak podoła wystąpić jutro i przejść wrażenia drugiego debiutu. Kazała sobie podać wina, koniaku, wypiła parę kieliszków odu-

rzającego płynu i upadła bezprzytomna na poduszki. Wkrótce potem zasnęła.

Jeszcze Alicya spoczywała w śnie głębokim, gdy zaczęto pukać do drzwi. Zerwała się szybko, okryła czémś, pod ręką leżącém i pośpiesznie otworzyła drzwi.

Był to posłaniec z depeszą.

Alicya rozerwała papiér, przeczytała i krzyknęła.

Telegram zwiastował ciężką chorobę jéj jedynego brata, skutkiem czego wzywano ją natychmiast do Warszawy.

Cios był ciężki i przychodził w chwili najniedogodniejszéj.

Załatwiwszy roznosiciela depesz, Alicya usiadła, ukryła twarz w dłoniach i myślał nad tém co począć.

Próba, mająca się odbyć za godzinę, wieczorem debiut—wszystko wirowało w myślach Alicyi, odbiérając jéj siły i równowagę.

Nie było czasu do stracenia. Zadzwoniła i kazała się pakować do drogi.

Dwie godziny tylko zostawały jéj do odejścia pociągu.

Natychmiast napisała do dyrektora, zawiadamiając go o nagłéj potrzebie wyjazdu.

Przybiegł zdziwiony i niezadowolony.

— Ależ proszę pani, to w żaden sposób być nie może. Pani grasz dzisiaj, afisze uwiadomiły już publiczność o twym występie.

— Co począć panie, ja nie jestem przyczyną zmiany — tłómaczyła słabym głosem Alicya.

— Kiedy pani myśli wracać?

— Albo ja wiem, co tam zastanę. Od tego zależéć będzie mój przyjazd. Zawiadomię pana i będę się starała powrócić jaknajprędzéj.

— A to szczególny wypadek. A możeby pani pojechała nocnym pociągiem, po spektaklu?

Alicya zdumiona, spojrzała w oczy dyrektora.

Zrozumiał to i wyrzekł:

— Niech pani będzie przekonana, że się to bardzo często zdarza. Bywa, że aktorzy grają w dzień pogrzebu swoich najbliższych. To jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Być może, chociaż co do mnie, przyznam się panu, że nie rozumiem dużo rzeczy z tego, co robią artyści.

Dyrektor nie namawiał daléj. Pokiwał głową, pożegnał się z Alicyą i wyszedł.

W godzinę potém, Alicya wsiadała do wagonu, który odchodził w stronę Warszawy.

VIII.

O wiorstę za rogatkami Mokotowskiemi świecił w pośród drzew ogrodu owocowego, biały, niewielki domek z ganeczkiem z przodu, przypominający dworki szlachty zagrodowéj. Zbudowany w głębi sadu, który wypełniał między nim, a drogą dość znaczną przestrzeń, skromny, cichy, robił wrażenie schroniska dla jakiegoś emeryta, wycofanego z gwaru powszedniego życia.

Było to téż rzeczywiście schronisko dla kilku rozbitków, których różne okoliczności pozbawiły na starość warunków lepszych czasów. Państwo Żórawscy, przepędziwszy lat kilkadziesiąt na wsi, na własnym zagonie, zlicytowani przez wierzycieli, nabyli za resztkę ocalonego kapitału tę drobną posesyjkę i dogorywali w niéj powoli, otoczeni miniaturą tego, do czego przywykli od lat dziecinnych. Mieli ogródek, kawałek łączki za domem, kilka krów, którym zawdzięczali dochody, stare psy, przywiezione z majątku, trochę drobiu.

Spokojnie, bez silniejszych wrażeń i wzruszeń, płynęło życie staruszków. Rano pilnowali doju, potém wysyłali mléko do miasta, następnie zatrudniali się zwykłemi robotami gospodarskiemi. Wieczorem siadali nad gazetą, lub jaką powieścią swojską, biorąc żywy udział w losach bohatérów i bohatérek. Wczesny spoczynek zamykał ich dni jednostajne, zawsze do siebie podobne.

Jak zwykle, po wieczerzy siedzieli państwo Żórawscy w pokoju stołowym, pochyleni nad jednym z kuryerów warszawskich. Mąż wysoki, szczupły, z łysą głową i siwym wąsem, przypominał typ zgasłych pokoleń szlacheckich. Żona, znacznie niższa, otyła kobiéta, stała obok fotelu, na którym pan jéj spoczywał i oparta na poręczy, zaglądała mu przez ramię do gazetki. Podczas kiedy staruszkowie czytali, szumiał samowar na stole przykrytym białym obrusem. Duży, szary kot siedział obok niego, podwinąwszy łapy pod siebie i mruczał z zadowoleniem. Na kominku trzaskał i swywolił wesoły ogień, wydobywający się od czasu do czasu po za granice dozwolone.

Na dworze rozpoczął już późny listopad swoje harce jesienne. Wicher szybował nad opustoszałemi polami, a wpadłszy na drogi, lub do ogrodów, chwytał z ziemi garście liści pożółkłych i rozrzucał je kapryśnie wokoło.

— Trzeba będzie okna opatrzyć — odezwała się po chwili milczenia pani Żórawska—zima przenika już do mieszkania.

— Trzeba, trzeba—potwierdził pan Żórawski—mchu nazbiera-

łem i piasku nie brak. Trzeba będzie także pamiętać o naszych krówkach, którym już zachłodno w obórce.

— Poczciwe krówki — szepnęła pani Żórawska — ktoby się był tego spodziéwał, że takie kilka zwierzątek może utrzymać kilkoro ludzi. Mieliśmy ich dawniéj kilkadziesiąt, a nie umieliśmy ich należycie wyzyskać.

Pan Żórawski pokiwał starą głowę.

— Człowiek uczy się do śmierci—mruknął pod wąsem — gdyby mi był kto dawniéj powiedział, że mi takie ubóstwo, jak nasze obecnie, da spokój i zadowolenie, nie byłbym nigdy uwierzył. A jednak tak jest. Nie pragnę lepszéj doli.

— Gdyby jeszcze ona chciała do nas wrócić — wyrzekła pani Żórawska — jużbyśmy niczego więcéj nie potrzebowali. Co téż tam to nasze biédactwo kochane porabia między obcymi ludźmi. Wszędzie dobrze, ale w domu zawsze najlepiéj.

— Tak, tak, gdyby Bóg chciał jéj myśli odmienić — mówił pan Żórawski.

Staruszkowie zamilkli. On pochylił znów głowę nad gazetą, ale nie czytał, ona wpatrzyła się w płomienie ognia.

W téj saméj chwili zajechała przed furtkę ogrodu dorożka. Wysiadła z niéj młoda kobiéta, otulona w szubę futrzaną i pobiegła szybko w stronę dworku. Dwa psy podwórzowe, leżące na ganku, rzuciły się na nieznajomą z głośném szczekaniem, ale zbliżywszy się do niéj zaskomliły radośnie i zaczęły skakać do jéj rąk i twarzy. Ona pogłaskała je po głowach, szepcząc:

— Miluś, Bekas, jak się macie.

Zwierzęta, łasząc się ciągle do niéj, odprowadziły ją do samych drzwi domu. Zamiast wejść, stanęła przybyła przed nizkiém oknem i spojrzała przez szyby do wnętrza. Widziała parę staruszków, samowar, kota, ogień, czyściutki pokoik, patrzyła i napatrzéć się nie mogła temu obrazkowi pospolitemu, a zawsze miłemu.

Szybkim ruchem oderwała się od okna i wbiegła po drewnianych stopniach do sieni. Gdy otworzyła drzwi, zwróciły się na nią spojrzenia staruszków równocześnie.

— Alicya!—krzyknęła pani Żórawska i rozchyliwszy ramiona, pośpieszyła do niéj.

— Córka moja!—zawołał pan Żórawski.

Alicya, bo to ona była, rzuciła się do kolan matki i obejmując je całowała serdecznie. To samo powtórzyła z ojcem. Nagle, przypomniawszy sobie telegram, podniosła się i zawołała:

— A Staś, gdzie on, czy nie ma niebezpieczeństwa, co się z nim dzieje?

— Staś? Jaki Staś?—zapytał pan Żórawski.

— Nasz, nasz Staś. Przecież bardzo chory.

— Chory?—mówiła pani Żórawska.—Broń Boże, zdrów jak ryba, nawet palec go nie boli.

— Być że to może?

— Jest tak, niezawodnie, dzieciątko. Zaraz tu będzie, tylko go patrzéć. Wraca zwykle późno z miasta z fabryki — mówił pan Żórawski.

— Więc cóż znaczył ten telegram, przysłany do mnie — pytała Alicya.

— Jaki telegram? Nie wysyłaliśmy żadnego telegramu.

— Być że to może?—zawołała Alicya po raz wtóry.

— Ależ tak jest, wierzaj nam—odparł pan Żórawski.

Alicya powiodła wokoło ździwioném spojrzeniem, nie umiejąc sobie na razie wytłómaczyć źródła i znaczenia telegramu.

— Czyby byli rzeczywiście tak podli—pomyślała—czyby zawiść i nieżyczliwość tych ludzi mogła dojść tak daleko.

— Oh, tak, tak, to oni, to ich podstęp niegodny—zawołała głośno, zapominając, że nie jest sama.

Ukryła twarz w dłoniach, silniéj, wyraźniéj aniżeli kiedykolwiek, zarysowało się przed nią w téj chwili całe kłamstwo świata, z którym chciała losy swoje złączyć na zawsze. I poczuła wstręt nieprzezwyciężony do téj wiecznéj, a nikczemnéj obłudy, do téj nędznéj walki o byt i sławy zdawkowéj, wyglądającéj zdala tak zwodniczo i błyskotliwie, a zblizka tak potwornéj.

Nie, ona nie wróci między ludzi, z którymi jéj nie łączyło nic, ani wychowanie, ani wyobrażenia, zwyczaje i obyczaje.

Odjęła ręce od twarzy i rzuciła się po raz wtóry do kolan rodziców.

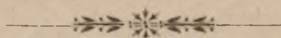
Pan Żórawski gładził córkę po głowie i mówił z prośbą w drżącym głosie.

— Zostaniesz z nami, dzieciątko moje, nie opuścisz nas już tak prędko.

Alicya przytuliła głowę swoję do ramienia ojca i łkając zcicha, powtarzała:

— Nie opuszczę was już nigdy, nigdy.

Janowska.





ZE SŁOWACKIEGO „OKOLI".

WSPOMNIENIA Z WYCIECZKI.

Ogłaszając drukiem swoje wspomnienia z wycieczki po słowackiém „Okoli", pragnę wyjaśnić w kilku słowach, jakie mnie do tego przedsięwzięcia skłoniły pobudki. Spędzając miesiące wakacyjne w Zakopaném, zapuszczałem się częstokroć w nasze Tatry, aby przechodząc z doliny w dolinę, z wirchu na wirch, z przełęczy na przełęcz, zaspokoić namiętność turystyczną. Prawdziwemu turyście ogromną przyjemność sprawia wdrapywanie się na jakiś szczyt, z którego rozległy na okół roztacza się widok. Ponieważ Tatry nie zbyt są szerokie, więc z każdego wyższego nieco szczytu widać spory kawał dolin ku północy aż do Krakowa, ku południowi het na Węgry. Ileż to razy patrząc z góry miałem ochotę zbiedz w dół na węgierską stronę i pójść w kraj tak dobrze okiem widziany. Niewymownie wabiły mnie ku sobie miasteczka, wsi i sioła nadzwyczajnie gęsto po ziemi słowackiéj rozsiane. Ochotę moją podniecały opowiadania znajomych, którym okoliczności pozwalały przerzucić się na południową stronę Tatr do ziemi tylko politycznie od nas oddzielonéj, bo plemiennie i co do kultury jesteśmy sobie krewni i bardzo bliscy. Lecz zawsze dotychczas musiałem na ochocie poprzestawać, to téż tém większe powaby miała dla mnie wycieczka po Słowacyi, o któréj niejednokrotnie z różnych stron słyszałem, iż to kraj ładny i widzenia godny. Do tych pobudek przybyły po rocznym pobycie w Pradze dalsze, innéj jeszcze natury. Przedewszystkiém Praga żyje roztrząsaniem i rozwiązywaniem różnych kwestyi i zagadnień słowiańskich, niezmiernie ciekawych

i doniosłych. Przez dłuższe oddychanie taką atmosferą zainteresowałem się wielkim światem słowiańskim, który nie bardzo mi był znany. Obok tego zaś dowiedziałem się, że Czesi w najżywszych stosunkach pozostają ze Słowakami, z którymi wiele mają wspólnego. Poznawszy nieco Czechów, nabrałem ochoty do poznania Słowaków, a to tém bardziéj, że są oni naszymi najbliższymi sąsiadami. Mowa, ubiór, zwyczaje i obyczaje przechodzą stopniowo z polskich na słowackie. Nadto wiele jest pośród rzetelnych już Słowaków kolonii czysto polskich, do dziś dnia jedynie po polsku mówiących. Mimo to wszystko, naród słowacki bardzo mało jest nam znany.

Uwzględniając wszystkie pobudki, skłaniające mnie do wycieczki w kraj Słowaków, ułożyłem sobie plan i ruszyłem natychmiast w drogę. Rzecz prosta, iż większą część wycieczki postanowiłem odbyć piechotą; wobec tego potrzebny mi był jakiś plan, potrzebne mi były wskazówki, jak iść i kędy, aby zobaczyć to, co najładniejsze i widzenia najgodniejsze. Miałem dwie drogi do wyboru: albo zasięgnąć wiadomości z jakiegoś drukowanego przewodnika, albo téż udać się do kogoś, kraj znającego. Z różnych powodów wybrałem tę drugą drogę. W Pradze miałem sposobność poznać bardzo sympatycznego Słowaka, studenta medycyny, a obecnie już dra Dušana Makovický'ego. Mając jego adres, przedstawiłem listownie swój plan i otrzymałem w krótkim czasie odpowiedź, która mi zaimponowała. Dr. Makovický podał mi tytuły książek o Słowacyi traktujących; nakreślił mi z całą ścisłością dwa plany, jeden krótszy, drugi dłuższy; oznaczył mapy, jakie mi będą potrzebne; w końcu wyliczył cały szereg ludzi, do których polecił mi się zgłosić, zaręczając za gościnne przyjęcie. Jeszcze na podobną grzeczność potrafilibyśmy się zdobyć, ale daleko szukać u nas człowieka, któryby znał swój kraj tak wybornie, tak szczegółowo, jak go zna dr. Makovický, który przeszedł Słowacyę wzdłuż i wszerz. Sądziłem pierwotnie, że przypadkowo trafiłem na zapalonego turystę, który dla tego tylko zwiedził swą całą ojczyznę piechotą. Późniéj atoli przekonałem się, że to samo czyni cała prawie współczesna inteligencya słowacka, uważając to za swój święty obowiązek. Łatwoby ktoś mógł zrobić uwagę, że Słowacya jest małym krajem i że ją z łatwością dokładnie poznać można. Prawda, ale i my byśmy mogli swój kraj poznawać chociażby kawałkami. Wszakże Galicya wcale nie tak wielka. Jeszcze nie wyruszyłem na Słowacyę, a już poznałem rzecz, godną zazdrości i naśladowania. Uwagę tę posyłam w świat pod adresem galicyjskiéj młodzieży gimnazyalnéj, a przedewszystkiém uniwersyteckiéj, znajdującéj się w najodpowiedniejszym do tego wieku.

Poczyniwszy odpowiednie przygotowania wyjechałem z Zakopanego 10 września o godz. 6 rano. Ranek zimny był ale piękny i pogodny. Dachy góralskich chałup, liście drzew i trawę na łąkach pokrył biały szron. Słońce nie podniosło się jeszcze tak wysoko, aby ogrzać swemi promieniami zziębniętą w nocy ziemię. Okrywszy się czém mogłem i jak mogłem, ruszyłem jednokonnym wózkiem naprzód. Chodziło przedewszystkiém o to, aby przedostać się na Węgry przez przerwę w łańcuchu górskim, znajdującą się między Muraniem i Hawraniem z jednéj, a Magórą spiską z drugiéj strony. Najbliższą stacyą było małe miasteczko Kesmark, skąd miałem już do dyspozycyi kolej żelazną. Mimo, że kawałek drogi z Zakopanego do Kesmarku jest bardzo ładny, nie opłaciło się jéj robić pieszo, bo to znaczna odległość i szkoda nóg, które trzeba było oszczędzać. Zmęczenia atoli uniknąć się nie dało, bo pierwsza część drogi po naszéj stronie jest na jazdę wózkiem straszna. O szosie nie ma mowy, darmo nawet szukać zwykłéj drogi gminnéj; jestto po prostu ledwie przetarty szlak, ciągnący się wązką doliną strumienia górskiego zwanego Stasikówką.

Kilka razy trzeba z jednego brzegu przejeżdżać na drugi, oczywista, bez pośrednictwa mostu, który nie harmonizowałby nawet z otoczeniem, nie zdradzającém żadnych śladów cywilizacyi. Biédna szkapa góralska, popędzana przez woźnicę biczem i wesołém nawoływaniem, zatrzymywała się w strumieniu dla wypicia wody i wymoczenia zmęczonych nóg. Chociaż to pociągało za sobą stratę czasu, nie miałem nic przeciwko chwilowym odpoczynkom, bo droga moja zaprawdę nie różami była wysłana. Trakt, wiodący mnie do granicy królestwa węgierskiego, brukuje rwąca woda górska, unosząca ze sobą kamienie i głazy. Koła, wciągnięte na wyższe kamienie, opadają co chwila na niższy poziom, a wstrząśnienie przechodzi od dołu aż do kapelusza jadącego, bo ekwipaż nie unosi się na resorach, a niby sprężynowe siedzenie nie chroni od tortury. Wleczemy się w górę na tak zwaną Bukowinę. Koń pracuje całą siłą pary, wózek skacze i trzeszczy, ja z podziwienia godną cierpliwością balansuję to na lewo to na prawo, aby utrzymać się na środku siedzenia i ochronić żebra od bezpośredniego zetknięcia z nieopatrzonemi wysłaniem bokami pojazdu. Koń, furman i ja jesteśmy jedynemi żywemi istotami. Otacza nas bowiem zupełna pustka i głusza. Wegetacya mizerna, smreki chude i wyłysiałe, tu i owdzie szmat ziemi nędznym owsikiem zasiany. Ze szczytu Bukowiny roztacza się przepyszny widok na całe Tatry od wschodu na zachód. Zapominam o przykrościach drogi, a tonę całą duszą w tym cudownym świecie górskim, bogatym tylu krasami i ponętami. Wrażenia odniesione z młodzieńczéj lektury odżyły w méj głowie

i zdało mi się, że jestem jakimś Robinsonem czy kolonistą, udającym się w srogie Kordyliery jako nieustraszony pionier cywilizacyi, kopiącéj groby czarnym autochtonom dla tego, aby coraz liczniejsze stawiać kolebki swym białym ulubieńcom.

— Hejta! hejt! zawołał Jakób; koń mocniéj pociągnął, wózek silniéj skrzypnął... obudziłem się. Piękne sny i marzenia pierzchły, a na ich miejsce wróciła stokroć piękniejsza rzeczywistość. Nie w Kordylierach byłem ale w naszych Tatrach; nie „dzikich“ tępić śpieszyłem, lecz poznać dzielnych Słowaków. Krajobraz nieco się zmienił, dolina rozszerzyła. Więc już i chałupy góralskie pojawiły się tu i owdzie między szachownicą uprawnych kawałków ziemi. Tam góral z kosą na plecach szedł po ubogi płód swéj lichéj ziemi, owdzie jakaś dziewczyna pognała na paszę podskubane gęsi, albo pół nagi zabłocony dzieciak biegał za rozkosznie wierzgającemi warchlaczkami. Już tedy otaczało mnie jakieś życie, choć słabe i nieśmiałe. Trudno mi było pojąć i zrozumieć, jak ono tutaj w ogóle utrzymać się mogło. Owies rzadki i niski, a gęsto chwastem przerosły, grule biedne i ledwie nad ziemię wyrosłe. Wśród tych rozmyślań stanęło przed memi oczami straszne widmo głodu, grożącego właśnie całéj Europie, a tém bardziéj biednéj ludności górskiéj. Na myśl tę niemiłego doznałem uczucia, to też sięgnąłem czém prędzéj do zawiniątka i wydobywszy skibkę chleba z szynką, zacząłem się nad nią pastwić z zajadłością. Widmo głodu uciekło na ten widok, a we mnie wstąpiła otucha témbardziéj, że przejechawszy ostatnią Stasikówkę i most, którego połowa z polskiéj strony jest licha, a z węgierskiéj dobra, znalazłem się nareszcie na „cesarce“, to jest krajowéj szosie węgierskiéj, utrzymywanéj w bardzo dobrym stanie. Jurgów, najbliższa wieś słowacka, duża jest i gęsto zabudowana. We wsi zostały tylko dzieci i starsze kobiety; młodsze białogłowy i mężczyźni pociągnęli na żniwa, które odbywały się właśnie w całéj pełni. Pola przedstawiają wprawdzie i tu szachownicę, ale kawałki już są większe; wązkie a długie. Pasy te ziemi uprawnéj oddzielone są wielkiemi wałami kamieni, wyciągniętych przy uprawie jałowego gruntu. Tu po raz pierwszy spotyka się obcy nam widok wołów używanych do zaprzęgu. W czasie całéj swojéj podróży widziałem wszędzie woły, któremi Słowacy orzą, wożą ciężary i w ogóle pracują przy pociągu. Woły zastępują tu nawet w miastach konie, rzadko u słowackiego ludu spotykane. Po prawéj stronie stoją Murań i Hawrań, otoczone dokoła wysokim płotem; tak hoduje sobie dla celów myśliwskich sarny i kozice Prusak ks. Hohonlohe, któremu jeszcze mało tych legalnie nabytych obszarów górskich tak, że krzywda innych ma dogodzić jego wielkopańskiéj zachciance. Dro-

ga ciągnie się uroczym przesmykiem nad bystrym potokiem górskim, który w tym właśnie roku wyrwał w dwóch miejscach brzegi i popsuł szosę. Już słońce najwyższe zajęło na niebie stanowisko, kiedy przejeżdżałem przez Podspady, miejscowość znaną z prześlicznych grot Bialskich. Wapienne stalaktyty i stalagmity długą pracą cierpliwéj natury zdziałane, zachwycają swą niepokalaną białością i delikatną przejrzystością. Rok rocznie odwiedzają te groty setki turystów polskich i węgierskich. Na miejscu powstało kilka hoteli i wille, wynajmowane letnikom. Ponieważ sezon się skończył, przeto wszystko było już pozamykane, oprócz jednego domku, na którego balkonie siedziały trzy ładne dziewczątka; jedna z nich czytała na głos książkę. Znając już Bialskie groty z lat poprzednich nie zatrzymywałem się w Podspadach, lecz urządziłem sobie krótki popas w najbliższéj wsi, Szarpańcu, a potem dobiłem się jednym ciągiem do Kesmarku, w którym stanąłem o 4 godz. po południu. Do odejścia pociągu brakowało jeszcze blisko dwie godziny. Nie mając tedy nic lepszego do roboty, poszedłem włóczyć się po miasteczku dla wyprostowania zmęczonych nóg. Miasteczko nie zwróciło na siebie niczém mojéj uwagi; za to ja zwróciłem na siebie uwagę miasteczka, prawdopodobnie swym turystycznym kostyumem angielskim. Każdy przechodzień oglądał mnie od stóp do głów, nie jeden uśmiechnął się lub szepnął coś do towarzysza. Była to właśnie godzina, w któréj młodzież gimnazyalna wyroiła się na miasto, a kto ją zna, pojmie, że spacer mój nie był wcale przyjemny. Nic sobie z tego wszystkiego nie czyniłem, choć mi się to prędko mocno sprzykrzyło. Widocznie Słowacya nie miłuje takich jak ja turystów, bo przyglądano mi się z ciekawością podczas całéj wycieczki. Czy to kosiarze czy kobiety, zaprzestawali swéj pracy i szturchając się łokciami uśmiechali się na mój widok; małe dzieci biegły za mną wołając: „žid, žid!“ (całkiem nie słuszne posądzenie!); przechodzący włościanie interpelowali mnie, czém „kupczę“, mając za wędrownego kramarza; inni wreszcie pytali, czy jestem „remeselnik“, albo jaki mam „urad“, że tak po świecie „cestuję“. Nie darowali mi również żydzi kramarze, u których zatrzymywałem się na spoczynek. Z początku odpowiadałem uprzejmie na te wszystkie interpelacye, ale potém, kiedy mi zabrakło cierpliwości opowiadać bez końca jedno i to samo, dawałem lakoniczne odpowiedzi i milczałem jak grób.

Pierwszym człowiekiem, poleconym mi przez dr. Makowický'ego był proboszcz ewangelicki we wsi Sztyrbie, Cyrill Bodický; postanowiłem ściągnąć do niego na noc, ponieważ mogłem się aż na miejsce dostać koleją żelazną. Kupuję więc sobie bilet kolei lokalnéj do Popradu, a potém do Sztyrby. Z okien wagonu przyglądam się naturalnie

Tatrom, które tu wystrzeliły pod niebo najwyższemi szczytami. Idąc od wschodu ku zachodowi, widzi się Łomnicę, Lodowy, Sładkowski, Gerlach i Żelazne Wrota; stoki tych skalnych olbrzymów spadają pionowo a od stóp ciągną się piękne lasy, wśród których leży znane Szczyrbskie jezioro i Smokovec (Szmeks). Na przeciwko mnie siedzi jakiś stary żandarm z Popradu, który uważa za stosowne objaśnić, że każdy z tych szczytów ma odrębną nazwę. Kilka nazwisk wymienia, oczywista, zupełnie fałszywie. Nie wyprowadzałem go z błędu, bo szkoda mi było ust. Tymczasem słońce już zaszło i mrok zapadł; wieczór był pogodny, gwiazdy i księżyc wystąpiły bardzo wyraźnie. Nie wiem dlaczego, przyszło mi na myśl zapytać się konduktora, czy daleko do probostwa od stacyi kolejowéj w Sztyrbie i dowiaduję się, że trzy kwadranse lub godzinę pieszéj drogi, któréj wcale nie znałem a tu późno już i ciemno. Widząc moje zakłopotanie, poradził mi wysiąść o stacyę wcześniéj w zakładzie kąpielowym Lucziwna, tam przenocować i nazajutrz rano udać się w dalszą drogę. Przyjąłem jego dobrą radę i tak uczyniłem. Zaprowadzono mnie do właściciela zakładu Węgra p. Sagmary, który przyjął mnie bardzo uprzejmie i bawił przy kolacyi rozmową o wielkiéj, bardzo wielkiéj polityce. Poprosiłem o numer tani, więc zaprowadzono mnie do willi „Neptun“, gdzie spędziłem pierwszą noc na słowackiéj ziemi.

Zapewne zbiegowi okoliczności przypisać trzeba, że posiadamy w literaturze naszéj więcéj prac o Słowacyi niżeli o każdym innym kraju słowiańskim. W 1876 r. wyszła we Lwowie dość obszerna praca p. t. „Z podróży po kraju słowackim“. Autor odbywając kuracyę w Cieplicach trenczyńskich, zapuszczał się w rozmaitych kierunkach w kraj Słowaków, a opisy tych wycieczek tworzą spory tom, który równie z przyjemnością, jak z pewnym pożytkiem przeczytać można. Mówię z p e w n y m i podkreślam ten wyraz, gdyż istotnie nagromadzono tu wiele ciekawych i pouczających szczegółów, lecz całość niestety tak jest chaotyczna i bezładna, że czytelnik mimo woli i chęci gubi się w téj masie pojedyńczych faktów i wiadomości, nie ujętych w systematyczny całokształt. Historya Słowacyi dawniejsza i nowsza, życiorysy wybitniejszych patryotów słowackich, treść i rozbiór krytyczny ich dzieł, stosunki polityczne, narodowościowe i społeczne, wreszcie historyozoficzne i ogólno-słowiańskie poglądy autora, wszystko to powikłane tworzy gęsty splot okraszony opisami natury, starych ruin zamkowych, powtórzeniem legend do tychże ruin przywiązanych, nareszcie częstemi wycieczkami w dziedzinę etnografii, lingwistyki i t. d. Materyał to bez wątpienia dość znaczny, nie jeden szczegół zapewne cenny, ogólny atoli pożytek z przeczytania książki

stosunkowo mały, bo taki bigos literacki wytwarza w głowie uważnego nawet czytelnika zamęt, nie pozwalając opanować swobodnie materyału. Nie zawsze godząc się z autorem, z przyjemnością podnieść musimy często i wyraźnie występujące poczucie jedności plemiennéj u autora, który tylko niepotrzebnie paczy swoje poglądy jakimś mistycyzmem i mesyanizmem. Zresztą o całości można powiedzieć, że na dziś jest już mocno przestarzała i nie odpowiada potrzebie chwili.

W rok potém wyszły w Krakowie „Szkice z podróży po Słowacyi", pióra Henryka Müldnera. Krótka, bo zaledwie dwutygodniowa podróż po kraju słowackim, opisana przez autora w sposób nie zbyt udatny i zajmujący. Intencye autora, pragnącego polskich turystów ściągnąć do sąsiedniéj ziemi pokrewnych nam Słowaków, były piękne, lecz wątpię, czy udało mu się osiągnąć cel zamierzony. Autor zbyt pobieżnie i powierzchownie dotyka wszystkiego, aby mógł obudzić interes w czytającéj publiczności. O stosunkach narodowościowych, ekonomicznych i społecznych mówi bardzo nie wiele i jakby tylko od niechcenia. Bądź co bądź, jestto rzecz również mocno przestarzała.

Grzegorzewski umieścił w „Ateneum" (1887 r. tom I i II) dwa szkice p. t. „Ze Słowacyi". W ostatnich czasach podróżował jeszcze z Polaków p. Dyonizy Królikowski, który atoli o ile mi wiadomo, z wyjątkiem krótkiego artykułu w „Kuryerze Polskim", nic więcéj o swéj podróży nie napisał.

Wszystkie trzy wyżéj wymienione prace mają właściwie charakter literacki. Nie napisano dotychczas niczego o Słowacyi z tendencyą publicystyczną, choć bez wątpienia stosunki tego nieszczęśliwego kraju dostarczają do podobnéj pracy bardzo wiele materyału. Na opłakane stosunki narodowościowe i polityczne zwraca już więcéj uwagi Rudolf Pokorny w swéj książce p. t. „Z potulek po Slovensku" (tom I, 1884 r., tom II, 1885 r.). Praca ta jest prawie monografią Słowacyi, choć autor zastrzega się skromnie, że pisał ją dorywczo. Jeżeli gdzie razi brak to właśnie w części publicystycznéj, okolicznościowo tylko przez autora uwzględnianéj. Objaw taki musi dziwić témbardziéj, że na każdym kroku w czasie swojéj wycieczki miałem sposobność przekonać się, jak bardzo Słowakom zależy na tém, aby nie tylko inni Słowianie ale i Europa cała dowiedziała się o ich położeniu w królestwie węgierskiém. Jakie są tego przyczyny, zobaczymy późniéj, tymczasem zaś niech mi wolno będzie zaznaczyć, że mnie zajmują nie stosunki literackie ale odwrotnie, przedewszystkiém narodowe i polityczno-społeczne, to téż im przez cały czas szczególniejszą poświęcałem uwagę.

Nazajutrz obudziłem się o 4-téj; obawa zaspania spłoszyła sen

z mych powiek. Przetarłszy oczy wyjrzałem przedewszystkiém, jaka tam na świecie pogoda. Ponieważ lipiec i sierpień były brzydkie i dżdżyste, więc obawiałem się, żeby mi deszcz nie zepsuł mego przedsięwzięcia. Okazało się atoli, że obawy moje były płonne, bo niepokalanie piękna pogoda towarzyszyła mi bez ustanku, dopiéro pod sam koniec wypłatała mi figla, skracając wycieczkę o dni parę. Po dobrém śniadaniu puściłem się wyborną szosą i doszedłem koło godziny 8-méj do wsi Sztyrby, mojéj pierwszéj stacyi. Tak w Sztyrbie, jak we wszystkich prawie wsiach, przez które w swéj wycieczce przechodziłem, znajduje się po dwa kościoły i dwa probostwa. Droga moja wypadła przez tę okolicę Słowacyi, gdzie ludność w części jest wyznania katolickiego, a w części luterańskiego. W każdéj więc wsi stoją dwa kościoły: katolicki i luterański. Na zapytanie, czy „farar je doma“ odpowiedział mi mały pastuszek także pytaniem: „A który, czy nasz?“ Nie mogłem wprawdzie poznać z miny malca, czy mam przed sobą katolika czy ewangelika, ale na chybi trafi odpowiedziałem: „Ano, wasz, Bodický“. „Je doma, je doma“, brzmiała odpowiedź. Rzeczywiście zastałem pana farara w domu. Cyryl Bodický to młody 28-letni człowiek, mieszkający już od czterech lat w zapadłym kącie górskim, jako proboszcz ewangelicki. Usłyszawszy moje nazwisko, polecone przez dr. Makovický'ego, przyjął mnie bardzo uprzejmie i gościnnie. Po dobréj kawie wyruszyliśmy zaraz w drogę, która nie szła wcale szosami, ale przez góry. Przewodnik był mi więc niezmiernie potrzebny. Przez uroczą dolinę Czarnego Wagu, daléj przez dolinę Żdżarską, podnoszącą się nieznacznie w górę, dostaliśmy się na przełęcz czyli po słowacku p r e h y b ę, skąd na dwie strony jedyny w swoim rodzaju roztacza się widok. Na północ rysują się na horyzoncie czarne i ponure sylwety wysokich Tatr; najdaléj na zachód odskoczył potężny Krywań, zwieszający milcząco swą głowę nad olbrzymią, posępną przepaścią. Z widokiem granitowych kolosów miałem się pożegnać na czas dłuższy, bo z prehyby spuszczała się droga na dół w prześliczną dolinę Hromr, rozciągającą się właśnie przed naszemi oczami. Chętnie byłbym posiedział tu dłużéj i cieszył się piękną naturą, lecz niestety musiałem pospieszać, aby na czas przyjść na oznaczony nocleg. Największą przykrość sprawiało mi to, że dalszą drogę musiałem odbywać sam, bo p. Bodický z prehyby wracał do domu. Skończywszy gimnazyum w Przerowie umié doskonale po czesku, to téż porozumiewaliśmy się pierwotnie przy pomocy tego języka, dopiéro potém postanowiliśmy posługiwać się każdy swą mową ojczystą dla przekonania się, jak się będziemy rozumiéć. Szło nam wybornie, z czego wielce byliśmy zadowolnieni. Rozmowa nasza

obracała się koło religijno-kościelnych stosunków na Słowacyi, które mimo końca liberalnego wieku XIX przedstawiają tu specyalny obraz i nie mały budzą interes. O przedmiocie tym powiem słów parę późniéj; obecnie ograniczę się do zaznaczenia faktu, że jedynie dzięki jedności wiary utrzymują luteranie słowaccy bliższe stosunki z luteranami polskimi na Szląsku. W tym roku właśnie odbywała się wielka religijno-narodowa uroczystość słowacka w Św. Mikołaju. Była to mianowicie trzechsetletnia rocznica urodzin Tranowskiego, który dał Słowakom kancyonał, używany przez lud do dziś dnia. Tranowski pochodził ze Szląska, na uroczystość przyjechało tedy wielu Szlązaków, z których najlepiéj utwiły w pamięci p. Bodický'ego osoby dr. Cińciały i ks. Michejdy. Na uroczystości była obecna równie zmadyaryzowana szlachta słowacka, któréj z ust gości polskich dostało się nie jedno gorzkie słowo prawdy za odstępstwo od sprawy narodowéj. Fakt ten wspominają Słowacy z zadowoleniem i wdzięcznością. Skoro oni mają usta zakneblowane i nie mogą się na swe krzywdy poskarżyć, niechże inni podniosą głos w imię poniewieranéj sprawiedliwości. Dziwny to w naszych czasach objaw, że ludzi zbliża nie jedność plemienna ale wyznaniowa. Gdzie indziéj spotykamy się z objawami przeciwnemi, ale „u nas inaczéj, inaczéj, inaczéj“... Uścisnąwszy serdecznie dłoń p. Bodický'ego, zbiegłem w dół chodnikiem przez gęsty las prowadzącym i znalazłem się niebawem we wsi Pohorela, któréj mieszkańcy polskiego pochodzenia do dziś dnia używają między sobą języka polskiego, a wsi swojéj nie nazywają inaczéj jak Pogoreła. Głodny byłem setnie, to téż wpadłem do karczmy, dziwnym zbiegiem okoliczności nie przez żyda utrzymywanéj i zafundowałem sobie kwaśnego mléka z chlebem, oraz sześć deci węgierskiego wina. Innego jadła nie było, o mięsie nawet nie słyszeli. Już to w ogóle jedzenie podczas drogi przez wsi wiele pozostawiało do życzenia. Przy forsownym, dziesięciogodzinnym marszu w dzień ciepły, skazany byłem na przymusowy post, którego nigdy nie byłem wielbicielem, a tém bardziéj w podobnéj podróży. Raczyłem się za to wyborną bryndzą słowacką i białém winem węgierskiém, którego wypijałem znaczne ilości. Ten słowacko-węgierski kompromis podtrzymywał moje siły, bo inaczéj byłbym zmarł z głodu. Podczas uczty weszły jakieś trzy damy, które mocno się moją osobą zainteresowały. Po raz pierwszy w życiu usłyszana mowa polska zaintrygowała je. Nawiasem dodać muszę, iż postanowiłem sobie wszędzie używać języka polskiego dla przekonania się, jak téż daleko w ten sposób zajdę, i okazało się, że mnie wszędzie wybornie rozumiano. Lecz damy owe węgierskiego snać pochodzenia, choć znały język słowacki, jakoś zrozumiéć mnie nie mogły. To téż

użyłem języka niemieckiego, tego ogólno-słowiańskiego *volapüku*, no i wtedy byliśmy już w domu. Odpocząwszy nieco, oddałem łaskawym na mnie damom głęboki ukłon i pomaszerowałem daléj, aby już co prędzéj dojść do noclegu, bo nogi buntowały się przeciw mym energicznym rozkazom, a żołądek wołał w niebogłosy o kawałek mięsa. Parę godzin drogi dzieliło mnie od ziemi obiecanéj, a raczéj od karczmy w Czerwonéj Skale. Droga prowadziła przez dobrze zagospodarowane majątki księcia Filipa Koburskiego, jednego z najbogatszych magnatów węgierskich. Przechodziłem koło całego szeregu hut żelaznych takich, jakie ongi za Homolacsów były w Zakopaném. Z wnętrza dochodziły te same odgłosy ciężko spadających młotów, wypadały te same blaski wielkich ognisk, a przy pracy krzątały się te same wybladłe i osmolone postaci robotników. Jeszcze wyżéj od przemysłu stoi tu gospodarstwo leśne, drzewostan wszędzie piękny i wzorowo utrzymany. Czerwona Skała, miejsce mego noclegu, jest również osadą fabryczną i tylko dzięki temu dostałem wcale niezłą kolacyę i dobry pokój. Nazajutrz rano, a był to trzeci dzień mojéj wycieczki, wyszedłem wcześnie w drogę, aby jeszcze przed wieczorem zajść do Wielkiéj Rewucy (*Velka Revuce*), miasta, znanego ze słowackiego gimnazyum. Marsz mój wypadł przez prawdziwie piękną okolicę, szosa prowadzi bowiem przez pyszny las bukowy. Jesienna wprawdzie, ale jeszcze dość żywa zieleń przepuszczała wrześniowe promienie słoneczne, jasne i ciepłe. Dokoła panowała zupełna cisza, nie przerywana nawet głosami skrzydlatych mieszkańców lasu. Tylko ukryty w paprociach strumień szeptał ranną modlitwę, czy téż zwierzał się ziemi ze swych uczuć. I dobrze mi było z tą spokojną naturą, harmonizującą z mym nastrojem duchowym. Jakże chętnie byłbym odskoczył z szosy w głąb i pobłąkał się wśród tych beznamiętnych organizmów roślinnych, tchnących głębokim, prawdziwym spokojem. Lecz musiałem pomykać szybko naprzód, bo czas mój był ograniczony. W miejscach, gdzie las był rzadszy, ukazywało się wyniosłe i strome wzgórze, uwieńczone poszczerbionemi murami jakiéjś ruiny zamkowéj. Przyśpieszyłem kroku. Myślą przeniosłem się do zachowanych jeszcze baszt, strzelających śmiało w niebo. Zapomniałem o swéj całéj wycieczce, a jedynym celem życia było na razie wdrapanie się na wierzchołek wzgórza i obejrzenie smutnych resztek największego niegdyś na Węgrzech zamku, Murania. U stóp wzgórza rozciąga się wieś Murań, posiadająca dużą, murowaną karczmę. Zjadłszy nikczemnego chleba z bryndzą i popiwszy jeszcze nikczemniejszém piwem, poszedłem w górę. Wdrapywanie się bardzo niewygodną ścieżką jest nużące i trwa całą godzinę. Boże miłosierny, jakże ja tam byłem zmę-

czony; godzinę życia byłbym oddał za kroplę dżdżu, tak mi pragnienie usta wysuszyło. Dowlokłem się nareszcie do jakiegoś nowożytnego domku, zamieszkałego przez dozorcę ruin. Za przewodnika dano mi sześcioletniego bębna, w którego pożyteczność dla swych celów nie wierzyłem. Wkrótce atoli przekonałem się o swoim błędzie. Z dawnego, przepotężnego zamku Murańskiego nie zostało niestety nic, oprócz otaczających murów, bardzo gęsto i mocno poszczerbionych, kilku baszt i wielkiéj cysterny. Zresztą po murach wewnętrznych nie pozostał nawet ślad; wszędzie rośnie bujna trawa, krzewy i drzewa. Dawnych kształtów z niczego odbudować sobie nie można. O obszerności ruin daje pojęcie fakt, że obejście wzdłuż pozostałych murów trwa całą godzinę. Jeżeli ruiny zawiodły moje nadzieje w zupełności, to za to natura stokrotnie mnie wynagrodziła. Mało tak pięknych znam widoków, jak panorama roztaczająca się przed oczami widza patrzącego z wierzchu skały murańskiéj, otoczonéj naprzód wstęgą dolin, a potém wieńcem podobnych jéj wzgórzy, pomiędzy któremi biegną szosy, wiją się strumienie, rozciągają wsi i sioła. Czułem, że mój oddech stawał się lżejszy, że krew żywiéj w żyłach krążyła. Ogarnęła mnie chęć zlania się z otaczającą przyrodą. Gdybym był ks. Filipem, a raczéj właścicielem zamku Murania, postawiłbym sobie letnie mieszkanie i tu szukał prawdziwego spokoju i ciszy. Niestety, odpocząwszy nieco, musiałem spuścić się w dół.

Upał popołudniowy dokuczał mi nieznośnie; przejeżdżające fury wzbijały gęste tumany kurzu, wciskającego się w nos i oczy, utrudniającego oddech. Zabielony od stóp do głowy rwałem naprzód, aby już co prędzéj schronić się pod dach. We wsi Dlouha Luka, o pół godziny pieszéj drogi od miasta Velka Revúce odległéj, spotkałem dwóch żandarmów, z których jeden przemówił do mnie słów kilka po madyarsku. Nie mając szczęścia rozumiéć mowy Arpada, objaśniłem go po niemiecku, że *ich verstehe ungarisch nicht.* Wskutek tego zawiązał się między nami dyskurs w języku niemieckim. Mój interlokutor był snać niezmiernie ciekawym człowiekiem, bo rozpytywał się mnie bardzo szczegółowo kto jestem, skąd idę, dokąd dążę. Nie czyniąc ze swéj wycieczki żadnéj tajemnicy, odpowiadałem na wszystkie pytania, wcale się nie dziwiąc, że moja niezwykła w tych stronach postać zwróciła uwagę sługi bezpieczeństwa publicznego. Jedno tylko pytanie zastanowiło mnie trochę. *„Sprechen sie französisch?"* A tobie co do tego, czy ja mówię po francusku, czy nie. *„Kein einziges Wort"*, odpowiadam zgodnie z prawdą, poczém powiedziawszy sobie wzajemnie kilka komplementów, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. O spotkaniu tém zapomniałem bardzo prędko, bo niebawem stanąłem

u celu i wnet odnalazłem dom adwokata p. Juliusa Botto, do którego miałem polecenie od d-ra Makovický'ego. Po przedstawieniu się zostałem przez gospodarza bardzo uprzejmie i gościnnie przyjęty. Po kawie wyszliśmy na miasto, nie wielkie wprawdzie, ale dosyć schludne i bardzo ładnie położone. Dokoła wznoszą się lesiste wzgórza, a zdala widnieją na horyzoncie ruiny Murania. Velka Revúce posiada jedną nie małą osobliwość; jest nią budynek, w którym ongi mieściło się pełne gimnazyum słowackie, dziś skonfiskowany przez rząd węgierski na rzecz madyarskiéj szkoły przemysłowéj. O gimnazyum opowiem obszernie przy traktowaniu oświaty i szkolnictwa na Słowacyi, tu zaś wspomnę tylko, że p. Botto był w tém gimnazyum nauczycielem. Udzielał historyi, geografii, języka niemieckiego i madyarskiego. O stosunkach szkolnych na Słowacyi umié on wiele zajmujących opowiadać rzeczy, zna je bowiem doskonale i wszechstronnie. Szczery patryota słowacki, pracujący wedle sił i możności nad rozwojem poczucia narodowego wśród Słowaków, stoi prawie osamotniony. Szerszéj i energiczniejszéj działalności, niestety rozwinąć nie może, bo nie ma do tego odpowiednich warunków. Walczy z madyaryzacyą dobrym przykładem, dawanym swym współrodakom. Botto mówi bardzo spokojnie i dobitnie, ale z pewnością siebie i głębokiém przekonaniem. Pomimo tylu klęsk narodowych, jakie Słowacy ponieśli i ustawicznie ponoszą, a długo jeszcze ponosić będą, nie traci on wiary w przyszłość swego 2½ milionowego narodu, posiadającego wiele żywotności i odporności. Biblioteka jego, zaopatrzona w całą niemal literaturę słowacką, posiada przedewszystkiém dzieła traktujące o Słowacyi i o kwestyi słowiańskiéj w ogólności. Na ścianach kancelaryi wiszą portrety patryotów słowackich: Kollára, Šafarika, Palarika, Hurbana, Kalinčáka, Pauliny'ego-Thota, Tomášika, jakotéż obrazy, przedstawiające Jana Husa i Jana Żiżkę z Trocznowa. Julius Botto jest bliskim krewnym zmarłego już poety słowackiego Jana Botto, o którym Jaroslav Vlček w swéj klasycznéj pracy p. t. „Dejiny literatúry slovenskej" tak pisze: „Botto, podobnie jak Samo Chalupka, nie napisał wiele; lecz w jego utworach nie ma postępu: od pierwszych do ostatnich taż sama artystycznie pewna ręka. Czy poemat lata pisany, czy chwilowa improwizacya, wszystko jednakowo cenne. Był szczęśliwym improwizatorem: jego wiersze okolicznościowe „Báj Turcá", „4 august 1863", „12 jannar 1870", „Na Demitrá", „Na ďoročné jubileum A. K.", „Na blahu pamäť Sládkovičovi", „Nad hrobom Sládkovičovým pri sadeni lipy", powstały zawsze w chwili natchnienia. Czy zachęca starych zamilkłych druhów do śpiewu, czy sławi imię dobrego przyjaciela młodości, czy wita pierwszą słowacką

drukarnię i zgromadzenie narodowe, albo rzuca garść ziemi na trumnę Sládkoviča, sadząc lipę na grobie — zawsze to perła uczucia osadzona w perle słowa." Zachód słońca skłonił nas do powrotu; przy wieczerzy poznałem panią Botto, osobę młodą i gościnną. Przy szklaneczce wina płynęła swobodna rozmowa. Posądzano mnie, że nie mówię czysto po polsku, lecz mieszam słowa czeskie albo może słowackie; tak mnie doskonale rozumiano. To samo spotykało mnie wszędzie bez wyjątku i musiałem uroczyście zaręczać, że mówię najczystszą polszczyzną, tylko wolno, głośno i wyraźnie. Przy téj sposobności dowiedziałem się, że Słowacy uważają swą mowę za bardziéj spokrewnioną z polską, niżeli z czeską. I tak być musi istotnie, gdyż mimo używanéj przezemnie metody mniéj rozumieli mnie Czesi, niżeli Słowacy. Kiedy znużony chciałem się udać na spoczynek do hotelu, oświadczono mi, że gościnne łóżko czeka już na mnie przygotowane. Obietnica d-ra Makovický'ego spełniła się tak w tym, jak i we wszystkich innych wypadkach. Tradycyjna gościnność słowiańska nie zaginęła jak u nas, jak w Czechach, tak i na Słowacyi. Im dalej się posuwałem, tém bardziéj mogłem się o istnieniu téj ujmującéj cechy szczepu słowiańskiego przekonać. Tymczasem utonąłem w materacach i usnąłem.

Informacye, zebrane w krótkim czasie pobytu u p. Botto, złożyły się na sporą i zajmującą wiązankę. Velka Revúca posiada huty żelazne, zostające w rękach żydowsko-niemieckiéj spółki. O całym prawie, zresztą nie tak bardzo rozwiniętym przemyśle słowackim powiedzięć można, że się w obcych znajduje rękach. Szerokie masy ludności nie zyskały w przemyśle niezależności ekonomicznéj, materyalnéj, i dlatego brak im najdzielniejszéj broni w zaciętéj walce z madyaryzacyą. Drzewo, którego mają dość, spotrzebowują sami, a uprawa roli tak jest nieracyonalnie prowadzona, że nietylko wszystek swój plon sami spotrzebowują, ale nawet częstokroć sprowadzać są zmuszeni. Nawet dostatecznéj ilości rąk roboczych nie mają tak, że nasi galicyjscy górale bardzo są tu poszukiwani i dobrze płaceni. Kraj to więc ładny, ale biédny — cóż po jego krasie? A jednak Słowak kocha go i jest do niego całą duszą i całém sercem przywiązany.

Z Velke Revúcy, opatrzony poleceniem do d-ra Samo Daxnera, wyszedłem do miasta Tisovca. Pogoda ciągle była piękna i sprzyjała mojemu przedsięwzięciu. Cały kraj, przez który pieszo iść mi wypadało, zupełnie inny posiada charakter, niżeli podgórze tatrzańskie po północnéj stronie łańcucha. Kiedy u nas kraj jest więcéj falisty, bo wyniosłości są niezbyt znaczne i dłuższe, niżeli szersze, a lasem

tylko zrzadka pokryte, kiedy między wyniosłościami ciągną się rozległe szerokie doliny, po stronie południowéj kraj najeżony jest wyniosłemi wzgórzami kształtu stożkowatego, pomiędzy któremi wiją się wąskie i kręte doliny. Środkiem każdéj prawie doliny płynie strumień górski, a nad nim rozłożone są wsi i miasta. Tu i owdzie zielenieją pastwiska, na których pasą się pyszne, białe woły węgierskie z majestatyczną powagą i olimpijskim spokojem. Gdzie niegdzie spotyka się przy drodze kopce ziemi powierconéj wieńcem otworów, z których wydobywa się gęsty, duszący dym. To fabrykacya węgla drzewnego, uprawiana przez biédnych Słowaków. Dr. Samo Daxner wyjechał z Tisovca na kilka dni w interesach swego fachu, lecz za to z uprzedzającą uprzejmością i serdecznością przyjął mnie jego brat Ivan, którego zastałem w piwiarni, w gronie dobrych znajomych. Byli to wszystko narodowcy i patryoci słowaccy, to téż kiedy się dowiedzieli o celu mojéj po Słowacyi wycieczki, zawołali gromko „*slava*“ i „*na zdar*“ przyjmując do swego grona jak towarzysza, jak bliskiego krewniaka. Pod nieobecność swego brata ofiarował mi gościnę Ivan Daxner, prowadząc do domu, gdzie mieszka z żoną, rodzicami i siostrą. Cała rodzina Daxnerów, to najczystsza i najszlachetniejsza krew słowacka. Stary pan Stefan Marko Daxner, dziś już osiwiały w boju i schorowany starzec, to jedna z najpopularniejszych i najsympatyczniejszych postaci słowackich. Z szacunkiem uścisnąłem podaną mi dłoń dzielnego patryoty. Rudolf Pokorny tak mówi w swéj wyżéj cytowanéj pracy p. t. „Z potulek po slavensku“: „Stefan Marko Daxner zapewnił sobie nieustraszoném występowaniem na Słowacyi wdzięczność narodu. Zaprawdę uczynił na nas niezapomniane wrażenie. Daxner, z Tisovca rodem, jest obecnie (1885 r.) mężem przeszło sześćdziesięcioletnim, lecz postawa jego średniego wzrostu, każdy ruch, zwłaszcza zaś bystre, przenikliwe spojrzenie, oko błyszczące junackim jeszcze zapałem, zdradzają silnego ducha. Mowa Daxnera brzmi dźwięcznie, mężnie, a cała postać jest jakby żywcem wyjęta — z burzliwych lat 1848—49.

Marko Daxner studyował prawo i złożył egzamin sędziowski, oraz adwokacki. W burzliwych latach madyarskiéj rewolucyi brał czynny udział w budzeniu narodowego ducha na Słowacyi, a protestem swym zapobiegł wcieleniu gard słowackich w szeregi wojska madyarskiego, wskutek czego on, Francisci i Bakuliny byli prześladowani. Madyarzy bowiem formowali z ludu słowackiego oddziały swéj armii narodowéj. W komitacie gemerskim ustanowiono dowódzcami, jako najzdolniejszych, Stefana Daxnera, Francisci'ego i Bakuliny'ego. Madyarzy obiecali wonczas tym „trzem sokołom“, że przyjaźnie się

z nimi obejdą, jeżeli przybędą dla wytłómaczenia się ze swego postępowania. Tymczasem zaś wszyscy trzéj zostali pochwyceni przez gemerskich absolutystów i powleczeni do więzienia w Pleszywcu. Michał Bakuliny był podówczas nauczycielem ewangelickim w Kokawie, a Francisci-Rimavský pochodził z Hunsztia. Rozumié się, że zostali skazani na śmierć przez powieszenie. Brat Marka, Diuro Daxner, gotował się już kulą powitać kata przy ostatnim pochodzie, już zbiegali się na miejsce egzekucyi ciekawi, gdy przyszedł rozkaz madyarskiéj władzy, darowującéj im życie, byle ich tylko pod ścisłą strażą przyprowadzono do Pesztu. Wieczorem w wigilię egzekucyi nadeszła wiadomość o bitwie pod Schwechatem. Powiernik Kosutha zniósł wyrok śmierci, a nasi trzéj sokołowie zostali skazani tylko na dwa lata więzienia. Z peszteńskiego więzienia zostali niespodziewanie wyswobodzeni, gdy madyarska władza zmuszona była do ucieczki przed ks. Windischgrätzem. Po uwolnieniu udali się wszyscy razem ze słowackimi ochotnikami do Leopoldowa. Kiedy w legii słowackiéj rosło niezadowolnienie z powodu surowéj komendy, wysłano Daxnera do Wiednia, aby wyjednał legii innego dowódzcę. W Wiedniu został Daxner przez Heynaua odznaczony, a życzeniu słowackiéj legii stało się zadość. Pod nową komendą Henryka Lewartowskiego został Daxner setnikiem i chorążym. Odwagi dowiódł on zwłaszcza przy oblężeniu Komarna, a ducha organizacyjnego w Liptowie, gdzie w dwa tygodnie zorganizował sam całą chorągiew (800 ludzi) ochotników, wyćwiczył ich, a potém do Brezna przyprowadził dla przyłączenia do innych legii. Po uśmierzeniu rewolucyi przychodziło wielu ku skazanym „trzem sokołom", przedstawiając swoje zasługi około uwolnienia ich od śmierci i prosząc o ich opiekę przed wojennym sądem austryackim. Po uroczystém rozpuszczeniu ochotników, został Daxner podżupanem gemersko-małohonckiego komitatu. W komitacie tym powstało głównie dzięki jego usiłowaniom pierwsze słowackie gimnazyum wielkorewuckie. Rozumié się, że gdy Madyarzy opanowali „globus" węgierski, musiał Daxner ustąpić. Na razie mianowano go asesorem sądu komitatowego w Debreczynie, gdzie musiał przeżyć smutne czasy inkwizycyi Sełaszowskiego, któréj dopiéro energiczna interwencya sfer wyższych położyła koniec. Imię Daxnera stało się postrachem Madyarów; gdziekolwiek w liście prywatnym znaleźli to imię, więzili natychmiast posiadacza listu i oskarżali o zdradę stanu. Znana jest „inkwizycya gemerska", zwrócona przeciw dr. Zochowi i Bakuliny'emu, przyjaciołom Daxnera, jak również przeciwko wielu innym Słowakom. Prześladowanie to nie wiodło atoli Madyarów do celu.

Daxner próbował swych sił i w literaturze pięknéj a pracował zwłaszcza dla nieszczęsnéj macierzy słowackiéj, któréj był wydziałowym. Jego to pióra jest pamiętne „*memorandum,*“ w którém naród słowacki, dnia 6 i 7 czerwca 1861 r. w Turcz. Św. Marcinie zgromadzony, życzenia swoje sejmowi węgierskiemu przedłożył.

W *memorandum* domagano się — na znak dany przez koryfeuszów madyarskich — aby „indywidualność narodu słowackiego i państwowość języka zasadniczemi prawami i dyplomami inauguralnemi uznane i uznaniem tym przeciwko złośliwym atakom wrogów zgody między narodami zabezpieczone były.“ Uznania „indywidualności narodu słowackiego“ domagano się daléj na przestrzeni, „którą tenże jako zbita, nieprzerwana masa rzeczywiście zajmuje, pod nazwą górnowęgierskiego słowackiego *Okoli*, zaokrągleniem komitatów podług narodowości.“ Dalszém żądaniem było równouprawnienie narodu i języka, „aby w *Okoli* naród słowacki obejmującém, język słowacki był jedynie i wyłącznie tém korytem, przez które prąd życia publicznego, obywatelskiego, kościelnego i szkolnego płynąć ma.“

W końcu domagano się i solidarności narodów węgierskich, gdyż „interesy narodu słowackiego, odnoszące się do swobody obywatelskiéj, są identyczne z interesami wszystkich węgierskich, obecnie prawem uciskanych narodów, mianowicie Rusinów, Rumunów, Serbów i Chorwatów.“ Naród słowacki domaga się więc na przestrzeni przez siebie zamieszkiwanéj zupełnie takiéj saméj swobody, jaką Madyarzy już mają (rozumié się: p r z e d wyrównaniem) a w imię tego „każdy za wszystkich i wszyscy za jednego stać i walczyć chcą.“

Los tego słowackiego „memoryału“ dobrze jest znany. Przedłożono go w lipcu tegoż roku na sejmie węgierskim. Lecz madyaroni (renegaci) zaczęli natychmiast zbiérać przeciw niemu podpisy ludu, przy pomocy nacisku rządowego i starostów gminnych, którzy podpisali sami nie wiedząc co. Lecz protesty te nie byłyby może memoryałowi zaszkodziły, gdyby sejm z 1861 r. nie został nagle rozwiązany, podobno dla jakiejś niemiłéj pomyłki w adresie do tronu. A tym sposobem pogrzebano na zawsze i *memorandum*, co do którego porozumiano się z madyarskimi przywódcami. Doczekało się nareszcie Madyarstwo i dualizmu a — słowacki język wyparto z urzędu, szkół średnich i t. d. w całém słowackiém „*Okoli*,“ które było niegdyś i za węgierskich królów „udzielném księstwem,“ a za Matusza Trenczyńskiego, ba jeszcze za Giskry z Brandysa do dawnéj organizacyi powrócić usiłowało.

W *memorandum* występuje Daxner, jako jeden z politycznych dowódzców narodu słowackiego i to z dowódzców najdzielniejszych, po

których Słowacya przy rzetelnéj konstytucyi wieleby się spodziéwać mogła. Lecz jak inni, tak i znakomity Daxner skazany jest na bezczynności w publicznéṁ życiu politycznéṁ na Węgrzech. Daxner, były reprezentant narodu słowackiego na sejmie kromieryskim, musiał ustąpić w zacisze, zrezygnować z urzędu, a od tego czasu żyje w Tisovcu w kółku rodzinnéṁ.“ Do tych słów Pokorny'ego nic dodać ani téż od nich nic odjąć nie potrzebuję. Dzisiaj wprawdzie jest Marko Daxner starszy i przykrą słabością dręczony, ale zachował do dziś dnia wielką żywość umysłu. Zaimponował mi swoją znajomością historyi i literatury polskiéj; dość wymienić, że czytał całego Mickiewicza i Lelewela. W czasie całéj wycieczki zrobiłem spostrzeżenie, że inteligencya słowacka zna dobrze naszą historyę i literaturę. Tylko współczesne nasze stosunki mniéj dokładnie są na Słowacyi znane. Ponieważ wakacye uniwersyteckie jeszcze się nie skończyły, przeto bawił w domu młodszy syn Marka. Stefan Daxner. student medycyny na wszechnicy praskiéj. Jako syn buntowniczego Marka Daxnera, został za patryotyzm słowacki wykluczony ze wszystkich bez wyjątku zakładów naukowych węgierskich a pan minister oświecenia wydał wyrok, że ukończenie uniwersytetu austryackiego nie da mu prawa do praktyki na Węgrzech, co się sprzeciwia obowiązującym ustawom zasadniczym. Znajomość Daxnerów jest niezbędnie potrzebna dla tych, którzy pragną poznać współczesne, polityczne i narodowościowe stosunki na Słowacyi. Uczciwa i szlachetna tradycya utrzymywała się w tym zacnym rodzie; synowie wstępują w ślady sędziwego ojca, o ile to tylko jest możliwe. Stefan spokojnego jest usposobienia i dość milczący; za to starszy Ivan, sangwinik, niezmiernie żywego temperamentu, chętnie opowiada ciekawemu o dzisiejszém położeniu Słowacyi. Jasność myśli łączy z darem słowa; obadwa te cenne przymioty gościnnego gospodarza wyzyskałem w swych celach i zebrałem rzeczywiście wiele cennego materyału, z którego skorzystać nie omieszkam.

Dotychczas wycieczka moja odbywała się bez żadnych punktów nadprogramowych; dopiéro w Tisovcu miałem osobiście poznać liberalizm węgierski, wcale nie lepszy od innych liberalizmów, którym potomkowie Arpada chwalą się przed całą Europą. Zdarzenie to niezmiernie jest charakterystyczne i zasługuje na szczegółowe opisanie. Lecz nie uprzedzajmy wypadków; chronologia przedewszystkiém.

O pół godziny pieszéj drogi od miasta Tisovca, leży mała, słowacka wieś Pila, w któréj obowiązki proboszcza spełnia p. Vausa. Żona jego Teresa wzbogaciła literaturę słowacką szeregiem drobnych obrazów z życia ludu. Pragnęłem tedy skorzystać z nadarzającéj się

sposobności, aby poznać jednę z inteligentniejszych kobiét słowackich. Po obiedzie wyszliśmy tedy z Ivanem Daxnerem na Pilę. Państwo fararowie zajęci byli podbiéraniem miodu; przywitawszy nas gościnnie i serdecznie, zaprowadzili do mieszkania, gdzie poznałem dwie ich córeczki, małe, ładne dziewczątka. Szczupłe gronko nasze powiększył jeszcze p. Kuchta, student medycyny w Wiedniu. Przy winie rozwiązały się nam języki i otworzyły serca; rozmowa toczyła się oczywiście około ogólno-narodowych a zwłaszcza kościelnych stosunków słowackich. Płynącą pełném korytem pogadankę przerwało szybkie i głośne wejście elegancko ubranego pana, którego znali wszyscy obecni oprócz mnie. Przedstawiono nas wzajemnie.

— Pan Porubsky, slużny (urzędnik komitatowy). — Przyjemnie mi, bąknąłem pod nosem. Pan Porubsky aczkolwiek słowackie nosi nazwisko i w czysto słowackim znajdował się domu, uważał za stosowne uszczęśliwiać nas mową madyarską. Wkrótce sytuacya wyjaśniła się; pan Porubsky przybył w charakterze ściśle urzędowym. Ponieważ nie znam i nie rozumiem języka madyarskiego, przeto nie odrazu dowiedziałem się, że moja właśnie osoba spowodowała wizytę pana „slużnego.“ Obecni za pomocą niemych znaków starali się mnie poinformować. Zrozumiałem od razu; wpadłem w oczko czujnéj władzy węgierskiéj. Istostnie pan Porubsky otrzymał rozkaz pochwycenia mnie i odstawienia do najbliższego więzienia śledczego w Rimawskiéj Sobocie, gdzie rząd węgierski pozwoliłby mi zapewne czas dłuższy rozmyślać nad przyjemnościami podróży po królestwie węgierskiém. Dziwném zrządzeniem Opatrzności miałem być czy téż jestem podobny do jakiegoś prawdziwego czy fikcyjnego emisaryusza. Mój gospodarz Ivan Daxner starał się przekonać pana Porubsky'ego, że stała się wyraźnie pomyłka, gdyż ja jestem Polakiem, turystą i posiadałem przy sobie tylko austryackie pieniądze. Prosił więc pana slużnego, żeby się przekonał drogą telegraficzną o tożsamości osoby mojéj w posterunku żandarmeryi w Zakopaném i dał słowo, że ja póty u niego zostanę, póki odpowiedź nie nadejdzie. Skoro się na to zgodziłem, wziął mnie pan Porubsky na ścisły egzamin, wypytując o mnie, o mego ojca, moją matkę i rozmaite inne rzeczy. Wyznałem wszystko jak na świętéj spowiedzi. Zataiłem tylko jedno a mianowicie cel swojéj po Słowacyi wycieczki; życzeniem mojém było poznać takich panów Porubskich, których nieszczęśliwa Słowacya ma na karku ustawicznie. Choć więc afera mogła się dla mnie skończyć bardzo nieprzyjemnie, to jednak rad byłem z niespodziewanego zdarzenia kiedy pan slużny zażądał odemnie metryki objaśniłem go, że nie wziąłem ze sobą żadnych papiérów, gdyż w obrębie monarchii Austro-Wę-

gierskiéj powinna studentowi wystarczyć karta legitymacyjna, którą téż natychmiast przedłożyłem, a gdy ona panu służnemu nie wystarczała, oświadczyłem, że mam jeszcze arkusz imatrykulacyjny, ale ten zostawiłem w tornistrze u pp. Daxnerów. Zaledwie domówiłem te słowa gdy wszedł c. k. żandarm z moim tornistrem w mojéj nieobecności zrewidowanym. Pokazałem tedy arkusz imatrykulacyjny panu służnemu, potém kazał jeszcze raz pokazać żandarmowi kartę legitymacyjną a w końcu zapytał go, czy ja jestem tym właśnie, którego szukają. Żandarm zmierzył mnie srogim c. k. wzrokiem od góry do dołu i dał odpowiedź przeczącą, gdyż miałem według niego za krótką brodę, obstrzyżoną właśnie w przeddzień wyjazdu z Zakopanego. Następnie zapytał mnie pan Porubsky, czy mówię po francusku. Aha, teraz już rozumiem, dlaczego mnie o to samo interpelował spotkany w drodze żandarm. Byli więc na tropie. Pod koniec mojéj wycieczki, dowiedziałem się, że żandarmi szukali mnie zaraz drugiego dnia na stacyi kolejowéj, do któréj kupiłem sobie bilet, a nie znalazłszy mnie tam, udali się do jeziora Szczyrbskiego. Nie było mnie naturalnie i tam, gdyż jak sobie zapewne szanowny czytelnik przypomina, wysiadłem nie w Szczyrbie ale w Lucziwnie i w ten sposób ślady zatarłem. Pan Porubsky przyszedł w końcu do przekonania, że brak wszelkich papiérów dowodzi prawdziwości moich zeznań. Gdybym bowiem był emisaryuszem czy agitatorem, to posiadałbym napewno w porządku wszelkie papiéry, a przytém miałbym... dłuższą brodę i mówiłbym po francusku, czego ja jednak wcale nie czyniłem.

Bądź co bądź, pan służny postąpił sobie ze mną bardzo liberalnie i po kawalersku, co wszyscy obecni jednogłośnie przyznali. Inny byłby mimo wyraźnych danych, że nie jestem szukaną osobistością, zaaresztował mnie, gdy pan Porubský postanowił mi w końcu zostawić nieograniczoną swobodę, a spisawszy protokół po madyarsku, odczytał go i kazał podpisać. Otrzymawszy od rozumiejących po madyarsku wskazówkę, że to uczynić mogę, podpisałem. Pan Porubský wyraziwszy swoje ubolewanie z powodu zaszłéj pomyłki, polecił mi uprzejmie meldować się w każdéj miejscowości, do któréj przybędę dla uniknięcia na przyszłość podobnych nieprzyjemności. Sądził widocznie w prostocie swego c. k. ducha, że ja taki jestem naiwny, za jakiego on mnie ma. Życząc mi wesołéj i szczęśliwéj podróży, zauważył jeszcze, że jestem bardzo podobny do hr. Apponyi'ego, głowy umiarkowanéj opozycyi węgierskiéj i dobrego mówcy. Ta ostatnia wiadomość niezmiernie mnie ucieszyła, być bowiem podobnym do hrabiego, to przyjemnie nawet porządnemu demokracie! „Co za honor,

co za cześć“ zadeklamowałem sobie i obejrzałem z wielkiém zajęciem karykaturę hrabiego w jedném z humorystycznych pism węgierskich. No, niby komplementu mi pan Porubský nie powiedział, ale ponieważ nie jestem zarozumiały na punkcie swéj powierzchowności, więc mu z serca wybaczam. Uprzejmy gospodarz zaproponował wspólne wypicie wina za to pomyślne zakończenie sprawy; pan służny nie miał czasu zostać, ale ulegając szczerym prośbom gospodarza, wypił dwie lampki wina, które widocznie musiało być ościste, bo ani weź nie nie chciało przejść gładko przez gardło gościa. Nareszcie pożegnawszy się i nie przeprosiwszy gospodarzy za przykrość, jaką im sprawił, wybiegł pan Porubský z domu pastora, a nam wszystkim kamień spadł z serca i jakoś atmosfera zrobiła się lżejsza. Dziewczynki pastora pytały się, co ja ukradłem albo téż co w ogóle złego zrobiłem, że mnie żandarmami ścigają. Trudno było wytłomaczyć niewinnym duszom, że mojém przewinieniem było po pierwsze należenie do szczepu słowiańskiego, a po drugie wycieczka po Słowacyi. Rząd węgierski pragnie uciskanych przez siebie Słowaków izolować kompletnie od reszty świata, aby nikt nie wiedział o krzywdach, jakie muszą znosić. Już sam fakt, że niski urzędnik komitatowy ośmielił się przeprowadzić podobną inkwizycyę w prywatném mieszkaniu człowieka, u którego byłem tylko c h w i l o w o w gościnie, dowodzi, że o przestrzeganiu swobód i praw obywatelkich na Słowacyi nie ma nawet mowy. W czasie inkwizycyi przyszedł do pp. Vausów dr. Samo Daxner, który jeszcze o dwie mile za miastem dowiedział się, że żandarmerya poszukuje i zamierza aresztować jakiegoś podróżnego, który właściwie do niego miał polecenie i u niego chciał szukać gościny. Bratanek Marka Daxnera dzielny i sympatyczny, jak wszyscy członkowie téj rodziny, średniego wzrostu, tęgo zbudowany, barczysty, blondyn o niebieskich oczach i łagodnie uśmiechniętéj twarzy. Od pierwszego słowa, jakie ze sobą wymieniliśmy, poczuliśmy się bliscy, swoi. To téż dr. Samo zaproponował mi, abyśmy odrzucając ciasne konwenanse światowe stanęli odrazu na stopie poufalszéj i odrzucając „pana“ mówili sobie *per* „ty“. Propozycyę tę z prawdziwą przyjąłem radością, bo człowiek ten ujął mnie swą serdecznością. Ponieważ każdy Daxner musi jakimś czynem patryotycznym zapisać się w dziejach Słowacyi, więc i dr. Samo nie jest od tego wolny. Dał on inicyatywę do założenia ochotniczéj straży ogniowéj, któréj statutów władza potwierdzić nie chciała, jedynie z powodu komendy w języku słowackim. Gaszenia pożarów zabroniono ochotnikom pod groźbą kary pieniężnéj: dwieście guldenów na naczelnika dr. Samona i po pięć na każdego członka. Mimo to dzielni ochotnicy ugasili pożar

warsztatów rządowych, a po dokonaniu téj zbrodni stawili się jak jeden mąż dla zapłacenia wyznaczonéj kary. Wtedy, ale dopiero wtedy zatwierdzono im statuty; lecz słowacka komenda jest do dziś dnia solą w oku liberalnych Madyarów.

Późno już było, więc przeprosiwszy uprzejmych gospodarzy za mimowoli sprawioną im przykrość, pożegnałem się i poszliśmy z powrotem do Tisovca. Wiadomość o wypadku rozeszła się naturalnie lotem błyskawicy i poruszyła umysły narodowców, których w Tisovcu jest do dziś dnia większa ilość. Po Św.-Marcinie, stanowiącym ognisko narodowego i literackiego życia na Słowacyi, zajmuje drugie miejsce Tisovec. Mimo wszystko, władze węgierskie nie posunęły się tak daleko, aby zamknąć klub towarzyski, jaki posiadają w tem mieście narodowcy słowaccy. Wieczór postanowiliśmy spędzić w Spolku, a ponieważ na noc zabierał mnie do siebie dr. Samo, poszedłem więc jeszcze pożegnać się z p. Markiem Daxnerem, jego żoną, córką p. Olgą i p. Ivanową Daxner. Tu oczywista oczekiwano wiadomości o zajściu i przyjęto moje przyjście ze zadowoleniem. Uścisnąwszy dłoń p. Daxnera i pożegnawszy się z kobietami, poszedłem do klubu, gdzie już zebrali się niektórzy członkowie, inni przyszli późniéj. Na stole oprócz pism słowackich znalazłem kilka czeskich; polskiego ani jednego. Fakt bardzo prosty i zrozumiały. Aby dać pojęcie o niewymownéj i nietykalnéj prostocie obyczajów powiem, że uczta nasza składała się z chleba, owczego sera i piwa. U nas dano by zapewne podróżującemu Słowakowi więcéj jadła, ale mniéj serca, które tam z jasnych oczu obecnych wyzierało. Zdobylibyśmy się na więcéj wykwintności, ale nie dalibyśmy tyle ciepła, ile ja tam czułem. Krótki niestety pobyt w klubie zaliczam do najmilszych momentów mojéj słowackiéj wycieczki. Wśród poufnéj pogawędki znalazły się i przemówienia i toasty, którymi krzepiliśmy się nawzajem. Nie brakowało naturalnie i śpiewu, choć to rzecz surowo zakazana. Według liberalnych pojęć madyarskich Słowakowi nie wolno śpiewać, chyba pieśni madyarskie. Pieśń słowacka, jako jeden z środków agitacyi panslawistycznéj, grozi całości państwa węgierskiego, więc cicho, sza, nie ma pieśni słowackiéj! Wyborną ilustracyą rządów węgierskich na Słowacyi są dzieje statutów stowarzyszenia śpiewackiego w Tisovcu. Rzecz to tak charakterystyczna, że nie waham się podać obszerniejszéj wiadomości według autentycznych źródeł („*Národnie Noviny*" № 101). Od 12-stu lat starają się inicyatorowie o zatwierdzenie statutów i nie mogą się doczekać. W 1879 r. postanowiła słowacka mieszczańska młodzież w Tisovcu założyć kółko śpiewackie, którego celem, według statutu, ma być pielęgnowanie śpiewu artystycznego i szerzenie

wykształcenia, z idei stowarzyszania się wynikającego. Posłane władzy statuty ułożono na wzór innych już potwierdzonych statutów śpiewackich; lecz nie zostały potwierdzone, gdyż wysokie ministeryum spraw wewnętrznych poczyniło w 1880 r. zarzuty przeciw niektórym ustępom i zażądało ich zmiany.

Inicyatorowie uczynili natychmiast zadość wymaganiu władzy, przekształcili odnośne ustępy tak, jak tego od nich żądano, i zaraz w kilka dni posłali władzy nowe statuty drogą zwierzchności komitatowéj. Lecz odpowiedzi nie było. Ponowne prośby szły jedna za drugą bez odpowiedzi, aż w końcu 1886 r. dowiedzieli się inicyatorowie, że ich statuty zginęły gdzieś bez śladu.

Wygotowano tedy nowe, już trzecie statuty z nowemi stemplami, a powołując się na to, że poprzednie statuty zaginęły w urzędzie, urzędnik zaś wzbronił nawet śpiewów kościelnych, prosili o szybkie, prawne załatwienie prośby, mianowicie o zatwierdzenie stowarzyszenia.

Przedewszystkiém w odpowiedzi nałożono karę 6 złr. 30 kr. za niedostateczną opłatę stemplową, gdyż każdy arkusz miał być opatrzony nie 15-stu lecz 50-ciu centowym stemplem. Reklamacyę przeciwko téj dowolności załatwiła dyrekcya finansowa tak, że darowała 3 złr. 20 kr., ale kazała zapłacić 4 złr. 10 kr., bo tego wymaga ustawa. Inicyatorowie musieli złożyć w urzędzie podatkowym 4 złr. 10 kr., lecz nie zadowolnieni takim wymiarem sprawiedliwości podali nową apelacyę, w skutek któréj trybunał zniósł karę i polecił ją zwrócić. Po tem *intermezzo* wróciły od władzy statuty—niepotwierdzone.

Roku 1890 przedłożyli Tisovczanie czwarte statuty i otrzymali odpowiedź, którą warto przytoczyć w dosłowném brzmieniu.

№ 10614/90.

„Wyciąg z protokółu posiedzenia wydziału komitatowego, odbytego w Rimawskiéj Sobocie dnia 18 lipca 1890 r. Opinia komitatowego fiszkala, zachowującego swoją opinię z roku 1887 pod liczbą 8656, zaleca odrzucenie przedłożonego projektu statutów kółka śpiewackiego, w miasteczku Tisovcu założyć się mającego, a mianowicie ze względu na to, że według sprawozdania głównego służnego uczucia obywateli miasta Tisovca jeszcze ciągle są panslawistyczne i że w takich okolicznościach mające powstać kółko śpiewackie nie może być uważane za instytucyę, któraby wpływała dobroczynnie czy to na wiedzę, czy na literaturę lub wykształcenie, albo też którekolwiek z nich wspierała.

Wobec tego, że według sprawozdania rimawsko-sobockiego głównego służnego i wełdug naszych wiadomości nie zmieniły się te oko-

liczności, które były podstawą naszéj odmownéj odpowiedzi z dni 29, 30 i 31 marca 1887 pod l. 3656, lecz i po dziś dzień istnieją, przyjmujemy opinię głównego fiszkala i nie uważamy przedłożonych statutów za zasługujące na potwierdzenie. O czém postanawiamy wyciągiem z protokółu formalnie tymczasowego prezesa zawiązującego się kółka uwiadomić i t. d.

Apelacya przeciwko temu dzikiemu wyrokowi żadnego nie odniosła skutku, lecz cierpliwi inicyatorowie postanowili tak długo ponawiać prośbę o zatwierdzenie statutów, aż cel swój osiągną. Tymczasem choć nie zorganizowani śpiewają swoje pieśni narodowe i ludowe z werwą i zapałem słowackim. Wkrótce musiałem pożegnać się z miłymi towarzyszami, gdyż postanowiłem następnego dnia o 3½ rano wyjechać z Tisovca. Uścisnąwszy się więc z wszystkimi po kolei i obiecawszy znowu ich kiedy odwiedzić, udałem się na spoczynek do dr. Samo Daxnera, który ofiarował mi swoją fotografię i opatrzył listem polecającym do adwokata dr. Ondreja Hanzlika w Bańskiéj Bystricy, dokąd właśnie nazajutrz pociągiem pośpiesznym udać się miałem.

(*D. n.*).

Wojciech Szukiewicz.





„ZWIERZYNIEC"

MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC.

(Dokończenie) [1].

VII.

Rozdział trzeci „Zwierzyńca" ze wszystkich jest najkrótszy, lecz za to najciekawszy, dotyczy bowiem już nie pojedyńczych osób, lecz spraw i rzeczy krajowych w ogóle. Składa się z trzech części. W pierwszéj „poczynaią syę przypadki osób, ku sprawam świeckim należących", — a więc króla, królewskich i państwowych dygnitarzy i urzędników, potém — stanów wojskowych, a wszystkie te „przypadki" są ujęte w krótkie wierszyki, z których większość zasługuje na miano epigramatów w nowszém znaczeniu tego wyrazu: ostatnie słowa lub wiersze zawierają w sobie ucinek ironiczny lub satyryczny. Przytaczamy dla przykładu epigramat na starostę:

Temu z Bogiem na dwoie mędrować potrzeba.
    Ieśli chcemy pobożnie użyć tego chleba:
Ludki w sprawiedliwości pobożnie zachować,
    A Pańskim też zwierzeniem poczciwie szafować.
Dwie Konstitucie trzeba tu rozumiéć:
    Boży statut y Pański trzeba dobrze umiéć.
A wierz mi, iż w to trudno ugodzić w tey chwili...
    Chociay go przedsię piyąc będzyemy chwalili.

Ale nie wszystkie epigramaty mają koloryt satyryczny; przecie w poczcie osób „ku sprawam świeckim należących" znajduje się

[1]) Zobacz „Ateneum" zeszyt lipcowy r. b., str. 71.

i król, a jakże tu ganić króla? Swoją drogą nie zazdrości mu autor: prawda, że zaszczyt to nie lada, ale odpowiedzialność jeszcze większa, a do tego „wszytki oczy szacuią, zaglądaiąc y we dnie y w nocy", inni znów pochlebiają; lecz kto ma czyste sumienie, kto „iako kryształ w swych sprawach iest przeźrzoczysty", ten

Nie boi się przymówek, a każdemu gębę
Zamknie, że y ia z nimi pewnie milczéć będę.

Miał tu Rej może na myśli owe „przymówki", których nie szczędziła Zygmuntowi Agustowi szlachta w pierwszym roku jego panowania, kiedy to na pamiętnym sejmie 1548 r. wybuchło straszne oburzenie przeciwko małżeństwu króla z Radziwiłłówną. Jednym z rzeczników powszechnego niezadowolenia szlachty był nasz Rej, który we wspomnianym już wyżéj paszkwilu „Rzeczpospolita Polska chromiącz thula się po światu" obrzuca błotem parę królewską, nie cofając się przed użyciem najzelżywszych słów. Opozycya szlachty jednak żadnych nie wydawała owoców: król postawił na swojém i przeprowadził koronacyą Barbary i w ten sposób „każdemu gębę zamknął", a więc także Rejowi, który téż odtąd z uszanowaniem odzywa się o królu.

Po królu następuje w „Zwierzyńcu" wojewoda. Obowiązkiem wojewody w dawnéj Polsce było, pomiędzy innemi, czuwanie nad rzetelnością wag i miar oraz sądownictwo nad Żydami, zastępował go w tém zwykle jego pomocnik i zastępca, komornikiem wojewódzkim zrazu, potém — podwojewodzim nazywany. Za sądownictwo pobierał wojewoda od Żydów 100 złp. rocznie, a w dodatku dziesięć funtów szafranu i cynamonu. W „Zwierzyńcu" upomina wojewoda podwojedwodziego, aby „pomierzył na targach ty łokcie", gdyż są fałszywe, a niechaj także dopilnuje, aby Żydzi pełnili co do nich należy:

„A y oni żydkowie teraz się pokryli;
Gdy ie lepiey karano, szafran mi nosili."
Przyszli s Pomarańczami, a drudzy s Szafranem...
Będzye pomiar u czarta snadź y z naszym panem!

Kasztelan znów zachęca panów do należytego odprawiania sądów wiecowych; cóż dziwnego, powiada, iż „ludzie łaią", kiedy „żadney sprawiedliwości iuż dawno nie maią". Zjeżdżają się więc panowie na sąd i stosują się do rady kasztelana: całą noc jedzą i piją...

Ciekawe są dwa epigramaty, wymierzone przeciwko tak często powtarzającym się za czasów Reja sprawom granicznym pomiędzy właścicielami ziemskimi a starostami, czuwającymi nad całością

dóbr królewskich. Dla rozstrzygnięcia zatargu zjeżdżają na grunt komisarze, pan ucieka się do różnych fortelów — każe chłopom jechać jak najdaléj w las i, gdy przyjedzie komisya, wołać na całe gardło: „przodkowie to dzyerżeli naszy“; ale i starosta nie w ciemię bity — umie on doskonale chodzić około swéj sprawy; w ten sposób nie ta strona wygrywa, która ma słuszność za sobą, lecz ta, która na lepszy zdobędzie się fortel:

Kto się lepiey zachował, pan albo Starosta,
Ma na poły wygraną, a drugiemu chłosta.

Pomocnikiem starosty jest podstarości; i temu przypiął Rej łatkę: podstarości uskarża się przed starostą, że włościanie nie płacą podymnego — od dwu lat podatki zalegają; a usprawiedliwiają się pustkami w kieszeni, „biorą się więc na kwity“, ale, gdy przyjdzie do czego, pokazuje się, że ich nie mają, klną się, że zgorzały. Całą więc winę składa podstarości na włościan, a on sam czy nie zawinił? przeciwnie:

Lecz byś ty miał przysięgać, towarzyszu miły,
U dyabłabyście s panem snadź y s kwity byli.

Poborca podatków od młyna nie lepszy od podstarościego; i on powiada iż to nie jego wina że podatki zalegają: winni ziemianie usprawiedliwiają się, że młyn nie miele, a młyn, mówi poborca, i w niedzielę nie próżnuje. I znów mamy zakończenie epigramatyczne:

Ale, panie poborca, tobie, bracie miły,
I w nocy stępy tłuką, boć mieszek nabiły.

Nie lepiéj dzieje się w sądownictwie: kancelarya jest niedbała, lecz, co ważniejsza, sprawiedliwości w Polsce brak; sprawę wygrywa ten, który da sędziemu większe pamiętne: kołnierz rysi lub kuni będzie zawsze mędrszy, niż wilczy lub lisi. Tu wzywa autor sędziego, aby upamiętał się przecie:

Ty się możesz rozmyślić, iz twoie pamiętne
Na onym srogim sądzye będzye bardzo smętne,
Na którym, gdy pirwszy rok straszno zawołaią,
Drugi raz y bez pozwu tak w zysku zdawaią.

Do sądu należą także obrońcy, których w dawnéj Polsce prokuratorami, prokuratami albo téż rzecznikami nazywano. Może oni przynajmniéj sumiennie obowiązki swe spełniają? gdzie tam — prawo jest zawikłane, korzystają więc z tego i potrafią w każdém prawie „znaleźć dziurę“.

Wierę, Panie, zwikłane nazbyt prawo macie,
A uźrzycie, iż na nie nieraz zabiedacie,
Alechby ia zda mi się, iednak znalazł dzyurę,
Wszystko by to wirzgnęło wnet nogami wzgórę.

Rozumie się, że za wykręcenie prawa wymaga prokurator sowitéj zapłaty od swego klienta, tak, że ten musi „ciągnąć się, iako lis", „póki worka, kożuszka y konika sstanie"; ale nie dosyć na tém— trzeba jeszcze pochlebiać prokuratorowi, kłaniać się, udawać serdecznego przyjaciela, choć w duszy nienawidzi go się za ździerstwo. Nieszczęsnaż to przyjaźń, woła autor, która „więcey muszeniu, niźli cnocie godzi".

Równie ostrą satyrę, wymierzoną przeciwko sądownictwu w Polsce, mamy już w „Krótkiéj rozprawie między trzema osobami". Oto np. co powiada Rej o sędziach:

Ale gdyby nie pamiętne,
I sędzić też nic niechętne,
Ale więc nie szkoda pracej,
Kiedy już kto pewien płacej.
Bo uźrzysz ony proroki,
Kiedy już odsądzą roki,
Sporo im więc młyny mielą,
Kiedy się pamiętnym dzielą.
A to bardzo łowne pole:
Sporzej młócić niż w stodole.
Choć sieć leda jako stanie,
Jednak wżdy co przypadnie na nie:
Sarna, zając, soból, liszka,
I kuna, jej towarzyszka,
Chocia żadny pies nie goni,
Przedsię jej być jednak w toni.
A gdy z wiatru przydzie snadnie,
Czasem cały kożuch wpadnie [1]).

Wogóle cała część pierwsza rozdziału trzeciego „Zwierzyńca" da się ściśle zestawić z odpowiedniemi ustępami „Krótkiéj rozprawy", która, pomiędzy innemi, zawiera w sobie satyrę przeciwko urzędnikom, jakoto wojewodom, kasztelanom, starostom, poborcom, prokuratorom i t. d. O prokuratorze np. wyraża się Rej prawie w ten sam sposób, co w „Zwierzyńcu":

---

[1]) 492 nast. — I w „Wizerunku" nie zapomina Rej o nadużyciach, jakie dzieją się w sądach; niektóre pomysły są nawet zupełnie te same, co w „Zwierzyńcu": i tu np. powiada autor, że „Kunie futro albo Wilcze daleko przed Baranem stoi" (VIII, 1014), i tu przypomina sędziemu o dniu sądu ostatecznego (VIII, 930).

Rozlicznie cię będzie winił:
„Złe masz prawo, źleś uczynił;
Nie będzie li mej pilności,
Iście nie ujdziesz trudności;
Ale gdyby chciał dołożyć,
Mogłoby twe prawo ożyć:
Jeszczećby ja dziurę nalazł,
Kędybyś z tej sieci wylazł“ [1]).

W „stanach“ wojskowych prym dzierży hetman; zbyt wielki to personat, aby można było wyrazić się o nim złośliwie; a więc, podobnie jak w epigramacie na króla, mówi tylko autor o ciężkich obowiązkach stanu hetmańskiego; ciężkie to zadanie: zdobić hetmana powinny umiarkowanie w wymierzaniu sprawiedliwości, swoboda, układność, „bo każdy, niźli s strachu, chętnieyszy z miłości“, a przedewszystkiém powinien się okryć sławą, aby świecić podwładnym przykładem. W epigramatach na rotmistrza, żołnierzy i drabów znowu jest Rej satyrykiem. Rotmistrz, przechodząc z wojskiem przez wieś, ugania się za drabami z kijem, nie pozwalając im niby kraść gęsi kmiotkom, co jednak bynajmniéj nie przeszkadza, że sam wziąłby chętnie choć ze dwie sztuki dla siebie:

„Więceś się to polepszył, zły nieszlachetniku!
Lecz wżdy day ze dwie na łęk, a niechay iuż więcey,
Bo wierę cię uderzę, niż drugiego, pręcey.“

Ironiczne są również epigramaty na trzecie wici i na „wojnę pospolitą”, w których Rej ubolewa nad niedbałością Polaków w obronie ojczyzny: wici tak długo „kręcą”, że nieprzyjaciel korzysta z téj zwłoki, a gdy przyjdzie wreszcie pospolite ruszenie, szlachtę zajmuje głównie nie sprawa publiczna, lecz przygotowanie zapasów żywności [2]).

VIII.

W części drugiéj rozdziału trzeciego „idą stanów duchownych przypadki“. Tłem ogólném téj części jest już nie tylko satyra, lecz nielitościwe szyderstwo. W epoce reformacyi, w epoce dysput i walk religijnych, paszkwil i satyra były jednym z najbardziéj rozpowszechnionych środków polemiki religijnéj; bronią tą posługiwali się zarówno zwolennicy reformacyi, jak i katolicy. Wkradła się nawet satyra do poezyi dramatycznéj, zwłaszcza niemieckiéj,

---

[1]) 1088 nast. — [2]) Porów. „Krótka rozprawa“, 1147 nast.

w którėj częstokroć szydzą poeci-protestanci z papieża, wystawiając go na scenie pod postacią to dyabła, to antychrysta, dalėj — z biskupów i wogóle całego duchowieństwa katolickiego tudzież obrządków kościelnych; takiemi są, naprzykład, sztuki dramatyczne Niklasa Manuela [1]), lecz nadewszystko słynnego Tomasza Naogeorga [2]) którego dramaty tchną tak straszliwą nienawiścią do kościoła katolickiego i szyderstwem z religii katolickiėj, że dadzą się chyba porównać tylko z satyrą Pirkheimera „*Eccius dedolatus*“. Epigramat nie dał się wyprzedzić w tym względzie satyrze: w krótkich a uszczypliwych wierszykach szydzą poeci protestanccy z duchowieństwa katolickiego, z licznych obrządków i ceremonii kościoła, pisząc natomiast ody pochwalne na cześć Lutra i jego zwolenników. Poeci znów katoliccy szydzą z Lutra i religii protestanckiėj; w Polsce przedewszystkiém Krzycki dał się poznać jako taki satyryk. Należy jednak odróżnić dwie kategorye poetów: jedni wyśmiewają religią katolicką tylko dlatego, że jest katolicka, — są to protestanci; inni, nie tykając zupełnie istoty katolicyzmu, powstają przeciwko strasznemu zepsuciu duchowieństwa, które rzeczywiście miało miejsce w XV i XVI wieku, przeciwko hulaszczemu życiu i chciwości księży świeckich, przeciwko rozpuście i ograniczoności mnichów: tego rodzaju satyra jest o całe stulecie starszą od satyry reformacyjnėj, a twórcami jėj są humaniści. Do tėj drugiėj kategoryi poetów należy np. Kochanowski, który, przecie był katolikiem, a jednak we fraszkach drwi z księży i mnichów.

A Rej? Rej był gorącym zwolennikiem reformacyi, szydzi więc nietylko z duchowieństwa, ale także z obrządków religii katolickiėj, i to z obrządków najkardynalniejszych, jak np. ze mszy. Choćbyśmy nawet nie posiadali jego „Postylli“, to „Wizerunk“ i „Zwierzyniec“ stwierdzają to w zupełności. W rozdziale jedenastym „Wizerunku“ spotyka błąkający się młodzieniec Abirona, wysłańca piekieł, który na pytanie dokąd bieży, odpowiada, iż śpieszy do Boga, by Mu oznajmić, że piekło już więcėj dusz pomieścić nie może,— tak jest przepełnione grzesznikami! I jacyż to grzesznicy? są wprawdzie ludzie świeccy, lecz nie brak i duchownych, więc papieżów, kardynałów, biskupów, księży świeckich, mnichów; a o każdym z tych stanów wyraża się autor w sposób ironiczny, złośliwy. Taka

---

[1]) Mamy tu na myśli dramaty „*Vom Papst und seiner Priesterschaft*“ i „*Gegensatz des Papstes und Christi*“. — [2]) „Pammachius“, „Incendia“ i inne.

sama nienawiść ku duchowieństwu rzymskiemu jest rozlana na listach „Zwierzyńca“. Oto epigramat na papieża:

Dziwna to rzecz, kto tho śmie na Boga żywego
    Targnąć się, przywłaszczaiąc sobie mieysce iego,
Zapomniawszy, onemu hardemu czartowi
    Co się stało przez pychę,—niechay sam to powie!
Albo, iako nędzny on Nabuchodonozor,
    Co żarł siano, iako Wół, wywiesiwszy ozór:
Podobnoć też tak będzye y Papye naszemu,
    Bo się na wszem przeciwi Bogu naywyszszemu.

Papież mieszka w Rzymie, — potężne to miasto, lecz upadnie kiedyś z pewnością, gdyż to było objawione ś. Janowi, który widział niewiastę „o siedmi głowach na bestiey“ [1]), niewiasta zaś ta, jak mu anioł wykładał,

Była iasna figura niektórego miasta, [2])
    Które na siedmi górach szyrokich siedziało,
Ale potym w srogości marnie upaść miało.

Od papieża przechodzi Rej do biskupów; ci mają sobie poruczone paść „wdzięczne Pańskye stado“, ale często pod ich opieką „parszywieią“ biédne owieczki; jakaż to niebaczność, woła autor, nie pamiętać na słowa Pana, który surowo karze niewiernych pasterzy!

Z największą jednak złośliwością wyśmiewa autor opatów i mnichów; opaci, powiada, spaśli się jak wieprze, a czyż nie lepiéj by to było, aby raczéj uprawiali rzemiosło rycerskie — na pożytek ojczyźnie, na cześć państwu, a na chwałę Bogu! A mnisi? dosyć spojrzéć na te „bestye“, na ich łeb strzyżony, na „szalawary“, wiszące u szyi, by się przekonać, że czystém szaleństwem są ich wiara, nauka, nabożeństwo. Mniéj więcéj to samo czytamy w „Wizerunku“:

„Są téż iacyś kuglarze s powrozy, s kukłami,
    Co my ie sobie prawie tam [3]) za błazny mamy,
A podobno y u was tenże urząd maią,
    Bo rozumiem, dla tego łbów im przystrzygaią“ [4]).

---

[1]) Apocal. 17, 3: I widziałem niewiastę, siedzącą na czerwonej bestyi, pełnej imion bluźnierstwa, mającej siedm głów i rogów dziesięć. — [2]) Tamże, 17, 18: A niewiasta, którąś widział, iest miasto wielkie, które ma królestwo nad królmi ziemi. — [3]) t. j. w piekle (słowa Abirona). — [4]) XI, 165 nast.

O mniszkach odzywa się Rej ze współczuciem, nie pozbawionêm prawdziwego humoru; mniszki, powiada, chowane są w „klozye, by błędne owieczki, a na pasze nigdy ich wolno nie puszczaią“, co nie przeszkadza, że nieraz same wyrwą się z więzienia i wtedy z radością „wrzeszczą, iako Kózki"; podobne życie sprzeciwia się wprost woli Boga, który sam ustanowił przecie małżeństwo. I znów przypominają się słowa „Wizerunku", wymierzone przeciwko celibatowi:

O nędzna, marna glino, iakoż się śmiesz ważyć,
A co iest wola Pańska, to inaczey stawić. [1])

. . . .

Bo Pan Bóg poniewolney żadney służby nie chce. [2])

Bóg tylko wtedy błogosławi ludziom, gdy ci nie przestępują Jego woli świętéj: sam objawił to Salomonowi [3]).

O księżach świeckich wyraża się Rej umiarkowanie, a nawet z pewnym szacunkiem dla ich wykształcenia:

S tymi radszey niż zwady, zawżdy szukam mieru,
Bo tam więcey y słówek, więcey y papiru.

Zobaczymy teraz w jaki sposób wyszydza autor obrządki kościoła katolickiego. W „Wizerunku“ prorok Eliasz tłómaczy młodzieńcowi, że wszystkie obrządki są „wymysłami“ ludzkiemi, gdyż Bóg tylko wiary od człowieka wymaga. Oto słowa autora, odnoszące się do obrzędów, spełnianych przez księży katolickich:

Tłuką dzwony, śpiewają, kropidły machaią,
Kurzą, piszczą w organy, nisko się kłaniają,
Zgoła święcą y świece, chodzą po kolędzye,
Z wodą świętą y s solą też biegaią wszędzye
Ognie palą y chodzą pięknie z processyą;
Na Iudasza fukaią, a Iezusa biią. [4])

Z powyższych słów widać, że mowa tu, między innemi, o mszy („nisko się kłaniają“), o zwyczaju kropienia w kościele wodą święconą, o kadzidle, używaném w czasie nabożeństwa, o święceniu ziół, o paleniu świec i ceremoniach, przy sakramencie chrztu spełnianych („z wodą y s solą biegaią“). Każdemu z tych obrządków lub zwyczajów poświęca Rej w „Zwierzyńcu“ po jednym wierszyku, a najzłośliwiéj wyraża się o mszy:

Patrz więc, kiedy się księża u ołtarza burzą,
Wzniószszy ornat, iednemu wszyscy w ogon kurzą.

---

[1]) IV, 331—2. [2]) IV, 387. [3]) Epigramat na kościół. [4]) XII, 277 nast.

Więc tu około niego, by łątki [1]) igraią,
Iedne ledwe kozyełków iż nie przewracaią,
Więc mu biyą w cymbały, a graią w organy,
A on im tu łaszkuie, [2]) by Niedzwiedź s skorami,
Mruczy, sapi, pogląda, iedno iż nie drapye,
Lecz przedsię, by łapę ssał, schyliwszy się, chrapye.

Woda święcona, mówi Rej, nie pomoże człowiekowi do zbawienia; chociaż „miły Prełat“ powiada, że „ta *aqua benedicta*“ zgładza „*omnia delicta*“, zbawić nas może ta woda jedynie, która wypłynęła z boku Chrystusa. Tak samo i kadzenie nie ma, według Reja, najmniejszego sensu:

Machayże, miły księże, iedno chybiay nosa,
Podkurz nam to nadobnie, co zmoczyła Rosa;

wprawdzie kadzidło pięknie pachnie, ale,

Nie póydąli perfumy od serca prawego
Z upokorzoną myślą do Boga żywego:
Iakobyś też podkurzył na oborze bydło,
Tak wiele nam pomoże to twoie kadzidło.

Owies święcony nie nakarmi „Koników“; choć ksiądz mówi „*proficiat illis ad salutem*“, to jednak „*proficiat*“ będzie koniom wtedy, gdy im dasz korzec zwykłego owsa zamiast garści święconego. Nie mędrszym jest zwyczaj święcenia ziół: niechaj sobie „miły, dobry pop“ święci pokrzywę, łopian, bylicę, konopie, — nie doda to im siły żywotnej, a pokrzywa — święcona, czy nie święcona — zawsze parzyć będzie. Zwyczaj palenia świéc całkiem jest niepotrzebny, ponieważ nie one, lecz Bóg prawdziwą światłością ludzi obdarza; a mimo to święcą księża gromnice i śpiewają im tę samę piosnkę, co Panu Bogu. Wogóle Rej nazywa bluźnierstwem oddawanie czci jakiemukolwiek przedmiotowi, jak np. relikwiom, którym ludzie „wżdy się kłaniaią, iako Bogu żywemu, taką cześć działaią“. Pełnym szyderstwa jest wierszyk pod tytułem „Krzcilnica“, w którym autor drwi z licznych ceremonii przy chrzcie w kościele katolickim spełnianych:

Zeymże kołpak s tey banie, boć narzekła baba,
Która by iuż do domu y z dzyecięciem rada.
Napluyże mu na oczy, miły dobrodzyeiu,
A potym mu namażesz na czoło oleiu.
Nasólże dobrze gębę, moia miła wiło,
Aby po tym na starość ieszcze lepyey piło.

[1]) lalki. — [2]) błaznuje.

Zapytajmy się teraz, czy Rejowi za złe poczytać należy to szyderstwo, przechodzące niekiedy w sarkazm jadowity, jakim tchnie jego satyra na kościół katolicki? Zapewne, że za szyderstwo żadnego wogóle człowieka, a więc i autora, pochwalić nie można; bronią satyryka powinna być lekka ironia lub humór; lecz z drugiéj strony nie trzeba zapominać o tém, że Rej żył w czasach, kiedy wzburzenie i rozjątrzenie umysłów, wywołane walką reformacyi z katolicyzmem, doszło do zenitu, kiedy namiętności wzięły górę nad chłodną rozwagą; a każdego autora i każdego człowieka trzeba sądzić ze stanowiska i czasu, w którym żył i działał. Katolicy nie szlachetniejszą od protestantów walczyli bronią, rozrzucając wszędy paszkwile na Lutra i jego zwolenników, nazywając go synem czarta, zwierzem dyabelskim, rozbójnikiem, złodziejem i t. p. [1]). Zresztą, dlaczego nie mamy wierzyć, że Rej był moralnie i głęboko przekonany, iż religia protestancka „wyniosła na światło sławną chwałę" Boga [2]). Jeżeli szydzi z obrzędów kościoła katolickiego, czyni to dla tego, że, według jego zdania, pozbawiły one kościół chrześciański pierwotnéj czystości, że wszystkie obrządki — to „szczyre plotki", w których się Boża „chwała ćmiła"; dopiéro Luter usunął te plotki i za to zasłużył sobie w oczach Reja na najwyższą pochwałę, a Witemberga, gdzie głosił swoję naukę ten „zacny doktór", wydaje się Rejowi niemniej sławném miastem, jak Betleem, gdzie urodził się Zbawiciel [3]). Że zaś Rej nie był skrajnym w swych przekonaniach, że przekonał się z czasem, na jakie bezdroża prowadził wreszcie protestantyzm, dowodzi jego „Przemowa do poczciwego Polaka stanu rycerskiego", w któréj oburza się na sektę Aryan, odrzucających dogmat Trójcy Świętéj i odmawiającéj bóstwa Chrystusowi. Zresztą i w „Zwierzyńcu", w epigramacie pod tytułem „Ewangelikowie" [4]) wyrzuca swym współwyznawcom, że, choć kierują się niby ewangielią, jednak nie postępują wedle jéj przepisów. Najlepszym zaś dowodem, że Rej przestał być fanatykiem, jest „Żywot człowieka poczciwego", gdzie autor ze spokojem i pogodą udziela czytelnikowi nauk moralnych w duchu czysto chrześciańskim.

Tém więcéj nie można Rejowi brać za złe, że występuje

---

[1]) Podobnych epitetów nie szczędzi Lutrowi np. magister z Ingolstadtu, Jan Eugerd, w swym akrostychu satyrycznym na Lutra. — Porów. O. Schade. *Satiren und Pasquille aus der Reformationszeit* (Hannower, 1856—8), tudzież H. Holstein. *Die Reformation im Spiegelbilde der dramatischen Litteratur des XVI Jahrhunderts* (Halle, 1886). [2]) Epigramat na Lutra. [3]) Epigramat p. t. „Witemberg miasto". [4]) List 108, wydanie drugie.

w „Zwierzyńcu“ przeciwko sprzedaży odpustów, było to bowiem nadużycie ze strony kościoła, które ostatecznie spowodowało wybuch reformacyi; odpusty sprzedawano i w Polsce:

Odpusty nam tu iakieś z Rzyma przedawano,
U których ołowyane pieczęci wieszano,
By było onę z nieba ku nim przyłożono.
Odpuszczaycie, chcecieli, by wam odpuszczono!
Ale gdy s tamtąd listów wierzących nie maią,
Niechayże ty z ołowem tam sobye chowaią;
Bo, wierz mi, kto się trefi tam między tą tluszczą,
Byś nawięcey odpuszczał, tobieć nie odpuszczą.

Tego samego zdania był Rej już poprzednio, gdy pisał „Wizerunk“; w rozdziale jedenastym wkłada Abironowi w usta te słowa:

Wy, kiedy po swey woli wszytko złe czynicie,
Tedy lekkim nakładem tam się odkupicie,
A oni też, co to wam dudkom przedawaią,
Choć byście w piekło wpadli, mało o to dbaią.
Gdy pieniędzy do skrzynki pełno nakładziecie,
Iuż grzechów odpuszczenie pewno wnet weźmiecie.
A tak zatem, by w łaźni, społu się drapiecie,
Ale, gdy wam zaleią, pewnie pomdleiecie. [1])

Porusza też Rej w swych epigramatach kwestyą sum pieniężnych, wysyłanych rok rocznie z Polski do Rzymu, a więc świętopietrza i tak zwanych annatów; był to podatek od rocznego dochodu z beneficyów konsystoryalnych albo majątków duchownych, przeznaczony na utrzymywanie misyonarzy ku nawracaniu niewiernych. Cierpiał na tém niemało skarb państwa, to też królowie polscy nie szczędzili starań, aby z pieniędzy, potrzebnych na świętopietrze i annaty, zrobić użytek inny, aby obrócić je na obronę granic i utrzymywanie wojsk dla walki z niewiernymi. Niekiedy zabiegi te pomyślnym wieńczyły się skutkiem: r. 1505 papież Juliusz II zwolnił króla Aleksandra od świętopietrza na lat dziesięć; w r. 1540 Paweł III uczynił takież ustępstwo Zygmuntowi Augustowi. Lecz wogóle kurya rzymska nie była skłonna do ustępstw [2]), to też często debatowano nad tą sprawą na sejmach, a na sejmie piotrkowskim z roku 1558/9 zabrał głos Rej, o czém mamy wiadomość w dyaryuszu: „Tedyż mówił pan Rej o annatach albo sacrach biskupich, aby król jegomość patrzéć raczył, jakby takiéj wielkiéj szkody korona nie cierpiała przez wynoszenie tak wielkich pieniędzy do Rzymu, ale aby

[1]) XI, 125 nast.
[2]) N. Lubowicz. Historya reformacyi w Polsce. (Warszawa 1883) str. 18 nast.

były obracane wedle stanu na obronę pospolitą“ [1]). Leżały więc „*Sacra*, co do Rzyma noszą“ na sercu Rejowi; w „Zwierzyńcu“ oburza się na papieża, któryby państwa chrześciańskie „radszey wydarł, niźli opatrował“, i dodaje, że jeżeli annaty nazywają się „*sacra*“ dlatego, że wywożą je do Rzymu, to możnaby je nazwać „*sacratissima*“, gdyby pozostawały w kraju.

Do epigramatów na „stanów duchownych przypadki" dołączył Rej wierszyki o niektórych rzeczach do kościoła należących. Z tych najciekawszym jest epigramat na organy, świadczy bowiem, że w literaturze naszéj już przed Krasickim porównywano organy z rzecząpospolitą:

To tu różne piszczałki pyęknie przepyernią,
Albowiem tenorowi na wszystkim folguią.
Także nasze piszczałki Pospolitey rzeczy:
Gdyby tenor przystoyny miewali na pyeczy,
A na ieden głos wszyscy społu się zgadzali,
Nadobnieby piosneczki każdey dokonali;
Ale, iż różno beczą, a k temu się kwapyą,
Więc mało znać tenoru, iedno miechy sapyą.

Jak organy powinny zachęcać naród do harmonii i zgody, tak znów „Zigmunt, dzwon zamku Krakowskiego“ niechaj pobudza każdego „ku Pańskiey chwale“, zegar zaś niech przypomina o znikomości czasu; ale niestety, powiada autor, często zważamy raczéj na małe dzwonki, co „nas od przystoynych rzeczy barzo unaszaią“, chociaż słyszymy dzwon wielki; tak samo, chociażby nawet zegar „nabarzyey tłukł“,

Nie odstąpiemy żadny zwykłego nałogu,
Nie pomniąc, prawie z wodą iż nam czasy płyną,
A wnet gorsze nastaną, skoro dobre miną.

IX.

W części trzeciéj rozdziału trzeciego „idą różne przypadki świata tego“, a najprzód — „Królestwa Krześciańskie“, które, zamiast wspierać się nawzajem, swarzą się i kłócą, cóż więc dziwnego, że „ie lada Wilcy po myśli drapaią“. I w Polsce niedobrze się dzieje [2]), i ziemia węgierska szczęścia nie zaznaje, ale przy pomocy

[1]) W. Czajewski. Mikołaj Rej z Nagłowic na sejmach (Warszawa, 1885) str. 18 nast. — [2]) „Korona Polska“.

bożéj rozpędzi może szlachetny królewicz Janusz burzę, która zbiera się nad państwem węgierskiém. Szczęśliwém za to nazywa Rej księstwo pruskie: mieszkają tam „wieldzy stanowie“, kraj to bogaty, urodzajny i zagospodarowany, a na czele kraju stoi książe Albrecht, który „porzucił zakon błędny iął się Pańskyego“, dlatego to Bóg mu tak błogosławi. Te słowa pochlebne o Albrechcie są niejako wykładnikiem uczuć, jakie żywili ku protestanckiemu księciu zwolennicy nowinek religijnych w Polsce. Nadto zaś Rej utrzymywał z nim osobiste stosunki i posłał nawet swego syna na dwór królewiecki—zapewne dla dokończenia edukacyi [1]). Co zaś do podziwu, jaki wzbudzają w Reju Prusy, to cywilizacya tego kraju powszechnie imponowała Polakom; wspomina o tém Klonowicz we „Flisie", a Kochanowski w „Satyrze” powiada:

O Prusiech wam nic nie chcę powiadać, bo sami,
Na każdy rok pływaiąc do Gdańska z traftami,
Widzicie gęste miasta y zamki budowne,
Drogi, mosty porządne y brzegi warowne.

Po apostrofie do księcia Albrechta i jego państwa powraca Rej do rzeczy krajowych. Upomina rady koronne, aby wiernie pilnowały stada, które Pan Bóg powierzył ich pieczy; biada nad niezgodą na posiedzeniach sejmów i izby poselskiéj, gdzie każden dba jedynie tylko o swoję osobistą korzyść, nie zaś o dobro kraju; narzeka na opłakany stan prawodawstwa, które nie troszczy się o uciśnionych; wzywa rodaków do upamiętania się, błaga ich, aby pamiętali o możliwości wojny i nie spuszczali się na pokój. Na każdym kroku spostrzega Rej nierząd, niezgodę, niedbałość, prywatę... I któż to, pyta, „nam Polakom dobrą myśl popsował? —

.....zda mi się, iż mieszek, co hoynie szafował.
    Gdy do niego poźrzymy, ano w nim nic nie masz,
Przez tego mi przysmaku wesołego ukaż!
    Lecz nam snać mieszek nie krzyw: mychmy krzywi sami,
Żechmy się przesadzili nazbyt pstrocinami;
    Więc y dobre biesiady giną między nami
Rozradzą je półmiski, co idą parami.

Myśl swoję wypowiada autor szczegółowiéj w następnych epigramatach, w których opisuje, w czém mianowicie objawia się niedbalstwo Polaków. Naprzód w tém, że zamki pograniczne pustkami stoją:

---

[1]) List Reja do księcia pruskiego Alberta ogłoszony przez dr. Zygmunta Celichowskiego. Poznań, 1891.

Bo iakiż to wżdy rozum y iakaż to rada,
Maiąc płoty gotowe od złego sąsiada,
Wolą, aby tam Wilcy, Kozy drapiąc, wyli,
Niżby się zacni ludzye y państwa mnożyli.

Albo Kamieniec Podolski! nie wiele nakładu trzebaby, aby zamienić go na niezdobytą twierdzę, gdyż już z natury posiada „przykre przekopy“ i „twarde mury“. A jednak nie dbają o to Polacy, jak również o puste pola podolskie — czemu nie osiedlają się na nich?

Zasz to nie wielka żałość, gdy naszy patrzaią,
Ano roskoszne pola pożarem goraią.
Albo się dzikie szkapy z Wilki po nich gonią,
Albo nieprzyiaciele lud niewinny gromią.
Zaszby to Rycerskyey krwi nie lepiey dać tego?
Bogu cześć, sława państwu wżdyby rosła s tego,
Ggyby się tam potrosze wżdy ludzye sadzili:
Wszakże iuż na wielu mieyscach tego doświadszyli.

W epigramacie na kozaków podaje autor myśl, że rząd polski powinien zużytkować ich dla obrony granic.

Widzimy z tych przykładów, że Rej podaje tu swe projekty do naprawy rzeczypospolitéj, a było to zupełnie na czasie. „Zwierzyniec“ został wydany w roku 1562, a więc na rok tylko przed słynnym sejmem, otwartym dnia 22 listopada roku 1563, który wywołał wiele pism ulotnych treści satyryczno-politycznéj. Na ten to sejm wygotował Orzechowski „Rozmowę około egzekucyey“, a Kochanowski wystąpił ze swym „Satyrem“. Na sejmie miała być rozstrzygnięta sprawa pierwszorzędnéj wagi, bo sprawa tak zwanéj egzekucyi, z którą łączyły się zamiary reformy skarbu, wojska, administracyi, słowem — cały szereg projektów „naprawy rzeczypospolitéj“ [1]). Rej na równi z innymi patryotami żywo zajmował się sprawami, obchodzącemi cały naród i, chociaż osobiście przeciwny egzekucyi, to jednak doskonale rozumiał i odczuwał nieodzowną potrzebę wielu reform, a widząc, „że w mieszkaniach królów, w siedliskach władzy rządowéj, zaczyna pająk wić pajęczynę, jak ów puszczyk, na wieżach gmachów spoczywając, wydawał głos ostrzeżenia“ [2]). Większość epigramatów rozdziału trzeciego była może wywołana dysputami, które jeszcze przed sejmem odbywały się w Polsce. Przypuszczenie to staje się tém prawdopodobniejszém wobec tego, że Kochanowski i Orzechowski poruszają, pomiędzy innemi, zupełnie

[1]) Bobrzyński, II. str. 76 (wydanie trzecie).
[2]) Czacki, w przedmowie do dzieła o prawach polskich i litewskich.

te same kwestye co Rej w „Zwierzyńcu". Oto np. co powiada Orzechowski w swéj „Rozmowie": „Ukaż mi iednę rzecz naymnieyszą, któraby się nam wodziła, a któraby nam pewnego upadku nie obiecowała. Sprawiedliwości nie mamy, obrony nie mamy." A oto słowa Reja: „Mieszkamy tak długo w takiey niedbałości, nie maiąc ni obrony, ni sprawiedliwości." Podobnie jak Kochanowski w „Satyrze" ostrzega Polaków, aby zawsze byli gotowi do boju, gdyż na to, że nieprzyjaciel próżnuje, spuszczać się nie można, tak i Rej w „Zwierzyńcu", zwracając się do „miłéj, zacnéj krwi stanu rycerskiego", odzywa się:

Nie wdaway się w wszeteczność, a czasu pokoiu,
Tak iakoć to należy, pomyślay o boiu,

Bez wątpienia zajęcie się Reja sprawami politycznemi jest w „Zwierzyńcu" jeszcze niezbyt wielkie, ale za to w kilka lat później w roku 1567, spotykamy się już z drobnemi utworami jego poświęconemi wyłącznie kwestyom politycznym [1]). W rozprawie pod tytułem „Spólne narzekanie wszey korony na porządną niedbałość naszą" mówi autor o tych samych kwestyach, które porusza w „Zwierzyńcu", lecz obszerniéj daleko. I tu skarży się na to, że w Polsce granic nie strzegą, zamki opuszczają, pól nie uprawiają i nie zaludniają; „żaden naród, żadna horda, a snać i cygańska nie jest w takiéj niedbałości, jak to sławne i zacne państwo nasze" [2]).

W końcu rozdziału trzeciego umieścił Rej epigramaty na zamek, ratusz, wagę pod ratuszem i uniwersytet w Krakowie, tudzież na Sukiennice, na mennicę, wieżę Lubrańską, wreszcie na Wisłę i rzeki, „co do portu morskiego idą". Podobnego rodzaju epigramaty, równie jak epigramaty na znakomitych ludzi, były wskrzeszone także przez humanistów, którzy mniemali, że tą drogą uda im się zapewnić nieśmiertelność rodzinnemu lub innemu miastu, w którém przez pewien czas przebywali, albo np. uniwersytetowi, w którym pobierali nauki; nadto chcieli w swych epigramatach wykazać piękności téj lub owéj rzeki, góry, tego lub owego źródła i t. p. Wiele takich epigramatów pisał, pomiędzy innymi, Konrad Celtes, a z tych niektóre odnoszą się do Krakowa [3]), który to był dla niego przez czas pewien stałą siedzibą. Możliwą jest tedy rzeczą, że epigramaty to humanistów zachęciły Reja do sprobowania swych sił

[1]) Porów. Morawski, w przedmowie do „Satyra". Dzieła Kochanowskiego, wydanie pomnikowe, Tom II, str. 35.

[2]) Tarnowski. Pisarze polityczni XVI wieku. Kraków, 1886, Tom I, str. 352.

[3]) Porów. np. epigramat „*In collegium Cracoviense*"

na tém polu; w każdym razie inny od epigramatów humanistycznych charakter mają jego wierszyki. Wprawdzie i on wielbi piękności zamku krakowskiego, w którymby nawet

. . . . . on Salomon w oney swey zacności
Mógł thu swóy stan rozszyrzyć w wielkiey obfitości;

i on wysławia „Kollegium Krakowskie“:

Starzy ludzye, co bogom mieysca obierali,
Tuby pewnie gospodę niezłą by im dali,
Bo tu sprawiedliwości, tu świętych cnót uczą:—

pomimo to wszystko jednak w większości tych epigramatów przebija się wyraźnie satyra, dydaktyka lub rady polityczne. Satyrycznym jest epigramat na „Lubrankę wieżę“, w którym autor powiada:

Patrzże, ma miła wieżo, na Polskę szeroko,
Uźrzysz dosyć nierządu prawie aż na oko;

taki sam koloryt ma epigramat na „Myńcę Polską“, w którym mowa o fałszerstwie monety, o „farbowaniu“ miedzi srebrem. Pierwiastkiem dydaktycznym zabarwił Rej wierszyki „Waga pod Ratuszem“, „Ratusz Krakowski“ i „Sukienice Krakowskie“. Do pewnego zaś stopnia politycznym można nazwać epigramat na „rzeki, co do portu morskiego idą“:

Mądra to była sprawa, gdy portowi dano
Ty prawa, a koronę wszytę zwoiowano
Że nami, iako w szachy, prosto sobie graią,
Z inszymi, by o bydło, o nas targ dzyałaią!
Zażby nie lepiey wyszszey gdzie portu udzyałać,
A Koronne potrzeby wżdy tym opatrować?
A tak byłby y Wilk syt y Owce by były,
Bo wierz mi, żeby przedsię tamci nie stracili.

W wierszyku tym ma Rej na myśli Gdańszczan, którzy dopuszczali się całego szeregu nadużyć: „port zawierali y otwierali wedle woley swey, brzegi morskie sobie przywłaszczali, dobra, które potoną na morzu sami brali, miastom przyległym, Elżbieżanom y inszym nauigacyey zabraniali“ [1]. Rej proponuje więc założenie przystani nad Wisłą w innném miejscu, a mianowicie w pewnéj odległości od morza, aby Gdańzsczanie nie mogli nadal utrudniać kupcom polskim handlu wywozowego. Jak wiadomo, do-

[1]) J. Bielski, Kronika, Tom XII, str. 219 (wydanie Gałęzowskiego).

piéro Stefan Batory położył tamę tym wszystkim i innym nadużyciom, ogłosiwszy Gdańsk winnym zdrady stanu i zmusiwszy ostatecznie w grudniu roku 1577 miasto do kapitulacyi [1]).

X.

Rozdział czwarty „Zwierzyńca“ nosi tytuł: „Iako starych wieków przypadki świeckie ludzye sobie malowali“. Tytuł ten jednak stosuje się tylko do pierwszéj części rozdziału czwartego, gdyż i ten, jak poprzedni, z kilku części się składa.

W XV, XVI i XVII wieku bardzo często wydawano książki z ilustracyami, które wyobrażały różne figury alegoryczne, jako to czas, sławę, fortunę i t. p. Pod rycinami umieszczano dłuższe lub krótsze wierszyki, zawierające w sobie albo objaśnienie ryciny, albo téż naukę moralną. Podobnego rodzaju wydawnictwa wychodziły zwykle pod nazwą „emblematów“, a były bardzo rozpowszechnione i poczytne, o czém wnosić można ze znacznéj liczby ich wydań. Otóż czwarty rozdział „Zwierzyńca“ zaczyna się właśnie od tak zwanych emblematów. Wydanie drugie jest pod tym względem bogatsze od pierwszego, zawiera bowiem sześć rycin, których nie posiada pierwsze, a które wyobrażają: Bóstwo jedyne, czystość, miłość nieprzystojną, sławę, czas i śmierć. Do każdéj ryciny dodał autor odpowiedni wierszyk; dla przykładu przytaczamy tu jeden — „Zacność czystości“ — będący oczywiście peryfrazą słów pisma świętego:

Każdy to zeznać musi bez wszey obłudności,
    Iako zacny przed Bogiem iest ten dar czystości,
W którey gdy ciało z duchem statecznie chowamy,
    Wielkie błogosławieństwa od Pana miewamy,
Gdyż nam powiedzieć raczył: „którzy ten dar maią,
    Bez wątpienia już tacy Boga oglądaią“.
A tąć by się nam wszystkim tu zdobić potrzeba,
    Bowiem nic nieczystego nie wnidzie do nieba.

Innym wierszykom brak rycin, co autor zastępuje w ten sposób, że opisuje pokrótce ryciny, które był widział lub które może miał przed sobą w czasie pisania, a potém dopiero wykłada znaczenie figury alegorycznéj lub téż nauki moralnéj udziela. Oto np. „Rycerz Krześciański“:

---

[1]) Bobrzyński, II str. 135.

Rycerza kiedy chcieli mieć Krześciańskiego,
Malowali we zbroi, a on s Konia swego
Biie Smoka srogiego o Królewnę zacną,
A to tak wykładali tę figurę znaczną:
Iż każdy wierny burdę ma z okrutnym Smokiem,
Który na miłą duszę patrzy krzywym okiem;
Toć każdego królewna, a kto w wierney zbroi
Walczy przy niey w stałości, Smoka się nie boi.

Albo np. „Zły sługa“:

Złego sługę malarze tak figurowali:
Pysk świni, Wilcze uszy do łba mu przydali,
Psi ogon, a miasto rąk dwie Niedźwiedzie łapye,
Iż wszystko, gdzye co potka, to do siebie drapye,
Wszytko by żarł, by świnia, Wilczym słucha uchem,
Bo pewnie nic nie sprawisz z omylnym paduchem [1]).
Psi ogon ma, bo skacząc, iako pies, dutkuie [2]),
A gdzyeby co połapić, s kąta upatruie.

W podobny, mniéj więcéj, sposób opisuje Rej ryciny, będące symbolami człowieka pobożnego, nadziei, wiary, poczciwości, stałości, czasu, „spólnego ratunku“, t. j. solidarności, zemsty, niedostatku, pychy, wyniosłości, niedbałości w pokoju, dobrego sługi i t. p. Z jakich źródeł korzystał Rej, trudno na to pytanie wyczerpująco odpowiedzieć. Zaznaczamy więc tylko, po pierwsze, że opisywanie różnych figur alegorycznych musiało być wywołane przez sztukę malarską lub rzeźbiarską: ponieważ nie każdemu obrazy lub rzeźby były dostępne, a więc—przez cały ciąg wieków średnich,—zwłaszcza w dziełach teologicznych i moralistycznych uciekano się do tego samego sposobu, którego użył Rej,—sztukę zastępowano słowem; w pismach Augustyna, Fulgencyusza, Izydora i wielu innych mamy tego liczne dowody. Kilka „emblematów“ znajdziemy też w słynnym zbiorze parabol, bajek i powieści pouczających, znanych pod nazwą „Dzieje Rzymskie“. Powtóre, na kartach tytułowych książek, w pierwszych wiekach sztuki drukarskiéj, można często oglądać ryciny alegoryczne, jak np, czas, przedstawiany niekiedy w postaci starca, pędzącego na jeleniu, z sierpem w jednéj, z kołem w drugiéj ręce. Zupełnie tak samo opisuje czas Rej:

Czas bieży na Ieleniu w okrutney bystrości,
Włosy mu na zad wiszą, w iego szedziwości,
Sirp w iedney ręce niesie, w drugiey ręce koło.

Potrzecie, wśród rozmaitych treścią epigramatów humanistycznych nie brak i emblematów, jak np. wśród utworów Krzyckie-

[1]) paduch—łotr. — [2]) łasi się, pochlebia.

go [1]). Po czwarte, jak to już widzieliśmy, istniały w literaturze europejskiéj, współczesnéj Rejowi, specyalne zbiory emblematów i to w znacznéj ilości, że wymienimy tu tylko nazwiska włoskich i niemieckich humanistów Joviusa, Ruscellusa (Rucellai'ego), I. Camerariusa, Alciatusa. „Emblematy“ tego ostatniego poety i uczonego prawnika cieszyły się wielkiém rozpowszechnieniem; czytywano je i w Polsce [2]), a więc może Rejowi także nie były obce. Jeżeli przypatrzymy się rycinom, zawartym w „Emblematach“ Alciatusa, wnet spostrzeżemy, że te właśnie lub takie same ryciny oglądał Rej i opisał je w „Zwierzyńcu“. Tak np. nad wierszykiem pod tytułem „Wiara“ mamy w książce Alciatusa rycinę, która wyobraża dwie napół nagie postaci kobiece, podające sobie ręce, a pomiędzy nimi stoi dziecko z wieńcem na głowie i rozdaje kwiaty kobietom. Zupełnie tak samo Rej opisuje figurę wiary:

Wiarę tak malowali: ona nago stała,
A Cnota ią nadobnie ubrana witała,
A dzieciątko Charitas między nimi stało,
Kwiatki im z gałązkami pięknie podawało.

Nad epigramatem Alciatusa „Na chciwców“ rycina przedstawia osła, obciążonego jukami z licznemi zapasami żywności i szczypiącego chwasty; osieł jest symbolem chciwca. Musiał mieć Rej przed oczami taką samą rycinę, kiedy pisze:

Łakomego figura: Osieł z biesagami,
A na nim flasze niosą s chleby, s pyeczeniami,
A on, nędznik, pokrzywy, kędy może, chwyta,
A gdzyeby do plew trefić, pilnie się przymyka [3]).

---

[1]) Ob. np. In triumphum Amoris pictum (str. 197, wyd. Morawskiego), In imaginem temporis (str. 242), In imaginem vitae aulicae (str. 249). Porów. uwagę prof. Morawskiego na str. 242: eiusmodi epigrammata innumera tum temporis pullulasse constat.

[2]) A. Benis. Materyały do historyi drukarstwa etc. I, № 1084.

[3]) Oto spis emblematów Reja, których źródłem mógł być Alciatus (Omnia D. And. Alciati Emblemata, ad quae singula, praeter concinnas acutasque inscriptiones, lepidas et expressas imagines, ac caetera omnia, quae prioribus nostris editionibus cum ad eorum distinctionem, tum ad ornatum et correctionem adhibita, continebantur. Lugduni, 1557): *List 113.* Nadzieja—porów. Alc. str. 55, In Simulacrum spei. *L. 114.* Serce stałe—Alc., 67, Obdurandum adversus urgentia.—Wenus—Alc., 234, Mulieris famam, non formam, vulgatam esse oportere. *L. 115.* „Spólny ratunk“ — Alc. 187, *Mutuum auxilium.* Zemsta—Alc. 38, Nec verbo, nec facto quendam laedendum. Niedostatek—Alc. 140, Paupertatem summis ingeniis obesse, ne provehantur. Pyszny w cudzą nadzieję—Alc. 16. Non tibi, sed religioni. *L. 116.* Pochlebca—Alc. 104. In parasitos. Wyniosłość—Alc. 118. In astrologos. Niedbałego figura—Alc. 85, Luxuriosorum opes. *L. 117.* Z możnym zły społek—Alc. 193,

Nareszcie źródłem niektórych emblematów Reja mogły być obrazy kościelne; opisu rycerza chrześciańskiego dokonał autor niewątpliwie na podstawie obrazu ś. Jerzego [1]).

XI.

Od emblematów przejdźmy teraz do bajek, następujących w „Zwierzyńcu" tuż po emblematach. Już pomiędzy temi ostatniemi znajduje się znana bajka o kruku i lisie, którą Rej całkiem niewłaściwie umieścił w pierwszéj części rozdziału czwartego. Kruk Reja trzyma w dziobie nie kawał mięsa, ani nie sér, jak u innych bajkopisarzy, lecz chomika:

Kruk ułapił Chomieka, na drzewie gi skubye,
Alić Lis podeń dybye w oney swoiey szubie:
„Aleś, Kruczku, wybielał, bom cię czarno widał,
„Słyszę, żeś y głos zmienił y radbych cię słyszał".
Kruczysko chce zaśpiewać, upuści Chomieka.
A Lis, go pochwyciwszy, choć nie miał konika,
Skoczył prętko do lasa. Kruczek się obaczył,
Iż zdradzon iego miłość, kiedy śpiewać raczył.

Do bajek zaliczyć także należy dwa inne wierszyki, umieszczone wśród emblematów, a mianowicie „Pyszny w cudzą nadzyię" i „Z możnym zły społek"; wprawdzie opisuje w nich autor ryciny — przedstawiające osła z obrazem na grzbiecie i dwa garnki, płynące po wodzie, ale rozmowa pomiędzy osłem a żebrakiem z jednéj strony i pomiędzy garnkiem miedzianym a glinianym z drugiéj, innemi słowy akcya, wyrażona za pomocą formy czasu przeszłego czasownika, sprawia, iż wierszyki te są właściwie bajkami. Przytaczamy jeden z nich:

Osła namalowali: a on obraz nosi,
A za nim idzie żebrak, cò nań rzkomo prosi.
Ludzie się obrazowi, kędy szedł, kłaniali,
Osieł mnimał, by iemu, kiedy go miyali.
Stanął. A żebrak kiyem: „nie tobieć to, świnio,
„Byś ty nie miał obrazu, szedłby każdy mimo".
Takżeć, kiedy się drugim dla panów kłaniaią,
Wnet zhardzyeią, więc ie téż czasem y biyaią.

Aliquid mali propter vicinum malum. Niedbałość—Alc. 208, Ex bello pax. Dworski stan—Alc. 98, In aulicos.

[1]) Porów. epigramat na Jerzego Jazłowieckiego (list 78).

Nie rozróżnia także Rej zwykłéj paraboli od bajki, jeżeli po między bajkami pomieszcza wierszyk „Złego złość niewinnemu nie szkodzi“, w którym żadnéj akcyi nie ma:

Kozyeł, iż s przyrodzenia rad waży na Wirzbę,
Chociay iey kęs pogłodze, małą cirpi krzywdę;
Owszem podczas kozłowi w rogi się dostanie,
Wirzbie to nic nie wadzi, bo w cale zostanie.
Także się téż potrzeba strzed[z] każdemu tego,
By sławy nie uymował nigdy niewinnego,
Gdyż on przedsię zostanie w swoiey niewinności,
A ty pomsty nie uydzyesz za swe wszeteczności.

Bajki Reja są zatytułowane nie imionami zwierząt lub osób, lecz po większéj części sentencyami, w które ujmuje autor nauki moralne, z bajek płynące. Bajka o lwie, śpiącym na słońcu i zuchwałych królikach ma tytuł „Z możnym nie gray“, bajka o lisie i chorym lwie „Zdraycy nigdy nie wierz“; bajka o jeleniu, chlubiącym się pięknemi rogami—„Pysznemu pycha wadzi“; bajka o psie, co dusił jagnięta,—„Sługa niewierny gorszy, niż złodzyey“; bajki o kontrakcie wilków z owcami, o wężu, który ukąsił dziecko chłopa, o gołębiach, obierających sobie na króla kanię, a potém jastrzębia,—„Nie wierz złemu nigdy“; bajki o psie i wilku, ceniącym nad wszystko swobodę, o koniu i ośle, który woli dźwigać ciężary, aniżeli być ranionym ostrogami, o myszy dworskiéj i wiejskiéj,—„Miła rzecz swoboda“ i t. p. Nadto w niektórych bajkach wypowiada Rej naukę moralną obszerniéj, jak np. w bajce o wilkach z owcami:

Wilcy kontrakt z Owcami byli uczynili,
Wilczęta im w zakładzye małe zostawili.
Owce im też swoie psy za gardło wydały,
Wilczęta téż, podroszszy, w las pouciekały.
Potym panowie starszy, gdy iuż psów nie było,
Łacno im do szeliny po iedney brać było.
Patrzay zawżdy przypadków, gdy się masz s kim iednać,
Bo z obłudnym iednaiąc, możesz się przeżegnać.

Satyry, która często bywa cechą bajek epoki reformacyi, nie ma w bajkach Reja zupełnie, odznaczają się zato wesołym humorem, cel zaś ich jest wyłącznie dydaktyczny. Głosi w nich autor swe ulubione zasady, że nic nie ma na świecie droższego nad wolność i swobodę („Miła rzecz swoboda“), że każden powinien być zadowolonym ze swego losu („Coś iest, to chciey być“) i t. p. Zauważymy jeszcze, że nie pierwszy to raz Rej dał poznać się publiczności polskiéj jako bajkopisarz: już na lat kilkanaście przed ukazaniem się „Zwierzyńca” napisał Rej bajkę pod tytułem „Koth ze lwem rospra-

wia o swobodzie a o niewoly" [1]), z roku zaś 1558 posiadamy „Fabułę o chłopye z doktorem“ [2]).

Co się tyczy źródeł bajek, to nasamprzód wiemy, że w Polsce już w drugiéj ćwierci wieku XVI ukazał się w druku zbiór bajek Ezopa w języku polskim [3]), którego jeszcze do dziś dnia nie udało się odszukać. Krążyły téż w Polsce bajki Ezopa w języku łacińskim, i to w kilku wydaniach [4]). Miał więc Rej sposobność zapoznać się z Ezopem z książek w kraju wydanych; zresztą może wpadł mu w ręce jaki zbiór bajek jednego ze współczesnych mu obcych autorów (gdyż humanizm wydał bardzo wielu bajkopisarzy), np. bajki I. Camerariusa, które ukazały się po raz pierwszy już w roku 1538 [5]). W każdym razie, jakkolwiek nie umiemy dokładnie wykryć źródeł bajek Reja, należy przypuścić, że i tu, jak wszędzie, nie trzymał się niewolniczo swego pierwowzoru, że raczéj bajki jego są samodzielném opracowaniem zapożyczonych motywów.

Przytoczymy jeszcze jedną bajkę Reja, już nie ze „Zwierzyńca“, lecz z „Przypowieści“, o babie i wójcie:

Chłop niegdy od gromady pilnie coś sprawował,
Wóyt, co inszego mówiąc, nic go nie pilnował.
A chłop, stoiąc, iął baiać, iż Wrona na Świni
Iechała aż do rzeki, a baba za nimi.
Więc Świnia przepłynęła, Wrona przeleciała.
Potym umilkł, a Wóyt rzekł: „baba cóż działała?“
Chłop rzekł: „gdy nie słuchacie, tedy rzekła baba,
„Całuyciesz mię wszyscy w rzyć, będę temu rada“.

Ktokolwiek czytał Ezopa, ten wnet odgadnie źródło téj bajki: jest niém niewątpliwie opowieść o Demodesie [6]): „Mówca Demodes miał kiedyś w Atenach mowę, lecz gdy spostrzegł, że Ateńczycy wcale go nie słuchają, prosił ich, aby mu pozwolili opowiedzieć im jednę bajkę Ezopa. A kiedy ci chętnie na to przystali, jął tak mówić:—„Demetra, jaskółka i węgorz, odbywając wspólną podróż, doszli do jakiejś rzeki; wtedy jaskółka frunęła, a węgorz plusnął w wodę“.—Po tych słowach umilkł Demades, na pytanie zaś Ateńczyków:—„Cóż się stało z Demetrą?“—odpowiedział:—Gniewa się na

---

[1]) J. Korzeniowski, Rocznik filarecki. Tom I, 1886; str. 575—610. — [2]) Wizerunk, V, 981 nast. — [3]) Estreicher, Bibliografia, VI, str. 40. Porów. także A. Benis. Materyały do historyi drukarstwa etc. I, № 1312. 1338. — [4]) A. Benis. № 63, 99, 363, 507, 1081, 1182, 1304. — [5]) Tabellae Aesopicae plures quadringentis. Tubingae, 1538. — [6]) Fab. Aes., № 117. Ed. Halm.

was, że nie dbacie o sprawy państwowe, przekładając nad nie bajki Ezopa.

Bajka Reja jest najlepszym dowodem, że nie zbywało mu na oryginalności, i że to, o czém skądinąd się dowiedział, we właściwy sobie sposób i całkiem innemi opowiedziéć potrafił słowy.

XII.

Po bajkach umieścił Rej w „Zwierzyńcu“ znowu epigramaty, które jednak różny mają charakter od epigramatów w rozdziale trzecim zawartych: kiedy w tamtych chłoszcze autor życie publiczne, w tych—życie prywatne, rozmaite wady i nałogi jednostki.

Współczesna literatura humanistyczna, wzorując się na Marcyalisie i epigramatykach greckich, posiada nieprzebrane mnóstwo podobnych wierszyków, jak np. „Na zazdrosnego“, „Na pijaka“ i t. p. Celem ich bywa zwykle wywołanie uśmiechu na ustach czytelnika, wyśmianie téj lub owéj osobistości, popisanie się z dowcipem lub ironią, ujęte zaś są w szatę lekką a wykwintną, Takim np. jest epigramat Kochanowskiego „Na butnego“ [1]. Lecz wśród powodzi poetów epoki odrodzenia znajdą się i tacy epigramatyści, którym nie chodzi jedynie o dowcip albo żart: epigramaty ich zawierają w sobie piękne sentencye moralne, wygłaszane w celu poprawy tych, którzy nie umieją pohamować téj albo owéj namiętności. Wpośród fraszek tegoż Kochanowskiego można znaleźć kilkanaście wierszyków, w których poeta nie szydzi, nie śmieje się, lecz moralizuje, jak np. w epigramacie „Na łakomego“:

Na umyśle prawdziwe bogactwa zależą,
  Pod nim srebro y złoto, y pieniądze leżą.
A temu bogatego imię będzie służyć,
  Który szczęścia swoiego umie dobrze użyć.
Ale kto ustawicznie leży nad liczmany,
  Tylko tego słuchaiąc, gdzie przedayne łany:
Ten, równie iako pszczoła plastry w ul układa,
  A drugi, nic nie robiąc, miód gotowy iada [2]).

Otóż, co do tendencyi, przewodniéj myśli autora, epigramaty Reja należą do téj drugiéj kategoryi: celem ich jest nauczanie. Rozumié się, że nie potrafi on przyoblec swych myśli w tak piękną szatę, brakuje mu téj pogody, tego spokoju, jakim tchnie przytoczony

---

[1]) Fraszki, II, 53 (tom II, wyd. pomnikowe).—[2]) tamże, II, 45.

wiersz Kochanowskiego. Uwydatni to się najlepiéj, jeżeli przeczytamy epigramat Reja, napisany na ten sam temat, w którym nawet dwa końcowe wiersze zdradzają niejakie podobieństwo z ostatniemi wierszami epigramatu Kochanowskiego:

Y cóż wżdy wy czynicie, ubodzy nędzarze,
  Prawie was Pan posadził każdemu na wsparze [1],
By się wami karali, a dobra swoiego
  Używali pobożnie, z łaski nadanego;
Bo tu nędzę cierpicie, potym z mąk—do pyekła.
  Y cóż to za nadzyeia! wierzę, żeć się wściekła.
Syedzi nędznik na worku, by miał być żyw wiecznie,
  A drugi na ten worek iuż piye bespyecznie.

W innych epigramatach Rej, zwracając się do rozrzutnych, pochlebców, kłótników; do pijaków, zazdrośnych, obmówców; do graczów, kłamców, lichwiarzy, błaga ich w imię Boga, aby raz przecie upamiętali się, odwołuje się do słów pisma świętego, nie szczędzi przestróg i nauk moralnych, nie cofa się przed dosadném scharakteryzowaniem opłakanych, albo téż nieprzyjemnych skutków złych nałogów, wykazując ich obmierzłość, słowem walczy autor czém może, i prośbą, i satyrą, i dydaktyką. Pełnym satyry i ironii jest epigramat „Na Hardego“:

Idź ty przed się, a patrzay, byś nie zmylił kroku,
  Pluy na stronę, a na cyeń pogląday po oku.
A kołnierza potrząsay, ni o kogo nie dbay.
  A iż ci wszyscy służą, tak o sobye mnimay,
Ale, wierz mi, ci słudzy żeć się śmieią s ciebye,
  Mówiąc: „tu rzecz w popyele, choć myśl lata w niebie“.
A chociać czasem z żartu w oczy pochlebuią,
  Lecz, wierz mi, że cię s tyłu palcem ukazuią.

Najdosadniejszym i najrubaszniejszym jest wierszyk, w którym Rej opisuje skutki pijaństwa („Na Opilce“):

Cóż wżdy masz w tym za roskosz, móy namilszy bracie:
  Wszytkim śmierdzisz iako pies, wszyscy patrzą na cię;
Oczyć, nogi zapuchły, a brzuch iako pudło,
  Iuż chodzisz za taraskiem [2]), iuż na nogach szczudło.
Y mnimasz, abyś żyw był? a tyś zdechł napoły!
  Gdy owy wdzyęczne swoie rospuścisz Sokoły [3]),
Zdać się, abyś wdzyęcznym był, kiedyć w gardło leią?
  Wierz mi, iż ci się s ciebie, iako z błazna śmieią.

---

[1]) wspar—samołówka na ptaki; na wsparze—na widoku.
[2]) *h. l.* umbrelka na oczy.
[3]) kiedy zaczniesz podrygiwać, kiedy pląszesz wdzięcznie (?).

Z widoczną boleścią w sercu, niemal z płaczem zwraca się autor do „dzisiejszych okrutników", błagając ich, aby nie uciskali biednych, a miał tu zapewne na myśli stosunek szlachty do chłopów:

Pan woła przez Proroki: „brońcie sirot, wdowy,
„Ia téż ku wysłuchaniu będę wam gotowy".
Wszakże im dziś nawięcey ci krzywdę dzyałaią,
Na Pańskye obietnice y grozy nie dbaią,—
Którzyby ich we wszytkim tu ratować mieli,
Okrutniey, niż kto iny, sami ie ścisnęli.
Lecz, wierz mi, Pańskie słowo, będzye trwać na wieki,
A ty w piekle przypłacisz tey twoiey opieki.

Że Rej w tych wszystkich epigramatach miał na myśli jedynie społeczeństwo polskie, to nie ulega wątpliwości; przecie w całéj naszéj poezyi satyrycznéj XVI wieku słychać wszędzie skargi i narzekania na opłakany stan obyczajów. Sam Rej już poprzednio, a mianowicie w „Wizerunku", chłoszcze biczem satyry te same wady swego społeczeństwa, które wytyka mu w „Zwierzyńcu". Czasem nawet w obudwu dziełach używa prawie tych samych wyrazów; tak np. w „Zwierzyńcu" powiada o pijaku, który powrócił z wesołéj hulanki do domu i zasnął:

Czasem mu też pieskowie gębę umywaią,
Kiedy z nim spólny nocleg gdzie pod ławą mają. [1])

W „Wizerunku" zaś pijak, budząc się,

Więc też nie dba o czeladź, by mu wody dali,
Iuż mu dawno pieskowie gębę ulizali. [2])

Przyczynę upadku moralności i obyczajów upatruje Rej w złém wychowaniu dzieci. Myśl tę wypowiada w epigramacie „Na wychowanie synów", w którym błaga rodziców, aby lepiéj czuwali nad swemi dziećmi:

Narzekacie na przodki, że was źle ćwiczyli,
Mówiąc, żebychmy dzisia godnieyszymi byli:
Karzciesz się tedy pilnie swemi przygodami,
A mieycie lepszą pyeczą nad swymi dziatkami.

XIII.

Moralizacya i satyra nie wyczerpują jeszcze wszystkich środków dydaktyki Reja: posługuje się on często podobieństwami czyli parabolami, aby tém mocniéj przekonać czytelnika o prawdzie swych zasad.

---

[1]) „Na piyanice", list 127, wydanie drugie .— [2]) III, 723 nast.

Mamy więc w „Zwierzyńcu" cały szereg epigramatów, w których autor porównywa „przypadki" ludzi z „przypadkami" zwierząt, roślin, wody, słońca i t. d. Oto jeden z takich epigramatów, zatytułowany „Żóraw'—na bespieczność żywota:"

Żóraw', doma chowany, wolno sobye chodzi
Na owego dziwoczka, każdy s kiyem godzi;
A też, słyszę, kiedy śpi, dzyerży w nodze kamień,
Aby, gdy mu upadnie, obudził się za nim.
Patrz, iako y bestiyka ma pyeczą o sobie,
A nasz Żóraw' opiły przez sen się w łeb skrobye.
Anoby trzeba, wierz mi, każdemu czuyności,
Widząc tak omylny świat w dziwney omylności.

Podobnież łabędź, który przed śmiercią „pyęknie śpiewa", powinien człowiekowi być przykładem, że śmierci obawiać się nie należy; gołąbek, który, gdy mu zniszczą gniazdko, natychmiast zabiera się do budowania nowego, niechaj uczy nas wytrwałości i cierpliwości; drzewo, tracące na jesieni liście, powinno przypominać ludziom, że życie ich nie pewne dnia ani godziny, że „ona śmierć, iako chłop, dybie s tyłu s kosą"; podobnie jak płynąca woda „nigdy się nie wróci",

Takżeć też nasze czasy, też s tą wodą płyną,
A nigdy się nie wrócą, które raz przeminą;

jak słońce pięknie świeci i „rozpędza" chmury, tak człowiek niechaj świeci cnotami, a tłumi w sobie złe nałogi.

Nie brak w tej części „Zwierzyńca" aluzyi do społeczeństwa polskiego. Przeciwko niefortunnym mówcom skierowanym jest epigramat „Paw' na hardego głupyego": podobnie jak paw', acz postać ma wspaniałą, lecz głos „iako u Osła onego marnego", tak też i „naszy Pawi", acz postawy dumnej, mówić nie umieją:

Mówże co z nim, aliści, iako Osieł, krząka,
Nie wie co rzec, więc, nogyeć, [1]) rzkomo się zaiąka.

Epigramat p. t. „Jaskółka na nieustawiczność" zawiera w sobie aluzyą polityczną, a mianowicie aluzyą do niedbalstwa, do spuszczania się Polaków na pokój:

Kiedy chłop siał konopye, Iaskółka wołała:
„Cici-pyci, będą nici," — ptaki przestrzegała,
A gdy ptacy nie dbali, iż iuż chłop miał nici,
Uciekła w dach do niego, nie czekaiąc wici.

---

[1]) ladaco, nicpoń, łotr.

Takżeć nasze Iaskółki: kiedy się zleciemy,
„Cici-pyci, będą nici", też sobye mówiemy.
A potym zasię różno: „a co mnie do tego?"
Rozlecim się do chłopów, — patrzaj każdy swego!

Jak widzimy z powyższych przykładów, nie są te podobieństwa niczém inném, jak porównaniami, skrystalizowanemi w postaci drobnych wierszyków. Pełno mamy takich porównań w „Wizerunku"; i tu np. jeleń jest symbolem niepewnego życia, gdyż zewsząd czyhają nań myśliwi: żywot ludzki, powiada Rej,

Iest prawie iako Ieleń, gdy podniozszy rogi,
Chodzi buyno, a nie wie nędzniczek ubogi,
Iż strzelcy ustawicznie ze wszech stron nań godzą,
A wilcy téż gromadą śladem za nim chodzą. [1])

W „Zwierzyńcu" zaś czytamy:

Przebiye czasem przez sieć Jelonek ubogi,
A lada gdzye w szelinie [2]) uwiąźnie za rogi,
Że go leda źwirzątka po woli drapaią,
A myśliwcy na stronie, którzy nań czyhaią.

W obudwu dziełach sokół wyobraża tych, „co swobodę zaprzedaią": w „Wizerunku":

Sokół dla kęsa mięsa, wysoko buiaiąc,
Zwabi się, niebożątko, na wszem wolność maiąc;
Rad, iż mu w bęben tłuką, mnima, aby wygrał,
Ano ociec nieboszczyk namniey o tho nie dbał. [3])

w „Zwierzyńcu":

Wey! iako ten nędzniczek siedzi zasklepiony,
Mogąc sobye powoli buiać na wsze strony,
Iż mu w bęben kołacą, a kęs mięsa dadzą,
A na Wiosnę, podskubszy, przedsię w kociec wsadzą.

Myszy są symbolem „niepewnego dobrego mienia": w „Wizerunku":

Sąchmy tu, iako myszy, co w iamę wleczemy
Na zyemi każde zyarnko, gdzyekolwiek znaydzyemy,
A nad nami pustółki rozliczne lataią.
. . . .
A nędzne nasze zyarnka podgryzye kto iny,
Gdy zaleci Pustółka z nami do szeliny.

---

1) VI, 479 nast. — 2) Bór, gęstwina. — 3) VI, 551 nast.

A szpetna to Pustółka, co za nami lata,
A prawie iako s tyłu z nas każdego chwata, [1])

w „Zwierzyńcu“:

Myszka włóczy orzeszki przez lato do iamki,
Pustułka nad nią wzgórę stroi wywijanki.
. . . .
Także my też orzeszki do iamki włóczymy,
A pustułki nad nami, co o nich nie wiemy.

Na tém miejscu znowu zaznaczyć trzeba, że i ten rodzaj literatury—podobieństwa czyli parabole—można wykazać w piśmiennictwie, współczesném Rejowi; pod tym względem piśmiennictwo humanistyczne jest tylko dalszym ciągiem literatury średniowiecznéj. Ponieważ Chrystus głosił często swoję naukę pod postacią przypowieści, pełno ich téż jest w pismach ojców kościoła. Lecz inne są parabole Chrystusa, inne ojców kościoła: ci uciekali się zwykle do parabol, w których różne własności zwierząt, drzew i kamieni mają wyobrażać odpowiednie przymioty nietylko ludzi, ale i Boga; najważniejszém źródłem ich parabol był ów słynny „Fizyolog“, który powstał w Aleksandryi, a późniéj—przetłomaczony na języki krajowe — rozpowszechnił się w całéj Europie tak dalece, że stał się powszechną własnością całéj literatury średniowiecznéj [2]). W parabolach humanistów tu i owdzie znajdziemy jeszcze wpływ „Fizyologa“, ale główném źródłem były dla nich pisma greckich i rzymskich autorów, a zwłaszcza Plutarcha i filozofa Seneki. Zapatrując się na literaturę klasyczną, jako na kodeks moralności, wypisywano z niéj różne sentencye moralne, klasyfikowano je co do treści i wydawano osobno. Takie zbiory sentencyi były wielkiém ułatwieniem dla tych, co chcieli popisać się ze swoją erudycyą i znajomością literatury Grecyi i Rzymu, zamiast bowiem szperać po dziełach różnych autorów, korzystali z gotowego, zebranego w jednę systematyczną całość materyału i przeładowywali swe pisma lub mowy cytatami. Tak samo było i w Polsce, gdyż i tu znajdziemy podobnego rodzaju wypisy, a mianowicie „Apoftegmaty" Kamersa Waryna (Guarino), które w przeciągu lat dwudziestu niespełna trzykrotnie wydano w Krakowie, [3]) tudzież „Sentencye" Maiora [4]). Otóż zupełnie tak

---

[1]) X, 939 nast.

[2]) Porów. Lauchert. Geschichte des Physiologus. Strassburg, 1889.

[3]) Varini Camertis apophtegmata, ad bene beateque vivendum mire conducentia. Cracoviae, 1522, 1534, 1538.

[4]) Georgii Maioris sententiae veterum poëtarum. Cracoviae, 1536.

samo miała się rzecz z parabolami, że wspomnimy tu tylko „Księgę parabol czyli podobieństw“ Erazma z Roterdamu, [1]) napisaną na podstawie dzieł Arystotelesa, Teofrasta, Pliniusza, Seneki i Plutarcha. Dziełko to było na składzie w księgarniach krakowskich [2]) i ono to, być może, zachęciło naszego Reja do umieszczenia kilkunastu parabol na kartach „Zwierzyńca”. Wprawdzie tych samych parabol, które znajdują się w „Zwierzyńcu“, nie posiada dzieło Erazma; lecz z drugiéj strony Réj, podobnie jak Erazm, uwzględnia w swych podobieństwach, nietylko ptaki i zwierzęta (jak to miało miejsce w parabolach średniowiecznych) [3]), lecz także rośliny, słońce, wodę. Powtóre układ parabol Erazma, pomimo formy prozaicznéj, wielce przypomina podobieństwa Reja: część pierwsza mieści w sobie opis pewnéj własności zwierzęcia, rośliny lub przedmiotu, część druga—zastosowanie téj własności do przymiotów lub wad ludzi [4]). W każdym razie można twierdzić napewno, że parabole Reja nie mają nic a nic wspólnego z literaturą średniowieczną, ponieważ nie mają bynajmniéj charakteru, że się tak wyrazimy, teologicznego, mistycznego, abstrakcyjnego: są one wzięte wprost z życia codziennego i do życia codziennego zastosowane [5]). Wobec tego należy mniemać, że, jeżeli nie wzorem, to przynajmniéj podnietą do układania parabol była dla Reja literatura współczesna [6]).

---

[1]) Er. Roterdamii Parabolarum sive Similium liber etc. 1516.

[2]) A. Benis. Materyały do historyi drukarstwa etc, I, № 44 i 1183.

[3]) Tak np. w „Fizyologu“ mamy z roślin tylko drzewo Peridexion i figgę (Lauchert, str. 29 i 37).

[4]) Oto kilka przykładów: 1) Hirundo aestate advolat, instante hyeme devolat: ita infidus amicus rebus laetis praesto est, commutata fortuna deserit amicum. 2) Hyena vocem humanam imitatur et nomen alicuius ediscit, quem evocatum lacerat: ita quidam obsequio blandiuntur, donec in perniciem trahant. 3) Uti sol, si immineat hominis vertici, aut prorsus tollit umbram, aut minimam reddit: sic ingens gloria extinguit invidiam.

[5]) Przytaczamy tu dla przykładu jedną parabolę z „Fizyologa“: Pantera, nasyciwszy się, śpi przez trzy dni, a po przebudzeniu wydaje głos; jednocześnie z jéj paszczęki nad wszelki wyraz przyjemny czuć zapach; wszystkie zwierzęta, zwabione jéj głosem i zapachem, przychodzą i gromadzą się naokoło niéj, i tylko smok boi się i kryje: tak właśnie Chrystus zmartwychwstał dnia trzeciego i zgromadził około Siebie dalekich i blizkich, t. j.: Żydów i Pogan; smok zaś—to czart, którego Chrystus pokonał.

[6]) Własności zwierząt w parabolach Reja nie potrzebują wyjaśnienia, gdyż są rzeczywiste, nie zaś, jak w „Fizyologu“ fikcyjne. Zresztą, co do żórawia ob. Plin. Hist. Nat. X, 23 (30): excubias habent (grues) nocturnis temporibus, lapillum pede sustinentes, qui, laxatus somno et decidens, indiligentiam coarguat. O łabędziu ob. tamże X, 23 (32): olorum morte narratur flebilis cantus.

XIV.

W dalszym ciągu zawiera w sobie rozdział czwarty „Zwierzyńca“ epigramaty na „siedm cnót przednieyszych Krześciańskich“, do których Rej zalicza przedewszystkiém trzy cnoty teologiczne: wiarę, nadzieję i „łaskę abo życzliwość“, t. j. miłość (*charitas*); następnie cztery cnoty kardynalne, odnoszące się do obyczajów, a mianowicie: sprawiedliwość, „miarę" czyli wstrzemięźliwość, roztropność i „stałość" czyli męstwo. Do tych siedmiu „cnót przedniejszych" dodaje autor jeszcze cierpliwość, powściągliwość języka i „prawdę“, t. j. prawdomówność. Odrazu poznajemy tu w Reju znawcę pisma świętego, przypominamy sobie także, iż w swoim czasie przekładał psalmy na język ojczysty. Tak np. wierszyk o miłości jest rzeczywiście parafrazą słów ś. Pawla [1]), na co zresztą sam autor wskazuje:

Paweł święty tak pisze: byś przewracał góry
 Wiarą y przez morze brnął y tłukł twarde mury,
Jeśli z bliźnim nie będzye wierney życzliwości,
 Wszytko to brzęk Miedzyany w Pańskiey wielmożności.

Epigramat znów na nadzieję jest parafrazą słów psalmu o Boskiej Opatrzności („Kto się w opiekę odda Panu swemu"):

Y cóż iest weselszego, gdy dobrey nadzyeie
 Kto w swych smutkach używa! — ten się zawżdy śmieie;
Nie straszna mu ani śmierć, ni srogi strach żadny,
 Nie upłoszy o niczym ten marny świat zdradny,
Bo się zawżdy od Pana obrony nadzyewa,
 A bespyecznie w radości „Panie, wspomóż!“ śpyewa;
Bo mu to Pan zaślubił, że Lwi ani smocy
 Nie mogą mu straszni być ni we dnie ni w nocy.

Z epigramatu na sprawiedliwość widać, że Rej pozostaje zawsze wiernym swoim protestanckim zasadom, a widać to mianowicie ze słów, w których wraz z Izajaszem powiada, że Bóg nie wymaga od człowieka żadnych „wymysłów", jako to postów i kadzidła: do zbawienia potrzeba jedynie tylko sprawiedliwości, t. j. postępowania według świętych przykazań Jego. Myśli, wypowiedziane w tych wszystkich epigramatach, autor ujmuje w jedną całość w wierszyku pod tytułem „Cnota", w którym wyraża swoję ulubio-

[1]) Kor. 1. 13. 1. Gdybym miłości nie miał, stałbym się, jako miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący. I choć... miałbym wszytką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczem nie jest.

ną maksymę, że życie ludzkie o tyle tylko ma wartość, o ile cnota je zdobi: życie bez cnoty, to piękny ogród, otoczony zgniłym płotem, pod którym „Świnie riyą, a Kozy go głodzą". Zakończenie zaś téj części „Zwierzyńca" stanowi epigramat na sławę:

Cóż po wszytkim na świecie, ieśliże zła sława?
Ta cię ma wszem okazać, iaka twoia sprawa.
Bowiem ta za żywota ieszcze obumiera,
Lecz po śmierci toż więc swe Ogary wywiera. [1])
A iakoś sieci miotał, takci skolić [2]) będą,
Ale, wierz mi, twe sprawy, żeć wszytki wygędą. [3])
Gdyż doczesne nabycie społu z ciałem ginie,
Sama sława poczciwa — ta na wieki słynie.

Podobnego rodzaju epigramaty posiada również poezya łacińska epoki odrodzenia i reformacyi. Aby się o tém przekonać, dosyć jest przejrzéć wspomniane już wypisy z utworów muzy humanistycznéj. Znajdzie się tam niejeden epigramat na temat „Nadzieja to drugie życie", „Najpewniejszą rzeczą jest nadzieja w Bogu", „Wiara lepsza od złota", „Cnota silną jest i po śmierci" i t. p.

Od rzeczy idealnych, od cnót, schodzi Rej znowu na ziemię i wylicza „doczesne rozkoszy ziemskie", z których każdéj osobny poświęca wierszyk. Oto pierwsza rozkosz:

Marcialis był Mędrzec tu na świecie dawny,
Ten wyliczał roskoszy, iakich człowiek sławny
Tu ma ze czcią używać, a swego żywota
Użyć z nadobną sławą, zawżdy bez kłopotu.
Za napirwszą roskosz kładł, gdy s szczęścia samego,
Bez trudnego nabycia, iż kto dobra swego
Pobożnie a z rozmysłem używa na świecie
Ten roskoszą szafuie y zimie y lecie.

Ma tu autor na myśli przestawanie na swojém, zadawalnianie się tém „szczęściem", jakiego Bóg człowiekowi udzielił, a przypisuje tę myśl Marcyalisowi. Marcyalis powiada wprawdzie: „Nigdy nie prosiłem bogów o skarby, poprzestając na skromném utrzymaniu „i ciesząc się z tego, co posiadam" [4]); ale Rej mówi, że Marcyalis

---

[1]) Wywierać ogary—wypuszczać psy, aby, szczekając, wypłaszały zwierzynę; przenośnie — rozszczekać, roznosić po świecie: sprawy człowieka dopiero po śmierci rozniosą się po świecie.

[2]) Skolić — skomléć; także skolić będą — tak też mówić o tobie będą.

[3]) Wygrają, wyśpiewają, roztrąbią po świecie.

[4]) Nunquam divitias deos rogavi,
Contentus modicis meoque laetus (Epigr. 4, 77).

wylicza inne jeszcze rozkosze, tego zaś nie znajdziemy w jego epigramatach. Popełnił tu autor ten sam błąd, co w „Wizerunku“, w którym każe Horacemu wyliczać różne przyjemności życia:

A tak zasz to nie roskosz, swóy stan uważywszy,
A ty marne przypadki świeckie obaczywszy,
Przestać na tym, co Bóg dał, a zawżdy w mierności
Używać swoich czasów w roskoszney wolności?
Nadobnie Horacius roskosz świata tego
Wypisał, a napirwey zaczął ią od tego,
Gdy kto równego dobra, szczęściem przypadłego,
Używa s poczciwością wedle stanu swego,
Radą a dtrudnościami mało się zabawia,
Na zwadę niepotrzebnie nigdy nie załawia,
Żywność, ubiór poczciwy wedle potrzeby ma,
A nikomu dudkuiąc w oczy nie zabiega;
A gdy k temu uroda, a z rozumem zdrowie,
Są li więtsze roskosze? niechay każdy powie! [1])

Mamy tu kilka „rozkoszy“: pomierne używanie swego mienia, zgodę („na zwadę nie załawia“), dostatek żywności i ubioru, wreszcie—zdrowy umysł w zdrowém ciele. Miał więc może Rej i w „Zwierzyńcu“ nie Marcyalisa, lecz Horacego, (który, choć nie wylicza po kolei różnych przyjemności życia, chętnie jednak prawi o umiarkowaném i skromném życiu), gdyż w „Zwierzyńcu“ wymienia, między innemi, te same warunki do szczęścia co w „Wizerunku“. Drugą rozkoszą jest właśnie zdrowy umysł w zdrowém ciele („kiedy zdrowe ciało w roztropnych obyczaiach będzye buiało“); trzecią—zgodne pożycie z przyjaciółmi:

Trzecia roskosz: w rosterkach kiedy zacny człowiek
Nie bywa, lecz spokoiem wiedzye poczciwy wiek,
Spraw trudnych, ani prawa ni s kim nie używa, [2])
Ten zawżdy, iako pączek w maśle, sobie pływa.

Ósmą rozkoszą nazywa autor „szatę piękną, koszulę, pościel, konia ubranego“, a zatém wogóle ubiór. Pozostaje jeszcze dostatnia żywność, a i o téj mówi Rej, gdy ogień, „co go mędrcy przyiacielem kładą przyrodzyeniu“ nazywa siédmą rozkoszą; czemu? bo „dobry w domu y w łaźni, w browarze, w komnacie, ale nalepszy w kuchni“, gdyż

. . . . . zmyy się, iako chcesz, a gdy nic nie warzą,
Tedy się rychley głodni y w cieple poswarzą.

---

[1]) V, 627 nast.

[2]) Z nikim nie procesuje się.

Inne rozkosze, wyliczone w „Zwierzyńcu“ także z łatwością odszukać można w „Wizerunku“. Czwarta rozkosz polega na tém, aby „się pan, maiąc goście, za ucho nie skrobał“, lecz podejmował ich tém, „co Pan Bóg dał“: w „Wizerunku“ [1]) wyśmiewa Rej tych właśnie, którzy, mając gości, skrobią się za ucho, — chociaż „pieniędzy iuż nie dostaie“, jednak wydają wspaniałe bankiety. Jako piątą „krotofilę“, podaje autor przestawanie z „równymi sobie“ wśród „rozmów i biesiad uczciwych“: w „Wizerunku“ wychwala kilkakrotnie „pomierne i poczciwe“ biesiady w gronie przyjaciół, a w rozdziale szóstym powiada:

. . . . . zawżdy tak bywa, iż z równym równemu
Przypada towarzystwo wdzyęcznieysze każdemu. [2])

Wreszcie (rozkosz szósta) „kładą między rozkoszami“ zgodne pożycie rodzinne w chędogim domku z „poczciwą żonką“ i „z onymi małemi błazenkami, co skaczą, by Koźlęta, a zawżdy kugluią“: w „Wizerunku“ zachwala Rej małżeństwo z „poczciwą żonką“ [3]) opisuje, „w dziathkach iaka rozkosz“, gdy owi błazenkowie przed oczyma chodzą“ [4]).

Ale te wszystkie rozkosze nie zapewniają jeszcze człowiekowi szczęścia, które nie polega na przyjemnościach „świeckich“, t. j. zmysłowych, do istotnego szczęścia

. . . . trzeba iney sprawy:
Trzeba cnoty: miłości, wiary a stałości,
Poczciwy żywot wiodąc na wszem w wstydliwości,
Bo choćbyś z roskoszami ciału świat zakupił.
Nic ci po tym, byś duszę z iey roskoszy złupił.

Tę samę myśl posiada „Wizerunek:“ [5])

. . . to ieszcze zacnieysze, w czym się dusza kocha,
Gdyż tu każda rzecz świecka odmienna a płocha.
. . . .
Jeśliże na tym dosyć, iż ciało ubrane,
A na miłey duszycy wszytko odrapane:
Wszakeś się iuż nasłuchał o takim nałogu,
Kto leży bez rozumu, by świnia w barłogu,
Cnotę, miarę, wolną myśl prze roskosz utraci.
O! wierz mi, iż to drogo każdy taki płaci.

---

[1]) II, 165 nast. — [2]) VI, 39—40. — [3]) V. 686. — [4]) V, 801. — [5]) V, 519 nast.

XV.

Czy jednak te ideały Reja odpowiadały rzeczywistości? czy dążyli do ich urzeczywistnienia współcześni mu Polacy? Widocznie, że nie —, bo w następnéj części czwartego rozdziału, zatytułowanéj „Gospodarstwo“ autor wystawia życie szlachty polskiéj w niekoniecznie korzystném świetle. Całą tę część można nazwać satyrą, wymierzoną przeciwko właścicielom ziemskim: w satyrycznych, pełnych prawdziwego humoru i lekkiéj ironii epigramatach na dom, kuchnię, łaźnię, stajnię; na myśliwstwo; na panią domu, czeladź, włodarza, wójta,—opisuje Rej smutny stan, w jakim znajdują się gospodarstwa wiejskie, wszystko to zaś dzięki lenistwu, dzięki opieszałości w spełnianiu obowiązków. A jaka praca, taka płaca: w domu straszliwy nieład, w kieszeni pustki, konie i psy chude, w browarze brakuje słodu, zboże tegoroczne już dawno sprzedane,—trzeba sprzedawać to, którego się jeszcze nie zebrało, boć bez pieniędzy żyć trudno, przecie, gdy zawitają w gościnę sąsiedzi, trzeba przyjąć ich wystawnie, choćby nawet „szkapy i pacholce dwa dni nie iedli“. Słowem nie do pozazdroszczenia jest życie pana domu; a tu jeszcze miła małżonka suszy mu głowę:

„Kupcie, panie, tę bramkę, bo żydówka mówi,
Iż, kto ią za to kupi, iście się obłowi,
Bo samych pereł pewnie nie sprawiłby za to;
Darmo przydzye robota y apszlag y złoto.“

Cóż pan na to? pieniędzy wprawdzie nie ma, ale jakże tu żonce odmówić? więc

Ciągnie się, nędzny Osieł, by szubki przystawić;
Pani też iuż pomyśla, w co się przy tym zawić,
Tak że sobie po trosze społu przykradaią,
Aż w kalecie y w skrzynce pustki więc miewaią. [1])

Ale pustki w pańskiéj kalecie mało obchodzą czeladź, która przecie téż musi żyć: idzie więc do pana i prosi o kwartalne, a pan na to:

„Trwaliście dłużey, dzyeci, iuż dotrwaycie mało,
Ażby się na tych targach wżdy co uprzedało.“

Poprzednie kwartalne już dawno czeladź przepiła, i nic w tém dziwnego, zawsze bowiem tak na świecie bywa, że „iaki pan, taki kram“. Pan zaś nie myśli o zmianie trybu życia, nie kłopocze się

---

[1]) Porów. „Krótka rozprawa“, 1642 nast.

o jutro; przecie do jutra jeszcze daleko, a dziś, choć już czas rozpocząć żniwa, można wybrać się na polowanie; każe więc zwierać psy, trąbić na czeladź i jazda w pole, aby... tratować cudze żyto! Zupełnie to samo czytamy w „Krótkiéj Rozprawie“:

„Trąb co rychlej, a psy zwieraj,
Zwołaj czeladź, konie siodłaj,
Bo teraz dobra pogoda,
Iście jej zamieszkać szkoda.“
Więc gniją na polu kopy,
A pan w lesie wrzeszczy z chłopy,
Ze psy się po polu goni,
Żyto, owies, wszytko łomi. [1])

Wprawdzie może się pan wyręczyć — ma pomocników i zastępców w gospodarstwie, ma urzędnika (starostę), ma włodarza, ale ci od niego nie lepsi. A wójt? wójt buntuje gromadę przeciwko panu, a potém prawi panu piękne słówka:

„Bracia miła! zeydźmy się, uczyńmysz gromadę,
Dobrzećby nam o sobie wżdy mieć iaką radę,
Starostę nowotnego mamy y dziwaka,
Y pana nam iuż zbłaźnił wierę nieboraka.“
Potym bieży do pana i wszytko mu powie,
Mówiąc: „panie! iaćbych dał za cię y swe zdrowie!...“

Satyra Reja idzie prawie zawsze ręka w ręke z moralizacyą, do któréj chwyta autor sposobność, gdzie tylko może. Tak np. w epigramacie na łaźnię powiada, że czystość ciała nic człowiekowi nie pomoże, jeżeli dusza zbrukana: kąpią się przecie świnie i wrony, „a wżdy się im nie zmieni zwyczay przyrodzony“. Najwięcéj jednak sposobności do moralizacyi nastręczają mu różne narzędzia gospodarskie, jak np. pług:

Tu patrz, iaką sowitą lichwę s tego mamy:
Garścią kęs rozrzuciwszy, korcem odbieramy.
A to znak Bożey łaski a cnego żywota,
Który żyw swą robotą wiernie bez kłopota.
Bowiem się to sowito każdemu nagradza,
Bo ów, co na wykręty, zawżdy się sam zdradza,
Gdyż za Pańskim dekretem inak być nie może:
Niesprawiedliwym nigdy nie wskurać, nieboże.

Wóz póty cały, póki koła „nadobnie się zgadzają“, ale niech jedno tylko wyskoczy z kolei, połamie się: tak samo ludzie, — póki

---

[1]) 1542 nast.

zgodni, dobrze im się dzieje, lecz gdy niezgoda pomiędzy nich się wkradnie, „iuż tam różne rozumy, y łby się naieżą“. Rydel „przewraca grządeczki“, na których potém piękne rosną kwiaty:

Takżeć téż, iako rydlem ruszay przyrodzenia,
A dodaj mu ze cnoty wdzyęcznego nasienia.

Motyka oczyszcza rolę z chwastów, na któréj potém bujnie pszenica rośnie: tak człowiek powinien „precz wykopać“ wszelki „pień w przyrodzeniu“, a nasiać cnoty. Siekiera zahartowana stalą, ścina pnie i sęki: podobnież, „gdy cnota rozum zahartuie, natrudnieyszy pień snadnie rozłupie“. Nareszcie—garnek:

Patrz: gdy w ten garniec nazbyt często dolewaią,
Y potrawy się psuią y nie rychło wraią;
Ale kiedy się on sam powoli wysmaży,
Tedy smaczno y zdrowo, cokolwiek w nim warzy:
Także téż, do żołądka kiedy często leiesz,
Wierz mi, częściey zakwokasz, niźli się rośmieiesz,
Bo, choć śmieszno z wieczora, rano głowa boli,
Aleś sam był kuchmistrzem,—cirpże poniewoli.

Widzimy z powyższych przykładów, że epigramaty te są téż podobieństwami, jakie już wyżéj napotkaliśmy w „Zwierzyńcu“, tylko że motywy ich z innéj pochodzą sfery: tamte wziął autor przeważnie z życia zwierzęcego, te — z życia codziennego gospodarza. W „Parabolach“ Erazma z Roterdamu można znaleźć kilka podobieństw tego samego rodzaju. [1])

XVI.

Po „Gospodarstwie“ następuje w „Zwierzyńcu“ kilka epigramatów, objętych jednym tytułem „Na plugawego chłopa przypadki“, t. j. na „przypadki“ człowieka, nie dbającego o porządek i oddanego jedynie uciechom zmysłowym. Niektóre szczegóły przypominają jeden ustęp w „Wizerunku“, w którym Rej opisuje żarłoka i pijaka, ale pod względem realizmu, plastyczności, która często w niesmak przechodzi, posunął się tu autor jeszcze znacznie daléj: z drobiazgowością, któréj nie powstydziłby się zapewne żaden malarz szkoły flamandzkiéj, opisuje wstrętny stan, w jakim znajdują się włosy, nogi, broda, paznogcie, ubranie, koszula, pościel „chłopa plu-

[1]) Np. Quemadmodum agricola sylvestribus securim aut ignem admovet ac funditus extirpat: sic philosophus ex animo iuvenum libidinem, avaritiam, invidiam penitus revellet.

gawego". Wszystko to brudne, niechlujne, zwłaszcza nogi, na których możnaby „rzepy nasiać, podzyaławszy grzędy"; włosy najeżone, jako u świni, broda pełna robactwa, tak że śmiało można w nią „ogary zapuścić" dla wypłoszenia tėj zwierzyny; „paznokty" — długie i ostre, „iako rogi", – „obrzeż ie ku dyabłu", woła autor, a „ieśli noża nie masz, tedy ugryź zębami!" Po tak dobitnėj charakterystyce „przypadków chłopa plugawego", zwraca się do niego Rej z następującą apostrofą:

Patrzayże tu, móy bracie, ieśliże to żywot,
    Mógłby to właśnie nazwać dobrowolny kłopot.
Bo możeć wżdy, kiedy chce, a chociay ubogo,
    Mieć, co Bóg dał, poczciwie a przedsię chędogo.
Lecz kogo dobrowolnie taka nędza głodze,
    A nie wierzę, by wiedział iuż ten y o bodze.
Bo ten nie dba, by Świnia, by iedno brzuch natkał.
    . . . .

Zwraca się teraz autor do człowieka „chędogiego", upominając go przedewszystkiém, aby nie unosił się pychą, aby nie „buyał wysoko": powinien on zawsze i wszędzie mieć baczenie na to, że życie bez cnoty nic nie warto, że najpiękniejszym ubiorem człowieka są jego „poczciwe sprawy". A więc, powiada, gdy idziesz do zwierciadła, żeby zobaczyć, czyś czysty, tedy bacz więcėj, by cnota twa była bez zmazy; gdy się perfumujesz, niezapominaj, że perfum więcėj cnocie niż ciału potrzeba; kiedy obłóczysz szatę, niech ci przed oczami stanie paw', który piękne ma pierze, lecz szpetne nogi; w kuchni pomyśl sobie, co się stało owemu bogaczowi, który, za życia opływając w dostatki, nie miał miłosierdzia nad biednymi; ile razy zajrzysz do skarbca, wspomnij, jak marną rzeczą jest pieniądz; gdyś jest w piwnicy, zastanów się jak zgubne skutki pociąga za sobą opilstwo. Te i tym podobne nauki moralne zamyka Rej w następującém „Upominaniu":

Owa, cóżkolwiek stroisz, ubogi nieboże,
    Pomni, żeś ten nędzny świat krótko pomóc może:
Bo się tak na nim wozisz, by w czełnie po wodzye,
    A gdyś nabespiecznieyszy, tu myśl o przygodzye.
Uważayże, iać radzę, tu każdą godzinkę,
    Bo ani się obaczysz, kiedy półkniesz ślinkę,
Gdyż tu przydzye na świecie wszystkiego ostradać,,
    A tam nie wiesz po śmierci, kto ma tobą władać.

Nie brak i w „Wizerunku" podobnego rodzaju apostrof, a i motywy niektóre są w obu dziełach te same; tak np. epigramat na zwierciadło brzmi, jak następuje:

Gdy patrzysz we źwierciadło, wiem, że upatruiesz,
Iż, gdzye co zbrukanego, tędy poprawuiesz.
Patrzże też w tym zwierciedle na swey cnoty zmazy,
Patrz, ieśliby nie było też tam iakiey skazy.
Boć ieszcze brudney twarzy snadnie pofarbować,
Ale tam wszytko we wzór trzeba uhawtować.
Bowiem cię ta. niż ubiór, ma więcey ozdobić,
A w tę by się nawięcey nam wszytkim sposobić;

w „Wizerunku“ zaś „filozof“ Hipokrates radzi swym uczniom,

Aby każdy często z nich do źwierciadła chodził,
A gdy czarność obaczy na twarzy a zmazy,
Aby też przepatrował y na duszy skazy,
Pomniał, że to szkodliwsze, co wewnątrz przywrzało,
A tego oby pilniey poprawował w sobie
Gdyż to na wirzchu snadnie leda czym oskrobie. [1])

Poezya łacińska XVI wieku posiada nie mało wierszy treści pouczającéj, pokrewnych epigramatom Reja; zwłaszcza poeta i moralista niemiecki Nathanus Chytraeus Palatinus niwę tę uprawiał. W jego „Eoloskopii“ znajdują się pomiędzy innemi wiersze p. t. „Lusterko“, „Zwierciadło, „Pyszniący się odzieżą“, „Perfumy“, [2]) zawierające w sobie zupełnie te same myśli, acz w inne i szersze przyobleczone słowa, które wypowiada Rej w epigramatach na zwierciadło, na szatę i na perfumy.

Po wyżéj przytoczonym „Upominaniu“ znajdują się w „Zwierzyńcu“ jeszcze trzy ośmiowiersze: „Budowanie“, „Broń“ i „Libraria (księgarnia), treść ich jest tak samo dydaktyczna jak poprzedzających; w ostatnim z nich np. ostrzega autor czytelnika, aby nie czytał książek bez wyboru, „bo między Fiyołkami y pokrzywać zyele“ i upomina go temi słowy:

Na tym więcey zależy, byś umiał rozerwać,
Strzegąc sławy poczciwey, przy czymbyś miał zostać.

Rozumie się, że nie odradza tu autor czytania książek wogóle, lecz chce przez to powiedzieć, że jedynie takie książki czytywać należy, które „cnoty uczą a wdzięczney skromności [3]).

XVII.

Tak się przedstawia treść „Zwierzyńca“ Mikołaja Reja z Nagłowic, najoryginalniejszego, a tak sympatycznego autora naszego

[1]) I, 15 nast. [2]) Delitiae poët. Germ. Pars II, pag. 371, 375, 374, 377.
[3]) „Wizerunk“ I, 245.

XVI wieku. Składa się to dzieło, jak widzieliśmy, z mnóstwa najrozmaitszych treścią wierszyków, — z opowieści historycznych, epigramatów na rody polskie i na mężów polskich, epigramatów dydaktycznych i satyrycznych, z emblematow, bajek, parabol. Spytajmy się teraz, czy te wszystkie wierszyki, napozór tak różne, stanowią jedną całość, czy udało się autorowi wznieść z tych małych cegiełek jeden gmach? Do pewnego stopnia—stanowczo tak! Gmach wtedy pewno stoi, gdy na mocnéj zbudowany jest podstawie, pod doświadczonem okiem budowniczego,—z cegieł, dokładnie przystających do siebie, o barwę ich nie chodzi: mogą być one ciemne lub jasne,—to gmachu nie popsuje. Podobnie „Zwierzyniec" Reja opiera się na fundamencie pewnym, z którego wolno już domyślać się, w jakim stylu autor zamierza budować swe dzieło; a ułożywszy podstawę, dobierał ręką umiejętną cegiełek do zbudowania całości. Cóż więc jest podstawą „Zwierzyńca"? myśl, którą autor wypowiedział w przedmowie do czytelnika i w rozmowie Rzeczypospolitéj z Prywatem, myśl, która przyświecała mu na każdéj ścieżce „Zwierzyńca", a tą myślą jest pouczanie czytelników, wskazanie im, czém „parać się" powinni, co naśladować, a czego unikać. Zobaczmy czy dotrzymał Rej swéj obietnicy i w jaki sposób wywiązał się ze swego zadania.

W rozdziale pierwszym opowiada o czynach znakomitych ludzi, pragnąc, aby „ten, co czyść ma" skorzystał z pięknych i zacnych przykładów, aby nie dowierzał zanadto zmiennéj fortunie, aby zawsze i wszędzie dążył do „poczciwéj sławy", aby szanował powierzoną mu tajemnicę, aby w cudze nie wdawał się sprawy, aby był uczciwym, prawdomównym, skromnym, przezornym, cierpliwym, wspaniałomyślnym, jedném słowem — cnotliwym. Ale te wszystkie przymioty powinien posiadać każdy wogóle człowiek, bez względu na narodowość, a Rej przecie chce uczyć przedewszystkiém swych rodaków. To téż nie zapomina o tém: większość anegdot, w rozdziale pierwszym zawartych ma na celu wykazanie tych właśnie cnót i przymiotów, których najwięcéj brakowało Polakom. Pisarze polityczni i satyryczni skarżą się, że w Polsce dla prawa poszanowania nie ma, że sprawiedliwości brak: Rej przytacza kilkanaście opowieści o sprawiedliwych prawodawcach, dla których prawo było rzeczą nietykalną i świętą; że zaś miał on tu na myśli swój własny kraj, świadczą końcowe słowa kilku takich opowieści, w których, jak to wykazaliśmy wyżéj, wyraża poeta swój żal, że w ojczyźnie jego niema ani sprawiedliwości, ani należytego prawodawstwa. Innym ulubionym motywem satyry i literatury politycznéj wieku

złotego są skargi na upadek ducha rycerskiego w szlachcie i zbyt wielkie spuszczanie się na pokój: Rej pomieszcza w „Zwierzyńcu“ Aleksandra Wielkiego, Epaminondasa, Agisa, Cezara i tylu innych, którzy walecznością słynęli, którzy gromili nieprzyjaciela dzięki swéj mądréj lub podstępnéj taktyce, którzy żołnierza nawet w czasie pokoju wytrwale ćwiczyli. W epigramacie na rotmistrza (rozdział III) powiada autor, że wojsko, przechodząc przez wieś, dopuszcza się grabieży: w rozdziale pierwszym Aleksander martwi się, że jego wojsko walczy tylko zdobyczy gwoli, inni znów wodzowie wspaniałomyślnie obchodzą się z wrogiem. Niemal wszyscy nasi poeci i prozaicy epoki Zygmuntów w zgodnym chórze powstają przeciwko prywacie, brakowi patryotyzmu, opieszałości i niedbalstwu w sprawach publicznych: Rej opowiada, że w dawnych czasach dobro publiczne było na pierwszym planie, że chętnie poświęcano dla ojczyzny swe osobiste sprawy; Pedaret gdy pominięto go na wyborach, nie gniewa się na swych rodaków, owszem cieszy się serdecznie, że aż trzystu godniejszych od niego znalazło się w jego ojczyźnie. A cóż dopiéro powiedzieć o Scewoli, o Kurcyuszu, o Fabrycyuszu,—obyż takich synów miała polska ziemia! Nie zapomina Rej i o życiu prywatném szlachty polskiéj, które niemniéj, jak życie publiczne, było przedmiotem satyry XVI stulecia. Karcą nasi satyrycy życie hulaszcze, pijatykę, rozrzutność, zbytki, zamiłowanie do gry i t. p.: Rej przeciwstawia tym wadom odpowiednie przymioty, chwaląc za trzeźwość Romulusa, Agisa za umiarkowanie w jedzeniu i t. d. A wkładając w usta Metellusowi słowa: „Kostkami paraią się łotrzykowie w lesie“, chciał niezawodnie dać nauczkę kosterom polskim.

Raz jeszcze powtarzamy, że dydaktyka, z listów rozdziału pierwszego płynąca, jest nietylko, że się tak wyrazimy, kosmopolityczna, lecz także narodowa, i to głównie narodowa. Z kompendyów anegdotyczno-historycznych wybierał Rej nie te opowieści, które mu przypadkowo wpadły w oczy, lecz głównie takie, które, według jego zdania, mogły przyczynić się do zbudowania człowieka wogóle, a społeczeństwa polskiego w szczególności. I pod tym względem Rej, jako dydaktyk, ma wyższość nad systematycznym Fulgozem, przytaczającym często przykłady, które nikogo zbudować nie mogą, jak np. anegdoty o cudach, wróżbach, przepowiedniach, wyroczniach.

Że Rej z rozmysłem i namysłem dobierał anegdot w pierwszym rozdziale „Zwierzyńca“, że nadto, zawsze dobro swego kraju mając na celu, umiał zastosować anegdoty, z dawnych czasów i dzie-

jów obcych narodów zapożyczone, do warunków współczesnych i krajowych, świadczą, pomiędzy innemi, dwie anegdoty, które na pozór zdają się przeciwnéj rzeczy dowodzić. Są to mianowicie dwa wierszyki o Dyonizyuszu Syrakuzańskim, który okradał świątynie. Miałżeby Rej zachęcać swych rodaków do świętokradztwa? — on, który w tymże „Zwierzyńcu" opowiada w anegdocie p. t. „Julian Cesarz apostota", że Bóg surowo karze świętokradzców? Pocóż więc wspomina o „onym okrutniku"? Zobaczmy, czy w tymże rozdziale nie znajdziemy pewnéj wskazówki do rozwiązania tego pytania. O Focyonie opowiada autor, co następuje;

Ten gdy z bitwy przyiechał, wyszli księża iego,
Aby dał do kościołów co s skarbu swoiego.
Ten ukazał Rycerstwo: „to moie ofiary,
„Tym lepiey dać, niż martwym [1]), ty poczciwe dary.
Bowiem, by tych nie było, tameiby zginęli,
Was by y mnie kłopoty pewnie nie minęły.
A tak iuż tam kadzidłem bogi odprawiajcie,
A macie li pieniądze, radszey ie tym daycie."

Z téj historyjki już można domyślać się poniekąd, jaki jest sens moralny anegdot o Dyonizyuszu: autor nie poczytuje mu bynajmniéj za rzecz, nagany godną, że przywłaszczył sobie z „obrazu" Jowisza złoty płaszcz, lub że „z drugiego kościoła" wziął srebro i złoto, ponieważ, zdaniem Reja, skarby w kościele są zbytkiem,—lepiéj obrócić je na rzeczy, ku pomyślności państwa zamierzające, jak np. na utrzymanie rycerstwa. Ten domysł, sprawdzi się w zupełności po przeczytaniu epigramatu z rozdziału trzeciego p. t. „Obrazek każdy, zwłaszcza srebrny":

Nadobneż to obrazki y dosyć kielichów,
Lecz waruymy zapuścić z ordy do nich mnichów,
Którzy żywym obrazom Pańskim nie folguią;
Pewniećby y ty tłukli im tu dutkuią.
Lepyey, gdyby ty martwe żywych ratowały
Y lepszychby odpustów, niż z Rzyma dostały.
Miałci Euszkulapiusz téż ze złota brodę,
A gdy przyszła potrzeba, odmienił urodę [2])

A jeżeli teraz zestawimy te wszystkie wierszyki z epigramatem „Sakra, co do Rzyma wożą", cała sprawa wyjaśnia się: opowiadając o „przypadkach" Dyonizyusza i Focyona, miał autor niewątpliwie na myśli, że skarb rzeczypospolitéj cierpi na przepychu kościołów

---

[1]) Bogom, t. j. posągom bogów.
[2]) Porów. „Krótka rozprawa", 1220 nast.

i na zaspakajaniu potrzeb i wymagań (zdaniem Reja—niesłusznych) kuryi rzymskiéj.

Rozdział drugi „Zwierzyńca“ jest w bardzo ścisłym związku z pierwszym; chciał w nim autor pokazać, że nietylko na obczyźnie, lecz i w Polsce nie brak ludzi, których ogół społeczeństwa polskiego za przykład obrać sobie powinien. A zatém cementem, spajającym rozdział pierwszy z drugim, jest ta sama myśl przewodnia, która świeciła autorowi w rozdziale pierwszym; innemi słowy — obadwa rozdziały mają cel i charakter dydaktyczny. Że zaś dydaktyka rozdziału drugiego jest narodowa, to samo przez się rozumié: przecie Rejowi o nic więcéj nie chodziło, aby jego naród pielęgnował w sercu i czynach te cnoty narodowe, któremi słyną niektórzy „zacni stanowie“.

Aż dotąd więc dotrzymał autor czytelnikowi swéj obietnicy. Następuje teraz rozdział trzeci. Część pierwsza ściśle łączy się z dwoma poprzedniemi rozdziałami: w tych ostatnich wskazał Rej swym współobywatelom, jakimi być powinni, tu wskazuje, jakimi być **nie** powinni. Stąd i ta część jest właściwie dydaktyczna, z tą tylko różnicą, że, kiedy poprzednio obrał sobie Rej, jako środek pouczający, przykłady, tu jest nim satyra, którą, z uwagi, iż chłoszcze życie publiczne, polityczną można nazwać. W części drugiéj pragnął autor okazać, że religia protestancka ma wyższość nad katolicką, gdyż ta ostatnia, według jego przekonania, swemi „wymysłami“ pozbawiła naukę Chrystusową pierwotnéj prostoty i czystości, które przywrócił jéj dopiero Luter; stąd téż powstaje przeciwko owym rzekomym „wymysłom“ i tym, którzy z nich otrząsnąć się niechcą, a więc przeciwko duchowieństwu katolickiemu. Bronią zaś téj dydaktyki, którą nazwiemy reformatorsko-religijną, jest także satyra. Część trzecią wreszcie wypełniają, jak widzieliśmy, epigramaty treści politycznéj, w których autor kładzie nacisk na potrzebę naprawy rzeczypospolitéj, a więc i tu pragnie uczyć swych rodaków. Końcowe zaś epigramaty téj części są również pierwiastkiem dydaktycznym mocno „zafarbowane“.

Rozdział czwarty i ostatni jest nawskroś pouczający i dzięki temu łączy się ściśle z rozdziałami poprzedzającémi. Że emblematy pisał Rej w celu dydaktycznym, to nie ulega wątpliwości; po pierwsze, jak to widzieliśmy, obfitują one w nauki i sentencye moralne, powtóre zaś, jeżeli naprzykład autor powiada, że

Żona zacna, poczciwa tę figurę miała:
Pod nadobnym drzeweczkiem oliwnym siedzyała,
A macica iey s piersi Winna wyrastała,

A swemi gałąskami drzewko obłapiała,
A po onych groneczkach ptaszkowie śpiewali,

o żonie zaś złej mówi:

Niewiastę złą, by Świnię, zawżdy malowano,
Bramkę piękną na czele, trepki iey przydano,
Pierścień ma złoty w nozdrzach, a pod drzewem riyc;
Także żona wszeteczna, co, iako pyes, tyie,
Pod nabożną figurą, iako mnich s trepkami,
Kędy może, tu ryie, by świnia, pod nami,—

to niezawodnie pragnął dowieść czytelnikom, że cnotę zawsze więcej ludzie cenią, niż występek, i że przeto piękniejszym „malują“ ją pędzlem. A i w emblematach nie traci Rej z oczu swego głównego zdania, że nie tylko ludzi wogóle, ale osobliwie Polaków powinien uczyć; opisuje więc, jak „ludzye sobie malowali“ opieszałość („Niedbałość ćwiczenia), którą grzeszyli Polacy, lub zgodę („Spólny ratunek“), której im brakło. Jeżeli aż dwa wierszyki poświęcił opisowi „Figury niedbałości w pokoiu“, kiedy tymczasem innym „figurom“ tylko po jednym ośmiowierszu poświęca, niezawodnie uczynił to nie przypadkowo, lecz rozmyślnie, wiedząc i widząc, że szlachta polska nie myśli w czasie pokoju o wojnie. Co do bajek, to zawierają one w sobie dydaktykę ogólną, lecz zato w podobieństwach jest ona znowu nie tylko kosmopolityczna, ale i narodowa. Tak np. parabola „Zayąc na ubogyego kmiotka“ jest aluzyą do stosunku szlachty do włościan, i to aluzyą, całkiem jasno wypowiedzianą:

Zaiączek, iako kmiotek, iż ma kąsek mięsa,
Więc go goni, kto potka, choć nie krzyw ni kęsa
Także ubogi kmiotek,—drapye go, co żywo:
Day panu czynsz, paniey Gęś, staroście na piwo.
A snadź, by ich nie skubli, więceyby ich mieli,
Bo i ci nam przez zimę ledwe przesiedzyeli,
Y Zaiączków gdyby tak nie często gonili,
Każdyby ich więcey miał, by się rozrodzili.

Epigramaty „Na utratniki“, „Na opilce“ i t. d można zestawić z rozdziału trzeciego częścią pierwszą; stanowią one satyrę społeczną, satyrę na niemoralność życia prywatnego, tak jak tamte są satyrą polityczną. A jak w jednych, tak w drugich, satyra nie jest celem autora, lecz środkiem pouczania. Epigramaty na cnoty, na rozkosze doczesne, na narzędzia gospodarskie i na „przypadki chłopa chędogiego“ nazwać można częścią „Zwierzyńca“ teoretyczną, gdyż w nich streszcza Rej zasady swej etyki. Epigramaty zaś na gospodarstwo i na „przypadki chłopa plugawego“ mają na celu przekonać

czytelnika, że źle dzieje się temu, kto nie słucha przepisów etycznych autora.

Tak więc w każdym rozdziale, w każdéj części „Zwierzyńca“ pierwiastek dydaktyczny stanowi treść istotną; to właśnie upoważnia do zapatrywania się na to dzieło, jako na jednę całość. Że zaś autor, ucząc swój naród, różnemi posługuje się środkami, — to historyą, to zachwalaniem cnót a zohydzaniem występków, to satyrą, to alegoryą, to parabolą, to moralizacyą, — nie psuje to bynajmniéj jedności jego dzieła, ponieważ wszystkie drogi ku jednemu zmierzają celowi. Zwierzyniec, który posiada jeden tylko gatunek zwierząt, w którym rosną jednego tylko rodzaju rośliny, nie wielu do siebie przynęci i szybko sprzykrzy się każdemu; ale do zwierzyńca, w którym oglądać można rozmaite zwierzęta, krajowe i zagraniczne, a który zdobią nadto swojskie i egzotyczne rośliny, każdy zapewne chętnie się uda. Podobnież „Zwierzyniec“ Reja, dzięki rozmaitego rodzaju „przypadkom“ w nim zawartym, przyjemnie i bez znudzenia się czyta.

Dydaktyka i satyra, rozlane na kartach „Zwierzyńca“ spokrewniają go z „Wizerunkiem“. Kiedy jednak w tymże Rej zwraca przeważnie uwagę na stronę moralną człowieka, niekiedy tylko jego stosunków, jako obywatela kraju, dotykając, w „Zwierzyńcu“ obejmuje już cały zakres życia szlachcica polskiego; sprawy publiczne, stosunki towarzyskie i życie domowe w wiejskiéj zagrodzie. Pod tym względem można poniekąd uważać „Zwierzyniec“ w szeregu dzieł Reja, jako ogniwo, łączące „Wizerunek“ ze „Zwierciadłem“. Zresztą istota poglądów moralnych i społecznych Reja jest taż sama w „Wizerunku“ i w „Zwierzyńcu“, jego etyka nie posunęła się ani na jeden krok. Często nawet wyraża autor swe poglądy w tych samych albo téż podobnych słowach; zestawiliśmy dla przykładu kilkanaście takich ustępów, a dałoby się zestawić jeszcze więcéj. Podobnie jak Stanisław Grochowski, posiadał Rej niezwykłą łatwość wierszowania, a idąc zawsze za pierwszém natchnieniem, przyobleka te same pomysły w tę samą szatę. Słowa, w których scharakteryzował p. Bełcikowski sposób pisania Grochowskiego, dadzą się w zupełności zastosować do Reja: „Poeta nie dba o to, że już raz, może niedawno, w innym wierszu tak samo się wysłowił. Ponieważ to wyrażenie właśnie mu teraz potrzebne, bierze je z pamięci gotowe i używa znowu w wierszu, który teraz pisze... Robi on to jednakże zupełnie z dobrą wiarą, nie widzi w tém nic zdrożnego i usprawiedliwia się zapewne przed samym sobą tém, że, jeśli sztukmistrzowi wolno brać co dobrego dla siebie, gdziekolwiek znajdzie, to tém bardziéj wolno

mu pożyczać sobie w ten sposób ze swojéj własności" [1]. Wogóle Rej, jak we wszystkich swych utworach poetycznych, tak i w „Zwierzyńcu" bynajmniéj o piękno formy nie troszczy się; to téż pod względem estetycznym, nie posiadają wierszyki Reja żadnéj wartości; są one rymowaną prozą, i to rymowaną nieudolnie; rymy w rodzaju np. prawda i dyabła, dufał i buntował, obiecał i szeptał, świnio i mimo, szyi i miły, wygrał i migdał, nie chce i jeszcze, świnia i nowina, przybiegł i iey rzekł, nie masz i ukaż i t. p. nie są rzadkością. Nadto Rej, skrępowany ośmiowierszową strofą, a stąd zmuszony rachować się z ilością wyrazów, potrzebnych mu dla wyrażenia swych myśli, bywa niekiedy niejasnym, zwłaszcza zaś w pierwszéj części rozdziału trzeciego, gdzie czytelnik często niejednéj rzeczy domyślać się musi, aby zrozumiéć całkowitą myśl autora. Widocznie, że dla Reja, który dotąd w swych dziełach nie potrzebował się krępować ilością wierszy, który każdą myśl szeroko omawiał, który dał dowody wrodzonéj sobie gadatliwości w „Żywocie Józefa" i w „Wizerunku", niełatwém było zadaniem zamykać pomysły w kilku wierszach. To téż, mimo iż zwykle jest nader skromnego o swych zdolnościach autorskich mniemania, mimo, iż niejednokrotnie prostakiem sam siebie nazywa, poczutuje sobie za chlubę, że pokonał tę trudność, i wątpi, czy ktokolwiek inny zwalczyćby ją potrafił: w apostrofie do czytelnika, umieszczonéj w pierwszém wydaniu „Zwierzyńca" po przypowieściach, które również mają postać ośmiowierszów, powiada:

Ieślibyś téż z niełaski na lewo szacował,
Masz papir, napisz lepiey, ia będę dziękował.
. . . .
Gdyż to iest s przyrodzenia cudze sprawy ganić,
Iakoby rzekł: umiałbych ia to lepiey sprawić,
Dzierżę, iż materią możesz lepszą sprawić,
Ale ią ośmią wirszów trudno masz wyprawić

Jeżeli jednak tam, gdzie chodziło o zwięzłość, Rej nieraz zapewne musiał „w łeb się skrobać", to natomiast nie potrzebował długo myśléć, gdy udało mu się opowiedziéć daną rzecz w mniéj, niż ośmiu wierszach, gdy więc zachodziła potrzeba dosztukowania wierszyka, aby otrzymać koniecznie ośmiowierszową strofę. W takich razach nigdy nie zbywa na pomysłach autorowi, który zresztą niewiele dba o to, czy ów wiersz dodatkowy będzie miał sens, czy nie. Tak np. anegdotę o Wilhelmie Zdobywcy, który, przeprawiwszy się na wy-

---

[1]) Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma. Lwów, 1892; str. 239—240.

spę, spalił okręty, aby pozbawić swe wojsko możności ucieczki, i tym sposobem zdobył wyspę, zamknął Rej w siedmiu wierszach, z których ostatni kończy się wyrazami „posiadł Insułę“; trzeba więc było dosztukować jeszcze wiersz ósmy do rymu z wyrazem „Insułę“, a wiersz ten brzmi:

„Godzien był być Biskupem, by był miał Infułę“. (!)

Istotną wartość ma za to „Zwierzyniec“ pod względem historycznym i społecznym. Co do pierwszego, widzieliśmy, iż nie brak w nim wierszyków, których źródłem jest walka o „naprawę rzeczypospolitéj“, które więc są echem i częścią wielkiego programu, postawionego przez szlachtę; co zaś do drugiego, „Zwierzyniec“ jest wiernym obrazem społeczeństwa szlacheckiego, współczesnego autorowi, obrazem, nie tak dokładnym wprawdzie, jak „Zwierciadło“, lecz w każdym razie zawierającym w sobie główne jego rysy. Nareszcie pod względem literackim, spotykamy w „Zwierzyńcu“ po raz pierwszy w piśmiennictwie polskiém kilka nowych gatunków poezyi, jakoto wierszowane anegdoty historyczne, parabole, emblematy, po części także, epigramaty. Nie stworzył tych gatunków Rej, uprawiano je już oddawna w literaturze obcéj, uprawiali je i nasi humaniści, ale w języku łacińskim. Rej pragnął przyswoić piśmiennictwu polskiemu te owoce, które wydała lub wskrzesiła literatura łacińska epoki odrodzenia i reformacyi, a posługując się językiem ojczystym, hołdował myśli pięknéj i szlachetnéj; jego hasłem były słowa:

A niechay narodowie wżdy postronnie znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają.

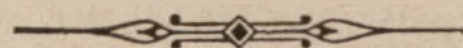
Ignacy Chrzanowski.





ŻYCIE

W NAJPROSTSZYCH SWYCH PRZEJAWACH [1]).



Ścisłość definicyi wszelkiego pojęcia jest miarą, o ile dokładnie zdajemy zeń sobie sprawę. Trudno też ściśle określić pojęcie życia, tego wysoce skomplikowanego przejawu. Myśl ludzka docieka i bada objawy życiowe, ale gdy tylko dalej zechce sięgnąć, gdy się o wyjaśnienie istoty życia pokusi, wnet uderzy o twarde szranki, po za które wybiedz nie jest w stanie. Dlatego też niepodobna niemal dać definicyi życia, ściśléj i dokładnéj definicyi, któraby nie była ani zanadto szeroką, ani nazbyt ciasną i jednostron-

---

[1]) Literatura: W. Preyer, „Elemente d. allgem. Physiologie", 1883; S. Philipp, „Der Ursprung u. Lebenserscheinungen d. thierisch. Organismen., 1883; Altmann, „Die Elementarorganismen u. ihre Beziehungen zu den Zellen", 1890; Bütschli, „Untersuchungen über mikroskopische Schäume u. das Protoplasma", 1892; Sachs, „Vorlesungen über Pflanzenphysiologie", 1882; Frank Schwartz, „Die morphologische u. chem. Zusammensetzung d. Protoplasmas", 1887; Wiesner, „Die Elementarstructur u. Wachstum d. lebenden Substanz", 1892; Claude Bernard, „Leçons sur l. phénomènes de la vie commune aux animaux et aux végétaux; Engelmann, „Beiträge zur Physiologie d. Protoplasmas", 1869; Engelmann, „Ueber Licht-und-Farbenperception niederster Organismen", 1882; M. Verworn, „Psychophysiologische Protisten-Studien", 1889; Löw u. Bokorny, „Die chem. Ursache d. Lebens", 1881; W. Flemming, „Zellsubstanz. Kern und Zelltheilung", 1882 oraz późniejsze prace tegoż autora z r. 1887 i 1891; O. Hertwig, „Zelle u. Gewebe", 1893; Roux, „Ueber d. Bedeutung d. Kerntheilungsfiguren", 1883; Klebs, „Ueber d. Einfluss d. Kernes in d. Zelle", 1887; Verworn, „Die physiolog. Bedeutung d. Zellkerns", 1891; Tenże, „Die Bewegung d. lebendigen Substanz", 1892; H. Spencer, „Die Principien d. Biologie" (przekł. niemiec. Vettera), 1876.

ną. Ze wszystkich określeń życia, podanych przez różnych myślicieli i biologów, najtrafniejszą jest niewątpliwie definicya, sformułowana przez Herberta Spencera w jego „Zasadach biologii.“ Pomijając tedy inne próby w tym kierunku, rozpatrzmy przedewszystkiém zapatrywania myśliciela angielskiego, wielkie mające znaczenie dla kwestyi, którą zamierzamy się zająć w niniejszéj pracy.

Jeśli pragniemy odróżnić przedmiot żywy od martwego, wówczas obserwujemy zwykle, czy zmiany w warunkach otaczających wywołują téż pewne dostrzegalne zmiany w przedmiocie. Zwierzę, które poruszy się lub wyda dźwięk za dotknięciem, roślinę, która w braku wody skurczy i opuści swe liście, lub ustawiona w cieniu, nachyli swe gałęzie ku źródłu światła—uważamy za istoty, obdarzone życiem. Nie chodzi tu jednak o zmiany, na razie dostrzegalne. Życie każdego ustroju jaknajściśléj przystosowane jest do warunków zewnętrznych; ani na chwilę wyobrazić sobie nie można ryby, żyjącéj w powietrzu lub ptaka, zamieszkującego głębie wodne; cała organizacya tak pierwszéj, jak i drugiego przystosowana jest bowiem jaknajdokładniéj do specyalnych warunków bytu, do warunków, wśród których istoty te żyją i obracają się. Najmniejsza przytém zmiana w tych warunkach odbija się w czynnościach życiowych ustroju; różnica w naturze lub ilości pokarmu, zmiana w temperaturze, ciśnieniu atmosferycznéin i t. d., wszystko to odźwierciedla się na objawach życiowych, wywołuje odpowiednie, jakkolwiek często niepochwytne zmiany w ustroju żyjącym. Widzimy tedy, że żywy ustrój jest czułym reaktywem na wszelką zmianę w warunkach otaczających. Czy jednak ta zdolność reagowania jest właściwa tylko przedmiotom, obdarzonym życiem? Bynajmniéj. Wszak i martwe ciała, podobnie jak żyjące, zmieniają się przy pewnych przemianach warunków; kawałek sody rzucony do kwasu siarczanego zaczyna syczéć i zamienia się na całkiem inne ciała, zwilżony sznurek kurczy się przy wysychaniu, kawałek chleba czernieje i zwęgla się, wystawiony na działanie ognia. We wszystkich tych przypadkach, ze zmianą w warunkach zewnętrznych, zmienia się téż przedmiot, na który warunki działają. Czémże się tedy różni reagowanie ciała żyjącego na zmiany w warunkach od reakcyi ostatnio opisanych? Otóż różnica jest bardzo wielka i zasadnicza. A mianowicie, gdy na ustrój żyjący działa bodziec zewnętrzny, występuje wówczas nietylko sama reakcya, lecz ujawnia się téż jednocześnie pewne p r z y s t o s o w a n i e przedmiotu do reagowania w pewien określony sposób, ujawnia się związek pomiędzy zmianami, którym przedmiot żyjący podlega, a innemi, które dążą do zachowania go w równowadze. Albo, wyrażając się inaczéj, ujawnia

się widoczny stosunek pomiędzy zmianami w ciele żyjącém, a warunkami zewnętrznemi, które mają koniecznie lub prawdopodobnie nastąpić, i na które ustrój jest, że tak powiem, przygotowany, zdradzając we wszystkich swych czynnościach dokładne przystosowanie do ewentualnych zmian w warunkach (naturalnie w granicach, w których wogóle życie jest możliwe). Tysiączne przykłady objaśniają nam i zarazem stwierdzają tę prawdę. W roślinie np. istnieją różnego rodzaju urządzenia, dzięki którym pod wpływem zmian w warunkach oświetlenia występują pewne określone przemiany czynnościowe. Organizacya rośliny przystosowana jest do zmian tych, odpowiednie zaś przemiany czynnościowe dążą do zachowania jéj w równowadze, są, że tak powiem, samozachowawcze. Zależnie od tego, z któréj strony przybywa źródło światła, roślina jedne swe części zwraca w jednym, inne w drugim znów kierunku; zależnie od stopnia natężenia światła, ziarenka chlorofilowe w komórkach roślinnych zajmują to takie, to owakie położenie—słowem, wszędzie występują przemiany, dążące do zachowania równowagi życia rośliny jako całości. Albo weźmy przykład z fizyologii życia zwierzęcego. Gdy ciało nasze podlega działaniu wysokiéj temperatury, gruczoły potowe wydzielają wiele płynu, który parując oziębia skórę naszą i przeto sprowadza jéj temperaturę do równowagi. Przy zakażeniu organizmu obcém ciałem występuje proces zapalny, któremu towarzyszy cały szereg przemian, zdążających do utrzymania organizmu w równowadze czynnościowéj. Podobnego rodzaju reakcyi w martwéj przyrodzie nigdzie nie napotykamy.

Ponieważ na ustrój żyjący bezustannie działają rozliczne wpływy zewnętrzne, reakcye więc organizmu, dążące do bezustannego zachowywania równowagi czynnościowéj, odbywają się b e z p r z e r w y. Wszelkie zakłócenie tych harmonijnych i określonych akcyi i reakcyi wywołuje stan patologiczny, a zawieszenie ich — powoduje śmierć i wówczas to ciało podlegać zaczyna, jak wszelka wogóle martwa materya, warunkom i wpływom zewnętrznym, ale bez reakcyi, dążących do zachowania pierwotnéj równowagi całości.

Widzimy tedy, że zmiany lub procesy, uzewnętrzniające się przez ustrój żyjący, pozostają w określonym i ścisłym związku ze zmianami lub procesami, odbywającemi się w zewnętrzném środowisku. Otóż jestto bardzo ważne dla określenia pojęcia życia.

Możemy przeto powiedzieć za Herbertem Spencerem, że życie jestto „określone skojarzenie różnorodnych przemian jednoczesnych i kolejnych, w odpowiednim związku z zewnętrznemi współistniejącemi i kolejnemi zmianami.“ Określenie to można podać w jeszcze szerszéj i pełniejszéj postaci. A mianowicie, jeśli np. przy wzrasta-

jącéj temperaturze ciało nasze coraz silniéj się poci, to znaczy, że istnieje pewien stosunek pomiędzy wysokością temperatury a ilością wypacanéj wody, wewnątrz atoli organizmu zachodzi innego znów rodzaju stosunek, a mianowicie: stosunek pomiędzy wrażeniem cieplném, otrzymywaném przez odpowiednie zakończenia nerwowe skóry, a pobudliwością gruczołów potowych. Lub téż, jeśli dźwięk myśliwskiéj trąbki pobudza jelenia do ucieczki przed myśliwym, to znaczy, że zachodzi stosunek pomiędzy pewnemi, dla zmysłów jelenia dostępnemi zjawiskami, a pewnemi czynami dlań niebezpiecznemi, w organizacyi zaś jelenia zachodzi stosunek pomiędzy odbieraném wrażeniem słuchowém, a czynnością nerwów i mięśni, dzięki którym zwierzę unika niebezpieczeństwa. Widzimy zatém, że we wszystkich przypadkach uważać możemy zjawiska zewnętrzne, jako przedstawiające pewne stosunki, a zarówno téż zjawiska wewnętrzne, jako wykazujące pewne określone stosunki czynnościowe; najszersze zatém i najpełniejsze określenie życia będzie: „bezustanne przystosowywanie się stosunków wewnętrznych do stosunków zewnętrznych“ (Herbert Spencer).

Jakkolwiek powyższa formuła jest bardzo abstrakcyjna i przedstawia rzecz zupełnie dynamicznie, pomijając związek dynamiki życiowéj z substratem, bez którego ani na chwilę wyobrazić sobie nie można zmian i procesów biologicznych, niemniéj przeto ma ona dla nas wielką wagę z tego względu, że jest bardzo ogólną, że stosuje się bez wszelkich ograniczeń do wszystkich przejawów życiowych, i to tak do skomplikowanego życia ustrojów zwierzęcych, jak i do bardziéj uproszczonego życia roślin, oraz do najpierwotniejszych objawów życiowych, które dostrzegamy w najprostszym substracie życia, a mianowicie w protoplazmie komórki.

Zagadka życia, ta odwieczna tajemnica, o któréj poznanie duch ludzki napróżno przez tyle wieków się kusił i która co do istoty swojéj na zawsze, być może, pozostanie dla nas niewyjaśnioną, przedstawia się nam w coraz to odmiennéj postaci, w miarę postępu biologii. Powtarza się tu to samo, co ze wszystkiemi większemi zagadnieniami przyrody. Liczne niewiadome w danéj dziedzinie redukujemy do coraz mniejszéj ich ilości, zjawiska, pozornie niezależne, sprowadzamy do jednéj ogólnéj przyczyny, a pytania nieokreślone i mniéj ścisłe zastępujemy przez coraz to ściśléj i dokładniéj formułowane. Postęp wiedzy polega nietylko na wyświetlaniu zjawisk, ale w równéj mie-

rze na umiejętném i ścisłém stawianiu pytań przyrodzie, bo to ostatnie jest głównym i nieodzownym warunkiem pierwszego.

Dziś więc biologia stanęła wobec zagadki życia na tym punkcie, iż znalazła wspólną miarę dla różnych grup objawów życiowych, miarę, którą je mierzy i ocenia. Pozwala nam to traktować różne zjawiska życiowe jako komplikacye pewnych objawów elementarnych. Badanie tych komplikacyi jest dla nas dostępne, objawy zaś elementarne, jeśli nie są znane co do istoty swéj, to w każdym razie—co do postaci, pod jakiemi się uzewnętrzniają, a tym sposobem niemało postąpiliśmy dziś naprzód w badaniu zagadnień życia. Biologia dzisiejsza wykazała, że najbardziéj skomplikowane objawy życiowe organizmów są tylko spotęgowanemi i skojarzonemi przejawami życia, występującemi w najprostszéj postaci w komórce organicznéj, w tym elementarnym składniku ciała ustrojów, że wszelkie najbardziéj złożone procesy życiowe różnią się od tych najprostszych, elementarnych przejawów życia tylko pod względem ilościowym, nie zaś jakościowym. Tym sposobem nauka sprowadza dziś zagadkę życia do elementarnych objawów biologicznych, które coraz dokładniéj i wszechstronniéj poznaje. W ciągu pracy niniejszéj postaramy się zapoznać czytelnika z niektóremi ciekawszemi dociekaniami w tym kierunku.

Od czasu, gdy Teodor Schwann w r. 1839, opiérając się na badaniach kilku swoich poprzedników, stwierdził, że komórka jest elementarną częścią składową ustroju zwierzęcego i od czasu, jak z udoskonaleniem środków optycznych i wykryciem rozmaitych nowych metod badania, nauka o mikroskopowéj budowie ustrojów z nadzwyczajną szybkością poczęła się rozwijać — ogólne poglądy biologiczne kształtować się zaczęły w zupełnie odmienny sposób, niż dawniéj. Dziś szukamy rozwiązania najogólniejszych zagadnień życia — w biologii morfologicznych składników ciała roślinnego i zwierzęcego, w biologii komórek.

Zanim przystąpimy do rozpatrywania niektórych ogólnych przejawów życia w tych elementarnych składnikach, musimy naprzód kilka słów poświęcić ich budowie, opierając się na nowszych badaniach.

Najniższe organizmy przedstawiają pojedyńcze, swobodnie żyjące komórki, wyższe zaś są kolonią, kompleksem komórek, które bądź to zachowują swoją indywidualność, bądź tracą ją w mniejszym lub większym stopniu. Każdy ustrój wielokomórkowy rozpoczyna

swe życie jako jedna komórka, jako jajo. Czy więc mamy przed sobą ciało pierwotniaka, czy to jajo, lub jeden z elementarnych składników ustroju wielokomórkowego—we wszystkich przypadkach twór, przez nas rozpatrywany, jest komórką organiczną. Rozmaite komórki różnić się mogą pomiędzy sobą w bardzo znacznym stopniu, ale wszystkie mają pewne wspólne, zasadnicze cechy organizacyi. Wkrótce po odkryciu komórki wyobrażano sobie, że składa się ona zawsze z trzech zasadniczych części: z błony, tworzącéj zewnętrzną jéj ściankę, z protoplazmy wypełniającéj przestrzeń, przez błonę ograniczoną, oraz z drobnego ciałka, pogrążonego wewnątrz protoplazmy i zwanego jądrem komórkowém. Późniejsze badania pokazały, że błona ma znaczenie bardzo podrzędne, że nawet w większości wypadków wcale nie istnieje i że głównemi częściami składowemi komórki są: protoplazma i jądro. Przed niedawnym jeszcze czasem wyobrażano sobie daléj, że komórka jest tworem o organizacyi bardzo prostéj; sądzono, że protoplazma jest jednorodnym płynem, w jądrze zaś dostrzegano co najwyżéj pewną ilość drobniejszych ciałek (t. zw. jąderek) i przypuszczano, że składniki te, tak nieliczne i tak jakoby proste, wyczerpują już w zupełności organizacyę komórki. Ale badania, dokonane w ciągu ostatnich lat kilkunastu, zasadniczo zmieniły ten pogląd. Dziś wiemy, że komórka jest tworem wysoce złożonym, że i protoplazma i jądro mają bardzo skomplikowaną organizacyę, że są to mechanizmy bynajmniéj nie tak proste, jak to niedawno jeszcze mniemano. Protoplazma, którą pod względem fizyko-chemicznym określić można jako gęstawo-płynną mieszaninę wielu ciał białkowatych, a pod względem fizyologicznym, jako podścielisko procesów życiowych, przedstawia się zwykle pod mikroskopem jako substancya jednorodna, nie mająca budowy. Ale już *à priori* przypuszczać należy, że tak nie jest, zawsze bowiem i wszędzie procesy życiowe przywiązane się do jakiéjś organizacyi. I rzeczywiście, wskutek znacznego ulepszenia mikroskopów w ostatnich latach i wprowadzenia pewnych nowych, nieznanych dawniéj metod utrwalania i barwienia tkanek, coraz więcéj nagromadza się poważnych dowodów faktycznych, przemawiających za wysokim stopniem komplikacyi w budowie protoplazmy. Pod bardzo wielu względami obracamy się tu jeszcze obecnie w sferze domysłów i hypotez, ale nie należy zapominać, że znajdujemy się w téj chwili tylko u wrót nowéj ery w biologii, że dziś jesteśmy w takim samym prawie stosunku do biologii komórki, w jakim przed wiekami znajdowali się uczeni, rozpoczynający badania nad budową i czynnościami całego ustroju zwierzęcego. Co się tyczy organizacyi protoplazmy, istnieje obecnie w nauce kilka teoryi, wyznawanych przez różnych wybitnych

biologów. Jedni wyobrażają sobie, że protoplazma ma budowę gąbczastą, t. j. że składa się z sieci poplątanych z sobą włókien i beleczek (podobnie jak w skielecie gąbki), pomiędzy któremi znajdują liczne przestrzenie i szczeliny, wypełnione substancyą bardziéj płynną, jednorodną. Inni przypisują protoplazmie budowę pienistą, a mianowicie starał się tego dowieść znany zoolog niemiecki Bütschli. Uczony ten przekonał się, że jeśli dokładnie zmieszamy gęstą oliwę z potażem gryzącym lub roztworem soli kuchennéj albo cukru trzcinowego, wówczas otrzymamy delikatną pianę, która rozpatrywana pod mikroskopem, okazuje następującą budowę. Delikatne, nadzwyczaj cienkie blaszki z oliwy oddzielają przestrzenie, wypełnione innego rodzaju płynem, przyczem na zasadzie pewnych praw fizycznych zawsze tylko po trzy blaszki przecinają się wzajemnie, wskutek czego w przekroju optycznym, w jednym punkcie węzłowym schodzą się po trzy linie. Otóż, zupełnie podobne obrazy zauważył Bütschli przy rozpatrywaniu pod mikroskopem protoplazmy roślinnéj lub zwierzęcéj, z czego wnosił on, że protoplazma ma budowę pienistą, że składa się z dwóch substancyi płynnych, wzajemnie się z sobą nie mieszających i przeto tak względem siebie układających się, jak płyny w doświadczeniu powyższém. Przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy podnoszono jednak niektóre ważne zarzuty, tak, że kwestya jest dotąd nierozwiązana. Inną nadzwyczaj ciekawą teoryą, która wywarła wielkie wrażenie na biologów spółczesnych, jest teorya Altmanna, zwana *Granulatheorie*, ogłoszona przed kilku laty (1890).

A mianowicie Altmann w pewien specyalny sposób traktował tkanki i specyalnie je barwił, co mu pozwoliło dostrzedz, że w protoplazmie znajduje się ogromna ilość drobnych kuleczek, ziarenek (*granula*). Te ziarenka uważa on za najelementarniejsze składniki protoplazmy i twierdzi, że podobnie jak cały organizm złożony jest z wielu komórek, tak znów komórka składa się z owych granulów. Te ostatnie oznacza on nazwą ziarenek „życiotwórczych“ — „bioblastów“ i uważa je za najprostsze podścieliska życia. Podobnie jak życie komórek warunkuje byt całego organizmu, tak téż czynności owych bioblastów składają się na życie komórki, jako całości. Altmann przypisuje różnym grupom tych bioblastów rozmaite funkcye fizyologiczne i w ten sposób uważa komórkę za ustrój bardzo skomplikowany tak pod względem budowy, jak i czynności. Teorya badacza niemieckiego, jakkolwiek bardzo pociągająca, nie została dotąd należycie ugruntowana. W każdym atoli razie to jest pewném, iż przy użyciu pewnych specyalnych metod badania, wykryć można w protoplazmie pewne ciałka organizowane, wskazujące, iż bądź jak bądź,

budowa protoplazmy jest wysoce złożona i dotąd jeszcze należycie niepoznana.

Powiedzieliśmy, że w protoplazmie komórki znajduje się szczególne ciało t. j. jądro. Posiada ono również nader złożoną budowę, a prawdopodobnie jeszcze daleko więcéj skomplikowaną niż protoplazma. Jest to twór pęcherzykowaty, a substancya jego składa się z dwóch części: z jednéj, bardziéj zbitéj i twardszéj, energicznie się barwiącéj, t. z. chromatyny, drugiéj bardzo płynnéj, zwanéj sokiem jądrowym. Pierwsza tworzy siatkowate, włókniste rusztowanie, czyli, jak je nazywamy, zrąb jądra, druga wypełnia wszelkie przestwory, pomiędzy tą siecią. Prócz tego w jądrze zawarte jest jeszcze jedno lub więcéj osobliwych ciałek, zwanych jąderkami.

Niedawno jeszcze sądzono, że protoplazma i jądro wyczerpują już wszystkie główne składniki komórki, mówimy główne, albowiem odróżniamy jeszcze nieraz liczne inne części, będące już jednak tylko produktami protoplazmy, wytworami jéj, jak np. ziarenka krochmalu, kuleczki tłuszczu, ziarna barwikowe i t. d., które to ciała są więc już tylko drugorzędnemi częściami składowemi komórki. Ale oto w ostatnich latach wykryto jeszcze pewne części w komórce, które, jak się okazuje, należą do pierwotnych i wielce ważnych składników jéj morfologicznych. A mianowicie, obok jądra wykryto w protoplazmie szczególne ciałko drobne, które nazwano *centrosoma*, a dokoła tego ostatniego szczególną część protoplazmy, różną od reszty, a zwaną „sfera“ lub *archoplasma*.

Ciałko wyżéj wspomnione, oraz otaczająca je sfera przedstawiają bardzo ważne składniki komórki; są to mechanizmy, mające wielkie znaczenie fizyologiczne przy procesie dzielenia się czyli rozmnażania.

Rozpatrzywszy w ogólnych zarysach organizacyą komórki, tak, jak ją pojmują dzisiejsi biologowie na podstawie nowszych badań i spostrzeżeń, spytajmy teraz, jaki zachodzi stosunek między fizyologicznemi czynnościami komórki a materyalnym ich substratem. Życie jest objawem dynamicznym, ilekroć zaś chodzi o dynamikę materyi, zwracamy się do fizyko-chemicznych jéj własności. Czy jednak poznanie fizycznych i chemicznych cech protoplazmy da nam możność zrozumienia istoty procesów życiowych? Bynajmniéj. Protoplazma jest płynną, mechaniczną mieszaniną bardzo wielu ciał o odmiennych własnościach chemicznych, a głównie ciał białkowatych. Nawet gdybyśmy jaknajdokładniéj poznali wszystkie te ciała białkowate, gdybyśmy

wykryli ich skład chemiczny i wszelkie ich reakcye, to i wówczas dynamika życia nie o wiele byłaby dla nas jaśniejszą niż obecnie, albowiem życie nie jest przywiązane do atomów chemicznych lub do cząsteczek fizycznych, lecz do organizowanéj protoplazmy. Wprawdzie Pflüger przyjmuje, że protoplazma jest „żyjącém białkiem“ i że „śmierć białka“ połączona jest z przemieszczeniem atomów w cząsteczce białka, wprawdzie Loew wykazał, że między innemi, protoplazma żyjąca różni się od martwéj zdolnością redukowania srebra z bardzo rozcieńczonych rostworów alkalicznych oraz innemi jeszcze własnościami chemicznemi — ale wszystkie te i tym podobne fakta nie wyjaśniają nam istoty procesów życiowych, nie tłómaczą objawów biologicznych, pokazują tylko, że pewnym przemianom biologicznym towarzyszą pewne przemiany chemiczne w białkach, wchodzących w skład organizowanéj protoplazmy. „Ażeby objaśnić dziwne zjawisko życia, powiada Naegeli, zwracano się aż do cząsteczki (molekuły) i mówiono o żywéj i martwéj cząsteczce białka. Ale pogląd taki nie wytrzymuje krytyki; albowiem cząsteczka nie jest ani żywą, ani martwą; działa ona zawsze siłami swych niedziałek (atomów) i zachowuje swe właściwości, dopóty, dopóki wzrastające działanie nie spowoduje rozkładu jéj lub przeobrażenia.“

Niezależnie od tego, iż żyjąca substancya organizowana posiada własności biologiczne, objawiające się w niéj pod postacią różnych procesów życiowych, ma ona także niektóre specyficzne własności fizyko-chemiczne, stanowiące niezbędny warunek wszelkiego substratu życia. Otóż, jedną z najbardziéj uderzających własności ciał organizowanych jest zdolność do pęcznienia, t. j. wchłaniania do swego wnętrzna znacznéj ilości wody oraz substancyi, które są w wodzie rozpuszczalne. Ilość wchłoniętéj wody może być tak wielka, że na części stałe przypada zaledwie kilka odsetek, całą zaś resztę zajmuje woda.

Wprawdzie i martwa substancya może mieć zdolność wchłaniania wody w znacznéj bardzo ilości, np. gąbka lub sól, ale w tych przypadkach woda zajmuje przestrzenie, które przedtem już istniały i wypełnione były powietrzem (np. w gąbce), albo téż cząsteczki danego ciała tak się przytem oddalają od siebie, że wreszcie spójność pomiędzy niemi zupełnie zanika, a cząsteczki rozbiegają się w wodzie czyli, jak mówimy, rozpuszczają się w niéj (np. przy wchłanianiu wody przez sól lub cukier). Zupełnie co innego znajdujemy w żyjącéj substancyi organizowanéj; tutaj wchłaniana woda nie przenika w istniejące już przedtém a powietrzem napełnione przestrzenie, jak w ciele dziurkowatém, lecz rozmieszcza się bardzo równomiernie pośród wszystkich

cząstek organizowanych, które tembardziéj odsuwają się od siebie i przez tém grubsze warstwy wody wzajem się oddzielają, im większy jest stopień napęcznienia. Wszelako nie następuje tu nigdy rozpuszczanie się danéj substancyi w wodzie, czyli innemi słowy organizowane cząstki nie rozpadają się na cząsteczki fizyczne, a te ostatnie nie rozbiegają się w wodzie, jak to ma miejsce np. z solami rozpuszczalnemi. Widzimy zatém, że „zdolność do pęcznienia i nierozpuszczalność w wodzie są głównemi własnościami ciał organizowanych, bez których nie można sobie wyobrazić procesów życiowych“ (Hertwig). Niektóre ciała organizowane można wprawdzie uczynić rozpuszczalnemi, np. krochmal lub substancye klejorodne, jeśli gotować je będziemy w wodzie. Ale ciała te, gdy stają się rozpuszczalne, tracą wówczas w znacznéj mierze swoją organizacyą, a powtóre i pod innym jeszczcze względem różnią się bardzo od roztworów mineralnych (np. od roztworu soli kuchennéj) lub cukru. Te ostatnie mianowicie przesiąkają łatwo (diosmoza) przez błony, pierwsze zaś albo wcale nie mają zdolności diosmotycznych, albo bardzo nieznaczne, tworząc roztwory śluzowate galaretowate i t. p. Już Graham wyróżnił te dwie grupy ciał, nazywając jedne „krystalloidami;“ drugie kolloidami.“

Aby wyjaśnić te szczególne fizyczno-chemiczne własności ciał organizowanych, należy przypisać im osobliwą budowę. Z kilku prób w tym kierunku na największą uwagę zasługuje teorya Naegelego [1]), zwana micellarną. Znakomity ten botanik przypuszcza, że podobnie jak atomy (niedziałki) połączone są z sobą w cząsteczki fizyczne czyli malekuły, tak znów w ciałach organizowanych te ostatnie połączone są w pewne większe grupy, które nazywa on micellami. Każda micella może się składać z setek lub z wielu tysięcy cząsteczek. Micelle przyciągają się wzajemnie, oraz wywierają wpływ przyciągający na wodę, która téż tworzy dokoła nich grubszą lub cieńszą powłokę, zależnie od stopnia napęcznienia. Ciało organizowane dlatego nie może utworzyć roztworu, iż w niém „siła przyciągająca względem wody zmniejsza się z odległością w szybszym stosunku, aniżeli siła przyciągająca pomiędzy samemi micellami, tak, że gdy powłoki wodne osiągnęły pewną grubość, zjawia się stan równowagl — granica pęcznienia.“ Znów więc tu spotykamy się z faktem, że zmianom w warunkach zewnętrznych odpowiadają zmiany w wewnętrznych, przyczém w ciele żyjącém istnieją przystosowania, nie pozwalające mu wyjść z pewnych granic równowagi.

---

[1]) Patrz „Ateneum“ 1886: „Nowe teorye pochodzenia gatunków.“ Jest to krytyczne streszczenie mechaniczno-fizyologicznej teoryi rozwoju C. Naegelego.

Jeśli jednak przez zabicie organizowanego ciała i przez szczególne traktowanie tegoż znosimy związek pomiędzy micellami i otrzymujemy roztwór (np. krochmalu we wrzącéj wodzie), to roztwór ten jest roztworem micellów, nie zaś cząsteczek fizycznych. Otóż różnica, jaką zaznaczył Graham pomiędzy roztworami krystalloidów i substancyi kolloidalnych, polega zdaniem Naegelego właśnie na tém, że w pierwszych pomiędzy cząsteczkami wody znajdują się pojedyncze cząsteczki (molekuły) rozpuszczonego ciała, w ostatnich natomiast — grupy micelli lub téż pojedyncze micelle. Jedne są zatém roztworami melukalarnemi, drugie (roztwory białka, kléju, gumy i t. d.) micellarnemi.

Dotknęliśmy tylko kwestyi pochłaniania wody i związanych z tém objawów pęcznienia, w celu pokazania, że konieczną jest teorya szczególnéj jakiejś budowy ciał organizowanych, teorya, tłómacząca nam różnice w pewnych fizyko chemicznych własnościach tych ostatnich w porównaniu z cechami ciał nieorganizowanych.

Istnieją jednakże i inne jeszcze cechy i własności żyjącéj materyi organizowanéj, których w żaden sposób wyjaśnić nie bylibyśmy w stanie, nie przyjąwszy micellarnéj jéj budowy. Mam tu na myśli np. wzrost substancyi organizowanéj przez t. z. intussuscepcyą, czyli wstępowanie nowych cząstek organizowanéj materyi pomiędzy istniejące już.

Czy jednak teorya micellarnéj budowy tłómaczy właściwe objawy życia? Bynajmniéj. Ona wyjaśnia nam tylko fizyko-chemiczne własności materyalnego substratu życia, ale nie same procesy życiowe. Pojedyńczym micellom nie możemy tedy przypisywać specyficznych zdolności życiowych. Zdolności te są atoli wynikiem pewnego specyalnego układu micelli, rezultatem wzajemnego ich oddziaływania na siebie. „Jeśli na żyjącą massę protoplazmatyczną — mówi Naegeli — działają wpływy szkodliwe, wówczas współukład micelli albo nieznacznym tylko podlega zmianom i może powrócić do pierwotnego stanu, gdy działanie ustaje... Albo też przemieszczenie jest tak znaczne, że już nie może powrócić do pierwotnego stanu równowagi, a jako skutek tego następuje śmierć, kiedy w pierwszym przypadku ma miejsce tylko pewne, większe albo mniejsze zakłócenie czynności. Tym sposobem staramy się wytłómaczyć do pewnego stopnia mechanikę ogólnych przejawów życiowych, obracając się jednak, jak dotąd, w granicach przypuszczeń i hipotez.

Wiadomo, że wszelkie zawilsze zjawiska przyrody stają się dla umysłu ludzkiego mniéj lub więcéj dostępnemi dopiéro wtedy, gdy objawy bardziéj skomplikowane zaczyna on porównywać z odpowie-

dniemi objawami prostszemi tejże kategoryi. A więc i ogólne procesy życiowe, tak wysoce złożone w swych przejawach u istot bardziéj rozwiniętych, mogą być poznane i zrozumiane dopiéro wtedy, gdy bliżéj je poznamy i wytłómaczymy u ustrojów najprostszych, jednokomórkowych; komórka bowiem, jak widzieliśmy, jest elementarną jednostką żyjącą, jest jakby wspólną miarą, za pomocą któréj mierzyć można wszelkie komplikacye ustrojów żyjących.

Jednakże z tego, co mówiliśmy wyżéj o budowie komórki i o przypuszczalnéj micellarnéj jéj strukturze, wynika, że jest to twór bardzo już złożony, a co zatém idzie, że i czynności jego życiowe są zapewne znacznie już skomplikowane, jak o tém rzeczywiście wkrótce się przekonamy. I to jest właśnie najgłówniejszą przyczyną, dla któréj aż dotąd życie w swych najprostszych przejawach jest nam tak niedostatecznie znane. Życie, jak to z najogólniejszege naszego określenia wynika, jest „bezustanném przystosowywaniem się stosunków wewnętrznych do stosunków zewnętrznych.“ Otóż porównywając przyrodę martwą do żywéj i rozpatrując przytém ustroje z początku najprostsze, powinniśmy znaleść szeregi przejść od stanu, w którym przystosowywanie to (w tém znaczeniu, jak to wyłuszczyliśmy na wstępie) wcale nie istnieje (t. j. w martwéj przyrodzie), do stanów, w których stopniowo jest ono coraz wyraźniejsze i wszechstronniejsze. Tymczasem w rzeczywistości znajdujemy zupełnie co innego; z jednéj strony martwą naturę, z drugiéj t. z. „najprostsze“ ustroje, t. j. organizmy jednokomórkowe, u których proces życia nie różni się wcale co do jakości swéj, lecz tylko co do stopnia od procesu życiowego, najbardziéj złożonego; z jednéj strony — martwotę minerału, z drugiéj — amebę lub monerę, tę jakoby najprostszą, a jednak już tak nadzwyczajnie skomplikowaną machinę żyjącą, do któréj definicya życia stosuje się w takiéj saméj rozległości, jak do najwyższych tworów!

Otóż to nagłe przejście, ten przeskok od śmierci do życia, ten brak pomostu ponad przepaścią, dzielącą ustrój od materyi nieorganizowanéj, nie dowodzą bynajmniéj, ażeby rzeczywiście tak wielkie istniały szranki pomiędzy przyrodą martwą a żyjącą, ale pokazują nam tylko, że ustroje, które my uważamy za najprostsze, nie są niemi w rzeczywistości. Liczni téż uczeni współcześni, a między innemi i Naegeli, uważają najniższe, znane nam ustroje jednokomórkowe już za bardzo daleko posunięte etapy życia organicznego na ziemi. Istoty w rodzaju moner, ameb lub nawet bakteryi, mają już po za sobą bardzo długie dzieje rozwoju filogenetycznego. Wynika to już chociażby z tego jednego faktu, że najniższe znane nam ustroje w rodzaju ameb lub moner żywią się organicznemi cząstkami, byt więc ich wa-

runkuje z konieczności obecność innych organizmów, tém samém więc ustroje te nie mogą być pierwszemi, jakie na ziemi się pojawiły. Słusznie twierdzą też niektórzy biologowie, że dzieje od czasu pojawienia się najpierwszych zawiązków organizowanéj materyi na ziemi do chwili powstania komórki, nie były bynajmniéj krótsze, jeśli nie znacznie dłuższe, od dziejów, obejmujących okres od powstania istoty jednokomórkowéj do najpóźniejszéj epoki filogenetycznego rozwoju organizmów. Czy te najpierwsze rodowe etapy życia zostaną kiedykolwiek wykryte i poznane, tego przewidzieć nie można. Dla nas zaś ważném jest, bądź jak bądź, przeświadczenie, iż komórka, chociażby najprostsza, nie jest bynajmniéj tworem, stanowiącym najstarszą rodową podwalinę łańcucha życiowego, lecz, że własna jéj historya gubi się w odległéj pomroce, że jéj czynności fizyologiczne są wynikiem dziedzictwa dziejowego, które nam jest nieznane. Dla tego więc prostota budowy i czynności komórki jest bardzo względną i nie powinno nas dziwić, iż na tym najniższym pozornie szczeblu życia spotykamy się z zawiązkami wszelkich procesów życiowych, różniących się tylko ilościowo od czynności organizmów najwyższych. Rozpatrzmy nieco bliżéj niektóre z tych procesów biologicznych komórki, a przekonamy się, że rzeczywiście nie ma w zasadzie u istot wielokomórkowych żadnego specyficznego przejawu życia, któryby nie istniał już w ustroju komórki.

Organizm jednokomórkowy, jak i każdy inny, podlega chemicznéj przemianie materyi, bezustannie się rozkładając i wynagradzając ponoszone straty przez pochłaniany pokarm, oddycha, ma zdolność do ruchu, odbiera wrażenia ze świata zewnętrznego i wreszcie rozmnaża się czyli produkuje potomstwo.

Komórka, swobodnie żyjąca, pobiera pokarm z zewnątrz bądź to przez otworki, znajdujące się w jéj powłoce, bądź to całą powierzchnią nagiego ciała. Pokarm ten daje materyał, z którego wynagradzane zostają straty, bezustannie ponoszone przez ustrój. Straty uwarunkowane są tém, iż złożone substancye organiczne, jako to: węglowodany, tłuszcze i białka, rozpadają się na prostsze części składowe: bezwodnik kwasu węglanego, wodę i mocznik, które to substancye zostają wydalane z ciała. W ten sposób żyjąca substancya komórki podlega bezustannie przemianie chemicznéj, znajduje się wciąż w stanie równowagi niestałéj; na chemizm jéj składają się tedy objawy wstecznéj i progresywnéj przemiany materyi, czyli jak powiada Claude Bernard, „*les phénomènes de destruction et de création organique, de décomposition et de composition*“. W skutek bezustannego rozkładu różnych

związków organicznych w żyjącém ciele, uwalnia się znaczna ilość energii chemicznéj, która znajdowała się w nich w utajeniu (jako energia potencyalna); uwolniona (kinetyczna) energia, jako żywa siła, jest źródłem wszelkich sił fizyologicznych ustroju. Przy nowotworzeniu się materyi żyjącéj pobierane zostają z zewnątrz nowe substancye, zastępujące miejsce zużytych i rozłożonych. Substancye te zostają przyswojone i przeprowadzone w nowe związki chemiczne, przyczém naturalnie zostaje znów związany czyli utajony pewien zapas sił. Źródłem tych ostatnich jest w części żywa siła, uwalniana w skutek rozkładowych procesów protoplazmy, w części zaś (jak to ma miejsce głównie w komórkach roślinnych), energia promieni słonecznych. Dla przemiany materyi ma ogromną doniosłość proces oddychania, który ma równie wielkie znaczenie tak u najniższych, znanych nam, istot, jak i u organizmów wyższych.

„Bez pochłaniania tlenu, którą to czynność zowiemy oddychaniem, nie ma życia! Oddychanie tlenem przedstawia z nielicznemi wyjątkami (t. z. bakterye *anaerobia)* fundamentalną właściwość całéj przyrody żyjącéj; jest ono bowiem niezbędne dla procesów przemiany materyi.“ W skutek utleniania się, złożone cząsteczki związków organicznych rozpadają się na prostsze, uwalniając zapasy siły żywéj. Brak tlenu powoduje zawieszenie czynności fizyologicznych komórki w równéj mierze, jak i czynności organizmu wielokomórkowego.

Ograniczymy się na tych, najogólniejszych tylko uwagach o zasadniczéj jedności procesów przemiany materyi u jestestw organicznych, a natomiast nieco więcéj miejsca poświęcimy objawom ruchu i wrażliwości, stanowiącym najciekawszą stronę materyi żyjącéj.

Ruch, powiada M. Verworn, owo odwieczne kryteryum życia skłaniające człowieka pierwotnego do uosobiania drgającego płomienia i wirującego wiatru, sprawiające, iż dziecię bierze machinę parową za żywą istotę, jest dla nas dziś jeszcze zasadniczém kryteryum, gdy chodzi o odróżnienie życia od martwoty. Dla tego téż nie dziw, że przyrodnicy i filozofowie, którzy zajmowali się badaniem życia, zwracali szczególniejszą uwagę na ten objaw życiowy, w którym najwidoczniéj wyraża się przeciwieństwo pomiędzy ciałem żywém a martwém.

Objawy ruchu są zasadniczo te same tak u najprostszych ustrojów jednokomórkowych, jako téż u wysoko organizowanych. Formy ruchu u organizmów przedstawiają wielkie różnice, ale zasadniczy ich objaw jest wszędzie ten sam. Zwierzę chodzi, biega, pływa, pełza,

lata i t. d. Wszystkie te ruchy zasadzają się na kurczliwości protoplazmy komórek mięśniowych, czyli, jak je nazywamy, włókien mięśniowych. Mięsień bowiem jest złożony z setek tysięcy włókien, będących mocno rozrośniętemi komórkami, których protoplazma rozpadła się na bardzo liczne, równolegle do siebie przebiegające włókienka czyli fibrille. Jeśli protoplazma tych włókien ulega skurczowi, skracają się one, a tém samém skraca się cały mięsień, zbliżając do siebie dwa punkta ciała, do których końcami swemi przytwierdza się, np. dwie kości, a na tém właśnie polega ruch skieletu i całego ciała. Otóż protoplazma organizmów jednokomórkowych odznacza się również kurczliwością i dla tego to ustroje te mogą także wydłużać i skracać swe ciało, a tém samém wykonywać rozmaite ruchy. Różnica polega tylko na regularności kierunku, w jakim skurcz się odbywa, co znów uwarunkowane jest samą budową protoplazmy kurczliwéj. A mianowicie, w najprostszych wypadkach, jak np. u ameby i u wielu innych organizmów jednokomórkowych, protoplazma ma we wszystkich kierunkach jednakową budowę i dla tego może się we wszelkich kierunkach kurczyć. Kiedyindziéj atoli, protoplazma kurczliwych komórek rozpada się na niezmiernie delikatne, cieniutkie włókienka, które przebiegają równolegle od siebie, w pewnym określonym kierunku. Otóż w tych komórkach skurcz może następować tylko w kierunku przebiegu owych włókienek. Naturalnie, że pomiędzy temi dwiema skrajnemi formami znajdują się liczne inne, pośrednie, a odpowiednio do tego znajdujemy szereg przejść od wypadków najprostszych, w których skurcz protoplazmy odbywać się może we wszelkich kierunkach (jak u najniższych organizmów), do takich, gdzie odbywa się on już tylko w jednym, stale określonym kierunku, jak np. we włóknach mięśniowych zwierząt wyższych.

Ruch u najprostszych organizmów występować może pod rozmaitemi postaciami. Najcharakterystyczniejszym jest t. z. ruch amebowaty, przy którym ciało ustroju jednokomórkowego, nagie, t. j. żadną błoną nie opatrzone przelewa się jakby z jednego miejsca na drugie. Komórka (np. ameba, u któréj ruch ten jest najbardziéj typowy) wysuwa szczególnego rodzaju wyrostki protoplazmatyczne i w kierunku, w którym je wyciąga, przelewa całe swe ciało, kurcząc je powoli z jednéj strony, a rozkurczając z drugiéj. W innych znów przypadkach, a mianowicie u wielu t. z. korzenionogów (*Rhizopoda*), protoplazma wydłuża się w siateczkę nadzwyczajnie cienkich i delikatnych niteczek rozgałęzionych, w których zauważyć można szczególne prądy ziarenek, uwarunkowane skurczami protoplazmy. Bardziéj złożone objawy ruchu u istot jednokomórkowych polegają na

tém, że już nie cała protoplazma komórki jest kurczliwa i do samodzielnych ruchów uzdolniona, lecz specyalne jéj części, t. z. migawki lub biczyki, wyrostki określonych kształtów, częstokroć rytmicznie i w pewnym stałym kierunku się poruszające. Wszystkie te i tym podobne ruchy protoplazmy uwarunkowane są jéj kurczliwością. Istota téj własności nie została dotąd należycie poznana, istnieją jednak liczne próby, dążące do wyjaśnienia tego objawu, a raczéj do wytłumaczenia jego mechaniki. Najtrafniejszą ze wszystkich jest niewątpliwie teorya Engelmanna, który przypuszcza, że drobne organizowane cząstki (niedostępne dla oka ludzkiego, nawet uzbrojonego w mikroskop), wchodzące w skład protoplazmy kurczliwéj mają określoną postać, że w stanie spoczynku są one wydłużone i oddzielone od siebie bardziéj płynną, jednorodną substancyą. Otóż gdy owe cząstki nabierają więcéj płynu i pęcznieją, zmieniają na zasadzie praw mechaniki dotychczasową postać swoją, a mianowicie dążą do przyjęcia postaci kulistéj. Dla tego téż skracają się wówczas i jednocześnie grubieją w porównaniu z pierwotną postacią wydłużoną; skoro zaś wszystkie cząstki się skrócą, to i protoplazma jako całość się skurczy. Przy powrocie cząstek do pierwotnego stanu, w skutek wystąpienia z nich nadmiaru płynnéj substancyi, protoplazma znów się rozkurczy. W zależności od sposobu i kierunku układu tych cząstek następować może naturalnie albo równomierny skurcz całéj protoplazmy, albo téż tylko skurcz w pewnym kierunku. Engelmann stosuje teoryę swoją w równéj mierze do ruchów nagich komórek, swobodnie żyjących, jak i do ruchów komórek mięśniowych u organizmów wielokomórkowych. Tak np. wysuwanie wyrostków protoplazmatycznych u ameb objaśnia on tém, że w daném miejscu cząstki, dotąd kuliste, otrzymują postać wydłużoną i układając się w pewnym określonym kierunku, powodują wydłużenie się danéj części protoplazmy; gdy cząstki powracają znów do pierwotnego, kulistego stanu, wyrostek się wciąga, kurczy. Bardzo szczegółowo stosuje téż uczony niemiecki zapatrywania swoje do objawów skurczu w t. z. poprzecznie prążkowanych włóknach mięśniowych zwierząt wielokomórkowych; liczne objawy, dostrzegane przy procesie skurczu tych włókien, przemawiają w wysokim stopniu za prawdziwością teoryi Engelmanna, w co tu bliżéj wchodzić nie możemy.

Niektórzy badacze posunęli się jeszcze daléj niż Engelmann. Nie wystarczało im tłumaczenie, iż ruchy protoplazmy warunkują się przemianami w postaci organizowanych jéj składników, ale zapragnęli poznać ogólniejszą, chemiko-fizyczną przyczynę objawów ruchowych u najniższych istot. Opierając się téż na pewnych faktach, dotyczą-

cych najpierwotniejszych objawów ruchu u istot jednokomórkowych, próbowali oni wyjaśnić odnośne zjawiska na drodze chemicznéj. Pod tym względem szczególniéj zasłynęły poglądy dwóch uczonych G. Quinckego i Maxa Verworna.

G. Quincke (1888) stworzył teoryą ruchu nagich mas protoplazmatycznych (t. j. nagich komórek) na podstawie objawów ruchu, występujących przy wzajemném stykaniu się pewnych płynów. Jeśli kroplę oleju wprowadzimy do słabego roztworu sody lub do innego słabo alkalicznego płynu, jak żółć lub białko, wówczas w téj kropli wystąpią zjawiska ruchu, dające najrozmaitsze obrazy w zależności od stosunków i polegające na tém, że oléj w miejscu zetknięcia z roztworem alkalicznym tworzy mydło, w prawidłowy sposób rozpościerające się na powierzchni, tak iż nowe wciąż masy oleju stykają się z roztworem i t. d. W skutek tego tworzą się prądy w kropli oleju, którym towarzyszą najrozmaitsze zmiany postaci. Otóż Quincke twierdzi, że na powierzchni protoplazmy znajduje się prawdopodobnie nadzwyczaj cienka warstewka tłuszczowa. Ta tworzy z ciałami białkowatemi protoplazmy—mydła i powoduje tym sposobem podobne objawy ruchu, jakie dają się obserwować we wspomnianych doświadczeniach. Ruch protoplazmy ma więc jakoby swoją przyczynę w peryodyczném rozpościeraniu się mydeł białkowych (*Eiweisssseife*) na wewnętrznéj powierzchni powłoki tłuszczowéj, pokrywającéj protoplazmę.

Niema wątpliwości, że moment czysto fizyczny, o ile tyczy się stosunków i zmian w naprężeniu powierzchniowém, może mieć niemałe znaczenie przy powstawauiu pewnych objawów ruchowych, występujących zarówno w kropli oleju jak i substancyi protoplazmatycznéj. Wszelako nie podobna przypuszczać, aby wszystkie objawy ruchu u nagich organizmów jednokomórkowych były analogiczne ruchom w powyższych doświadczeniach Quinckego i aby zawsze protoplazma pokryta była powłoką tłuszczową, jak tego wymaga hipoteza rzeczonego autora.

Max Verworn dochodzi do zupełnie innéj teoryi ruchu protoplazmy. I on również twierdzi, że ruch żywéj protoplazmy wytłumaczyć można przez działanie sił, które nie są specyficznemi siłami organicznemi, lecz które działają też w przyrodzie martwéj. Ażeby wyjaśnić ruchy protoplazmy komórkowéj, Verworn zaznacza naprzód, że cały proces życiowy komórki jest wyrazem stosunków przemiany materyi, zachodzących między światem zewnętrznym, protoplazmą i jądrem komórkowém. Daléj zaznacza, że w całém życiu organiczném nadzwyczajnie są rozpowszechnione zjawiska t. z. „chemotro-

pizmu". Te ostatnie polegają na tém, że jednostronnie działający bodziec chemiczny, którego natężenie wzrasta z odległością, wywiera wpływ kierujący na organizm jednokomórkowy, powodując albo zbliżanie się jego do źródła bodźca, albo téż oddalanie się (dodatni i ujemny chemotropizm). Tak np. Engelmann zauważył, że bakterye dążą zawsze w kierunku źródła tlenu, że np. pod szkiełkiem pokrywkowém pęcherzyki powietrza zostają otoczone masami bakteryi, które do nich się zbiegają (metoda bakteryjna do wykazania najmniejszych ilości tlenu). Stahl znów wykazał, że nagie, protoplazmatyczne masy (t. z. plasmodya) grzybów śluzowych odbywają ruch w kierunku miejsc obfitujących w tlen. Otóż Verworn dochodzi do wniosku, że te i tym podobne zjawiska chemotropizmu na najniższym swym szczeblu są właśnie tylko wyrazem powinowactwa chemicznego między cząsteczkami protoplazmy a tlenem. Twierdzi on daléj, że wszelkie w ogóle objawy ruchu protoplazmy sprowadzić się dają do chemotropizmu. Zasada jest wszędzie taka sama. W pewnym stanie cząsteczki kurczliwe posiadają powinowactwo chemiczne do ciał środowiska, szczególniéj zaś do tlenu. Powinowactwo to prowadzi do t. z. „ekspansyjnéj fazy ruchu" t. j. do objawu wyciągania się protoplazmy, powiększania się jéj powierzchni. Cząsteczki, zbliżające się tedy do powierzchni i mające najłatwiejszy dostęp do tlenu, „nasycają się" nim, osiągają najwyższy stopień komplikacyi w swéj konstytucyi chemicznéj, a tém samém skłonność do rozpadu. Część produktów tego rozpadu zostaje wydzielona, część zaś dąży znów do „nasycenia swego powinowactwa chemicznego", a mianowicie powinowactwa do pewnych substancyi, wytworzonych w protoplazmie przez współudział jądra. Obecnie więc cząsteczki protoplazmy pod wpływem ostatnio wymienionego powinowactwa dążą w kierunku do wnętrza, ku jądru i to się właśnie objawia jako „faza kontrakcyjna", jako skurcz protoplazmy. W ten sposób Verworn na drodze mechaniczno-chemicznéj tłumaczy objawy naprzemian występujące: ściągania się i rozciągania żywéj protoplazmy, objawy, które spostrzegamy przy ruchu nagich ciał protoplazmatycznych.

Taki czysto mechaniczny sposób tłómaczenia zjawisk biologicznych jest niewątpliwie nader pociągający, a prawdopodobnie w bardzo wielu razach momenty fizyko-chemiczne sprawiają faktycznie efekty ruchowe w żywych organizmach. Trudno atoli zgodzić z Verwornem na to, aby czynniki te były ogólnie i jedynie działającemi. Objawy ruchu, zwłaszcza u organizmów wyższych, są jaknajściśléj związane z czynnością systemu nerwowego. Pobudzenia ruchowe powstają w komórkach nerwowych i za pośrednictwem włókien ner-

wowych przenoszą się do komórek składających mięśnie, które pod wpływem tych pobudzeń kurczą się. Komórka nerwowa, włókno nerwowe i komórka mięśniowa tworzą zatém nierozerwalny przyrząd ruchowy u organizmów wyższych. U niższych natomiast przyrząd ten jest znacznie uproszczony; niekiedy też sama komórka w części swéj obwodowéj (zwróconéj na zewnątrz) jest ośrodkiem nerwowym, w części zaś ośrodkowéj przechodzi we włókno kurczliwe (mięśniowe); są to t. zw. nerwowo-mięśniowe komórki u wielu zwierząt jamochłonnych. Wreszcie w najprostszych wypadkach ta sama komórka, jako całość, jest równocześnie i nerwową i mięśniową, nie jest zróżnicowaną fizyologicznie. Przypisując zatém objawy ruchowe ustrojów najniższych działaniu wyłącznie tylko fizyko-chemicznych czynników, musimy tém samém i objawy wrażliwości (*irritabilitas*), będące najprostszemi zawiązkami czynności nerwowéj, uważać za wyraz reakcyi chemicznych, na co przy najbardziéj materyalistycznym sposobie zapatrywania badacz ścisły zgodzić się nie może. Możemy twierdzić że określonym funkcyom nerwowym towarzyszą pewne, określone przemiany chemiczne, ale nadto nic więcéj, albowiem, jak to już zaznaczyliśmy wyżéj, nie można atomom chemicznym, ani też cząsteczkom fizycznym przypisywać własności czysto biologicznych.

Tak tedy kwestya ruchu protoplazmy wiąże się nierozerwalnie ze sprawą jéj wrażliwości, która jest jednym z najciekawszych objawów, dostrzeganych w żyjącéj komórce. Wrażliwość jest cechą najbardziéj wyróżniającą przyrodę żywą od martwéj i dlatego dawniejsi już przyrodnicy uważali ją za wyraz szczególnéj siły, którą nazywali życiową, a którą przypisywali wyłącznie tylko przyrodzie organicznéj.

„Nauka witalistyczna (witalizm)—mówi O. Hertwig — porzuconą została przez nowoczesną wiedzę; zamiast przyjmować szczególną siłę życiową, objaśnia ona wrażliwość jako bardzo złożony fenomen chemiczno-fizyczny. Różni się on od innych chemiczno fizycznych objawów przyrody ożywionéj... tém, iż wpływy zewnętrzne działają tu na substancyą o budowie skomplikowanéj, na organizm, na materyalny systemat wysoce złożony i odpowiednio do tego powodują też szereg procesów bardziéj złożonych.“ Przy tém mechanicznem pojmowaniu wrażliwości nie należy jednak procesów życiowych przypisywać zwykłym działaniom mechanicznym, ale pamiętać trzeba o tém, że oprócz zwykłych sił chemiczno-fizycznych istnieją w organizmach pewne całkiem odmienne ich formy, uwarunkowane tém, iż materya ożywiona ma organizacyą, któréj brak przyrodzie martwéj.

U najniższych istot występują przejawy wrażliwości, co do

istoty swéj takie same, jak u najwyższych, a różniące się od nich tylko pod względem ilościowym. Najlepiéj zdołamy to ocenić, rozpatrzywszy pokrótce niektóre kardynalne objawy wrażliwości w najogólniejszych tylko zarysach. Wrażliwością nazywamy wogóle zdolność protoplazmy odpowiadania, czyli reagowania w pewien specyalny sposób na pewne bodźce zewnętrzne; jestto zatém pewien specyalny wypadek ogólnego procesu życiowego, jak to wynika z naszéj definicyi pojęcia życia. Nie zawsze ta reakcya protoplazmy jest dla nas widoczna; objawia się ona wyraźnie tylko w pewnych wypadkach, najbardziéj zaś wtedy, gdy pobudzenie uzewnętrznia się ruchem.

Tenże sam bodziec zewnętrzny wywoływać może różne efekta, w zależności od budowy protoplazmy w danym wypadku poszczególnym. Mamy tu zupełnie analogiczny szereg zjawisk, jak przy działaniu motorów w zastosowaniu do przemysłu. Ileż najrozmaitszych efektów wywołać może ten sam spadek wody lub ta sama para, wydobywająca się z kotła parowéj machiny: tu obracanie się młyńskiego kamienia i mielenia ziarna, tam oświetlenie elektryczne, owdzie ruch lokomotywy i długiego szeregu wagonów, lub téż ruchy żniwiarki, ścinającéj źdźbła zbożowe, albo wreszcie skomplikowany obrót czółenek, wałków i motków w fabryce tkackiéj. Wszystkie te, tak różnorodne rezultaty osiągane zostają przez działanie tego samego bodźca tylko dlatego, że inną jest za każdym razem budowa machiny, na którą motor działa. Podobne zjawiska spostrzegamy w działaniu bodźców zewnętrznych na protoplazmę. Ten sam promień świetlny działa na protoplazmę jednych komórek tak, iż odbywa ona ruchy w kierunku do źródła światła, na protoplazmę zaś innych wywiera działanie wprost odwrotne — komórki unikają światła, dążą do miejsc najciemniejszych (dodatni i ujemny heliotropizm). W ostatnich czasach zauważono szereg analogicznych, wielce interesujących faktów ze względu na bodźce elektryczne. Zjawiska te oznacza Max Verworn nazwą galwanotropizmu. Pod tym ostatnim pojmuje Verworn fakt, iż stały prąd zmusza pewne ustroje jednokomórkowe do ruchów w pewnym określonym kierunku. Tak np. jeśli na szkiełku przedmiotowém pomiędzy dwoma elektrodami umieścimy kroplę, zawierającą bardzo liczne ameby lub wymoczki, to w chwili zamknięcia prądu galwanicznego wszystkie organizmy opuszczają biegun dodatni i dążą do ujemnego, gdzie się gęsto skupiają obok siebie. Zjawisko to możnaby nazwać galwanotropizmem ujemnym. Inne atoli ustroje jednokomórkowe, zwłaszcza niektóre bakterye i wiciowce, podlegają wprost odwrotnemu działaniu, a mianowicie w chwili zamknięcia prądu przemieszczają się one w kierunku ku biegunowi dodatniemu, co więc stanowi galwano-

tropizm dodatni. Ze względu na bodźce termiczne i chemiczne znajdujemy również zjawiska podobne; ten sam bodziec chemiczny może w różny sposób działać na rozmaite rodzaje protoplazmy, w zależności od różnic w jéj budowie.

Związek budowy protoplazmy z jakością efektów, wywoływanych przez pewne bodźce, widoczny jest także i z innego jeszcze względu. A mianowicie, różnego rodzaju bodźce, działając na tę samą protoplazmę, powodują podobne lub nawet identyczne reakcye, co nosi nazwę specyficznéj energii [1]). Tu znów przeprowadzić można analogią do motorów w przemyśle zastosowywanych. Motor elektryczny, parowy, wodny i t. p., działając na dany system machin i wprowadzając w ruch jedne i te same koła, cylindry, pasy rzemienne, sprawi zawsze taki sam skutek. Ażeby zrozumiéć objawy wrażliwości protoplazmy, a mianowicie fakt, że bodziec zewnętrzny, niekiedy bardzo drobny, wywiera niejednokrotnie bardzo silne działanie, musimy koniecznie przyjąć, że w protoplazmie znajduje się systemat cząstek materyalnych, będących w stanie równowagi niestałéj i opatrzonych znacznym zapasem energii utajonéj. W systemacie takim najmniejszy bodziec zewnętrzny, udzielający się niektórym cząstkom, wprawia téż w ruch pozostałe i wyprowadza je z równowagi, przyczém uwalnia się energia utajona i jako żywa siła uzewnętrznia się pod postacią ruchu protoplazmy lub temu podobnego skutku. Jestto zupełnie analogiczne do faktu, że mały odłam skały, spadający na ogromną lawinę, może ją w ruch wprowadzić, lub że drobna iskra spowodować może olbrzymi wybuch prochu; w lawinie i w prochu znajdował się w utajeniu wielki zapas energii, który po nagłém wyprowadzeniu masy z pewnéj równowagi uwalnia się, czyli przeobraża w energię kinetyczną, objawiającą nam jako potężny czynnik.

Nie będziemy wchodzili w rozpatrywanie niektórych innych ogólnych przejawów wrażliwości, właściwéj tak najniższym szczeblom świata organicznego, jak i wyższym jego formom; przedmiot ten bowiem mieliśmy sposobność szczegółowiéj nieco rozebrać w rozprawce o „Zmysłach i wrażeniach zmysłowych“, wydrukowanéj w roku zeszłym w „Ateneum“.

W szkicu niniejszym ograniczymy się na kilku wyżéj rozpatrzonych, najprostszych przejawach życia, pominiemy natomiast inne, niemniéj ważne, ale wymagające zbyt obszernego rozbioru. Zwłaszcza

---

[1]) Porównaj rozprawkę: „Zmysły i wrażenia zmysłowe u zwierząt niższych“. „Ateneum“, zesz. wrześniowy, 1892.

dziedzina ciągłości protoplazmy, przechodzenia życia z pokolenia na pokolenie, wymagałaby nader obszernego traktowania. Pomijamy tę dziedzinę zjawisk życiowych i dlatego także, że w kilku poprzednich naszych szkicach biologicznych, w czasopiśmie niniejszém ogłoszonych, rozpatrzyliśmy stosunek najprostszych przejawów rozmnażania się u istot jednokomórkowych do téjże kategoryi zjawisk u organizmów wyższych, zwłaszcza zaś w rozprawce p. t. „Nowsze poglądy na życie organizmów“ (1885 r.) mieliśmy sposobność szczegółowiéj rozebrać ten przedmiot.

Dr. J. Nusbaum.





STAROFRANCUSKA POEZYA MIŁOSNA.



W owym czasie, kiedy Ludwik Niemiecki zaprzysięgał w Strasburgu (w marcu 842 r.) pomoc bratu Karolowi Łysemu, królowi Francyi, a wojsko Karola Łysego Ludwikowi Niemieckiemu, które to przysięgi najstarszym są zabytkiem języka francuskiego, nie różniła się jeszcze zbyt wielce północna Francya od południowéj. I tu i tam mówiono po romańsku czyli językiem, który się wytwarzał z gminnéj łaciny, wniesionéj do Galii przez kupców i żołnierzy rzymskich. W późniejszym dopiéro czasie rozszczepił się język romański (*lingua rustica Romana*) na dwa narzecza, zwane *langue d'oc* (*hoc*) i *langue d'oïl* (*hoc illud*). Tém mówiono w północnéj, tamtém w południowéj Francyi; granicę obudwóch tworzyła rzeka Ligera.

Najprzód w dźwięcznym języku prowansalskim, czyli *langue d'oc*, zaczęto nucić pieśni, sławiąc miłość, naturę i rycerskie czyny. Romantyczno-rycerski duch feudalnéj szlachty, bujna wyobraźnia mieszkańców południowéj Francyi, podsycana łagodnym klimatem i sąsiedztwem gór i morza, rozkosze zamożnéj a oświeconéj ludności— wszystko to przyśpieszyło rozkwit owéj *gaye science*, któréj hołdowano namiętnie. Poezyą trubadurów, pełną wdzięku, życia i pogody umysłu, uprawianą z tak wielkiém zamiłowaniem od XI do początku XIII wieku, stłumiły krwawe wojny Albigensów. Odtąd ucichły pieśni, ustały poetyczne igrzyska, zniknęły owe *corts d'amors*, na których szczęśliwi trubadurowie odbiérali nagrody z pięknych rąk niewieścich. Srogie okrzyki wojenne przytłumiły *la gaye science*, przywaliły ją gruzy zburzonych zamków szlacheckich.

Inny był rozwój północnéj Francyi. Tu germańskie najazdy więcéj śladów pozostawiły po sobie, niż na południu. Najprzód szorstki i dumny charakter Franków wycisnął swe piętno na języku, następnie normandzcy zdobywcy, przejmując język ujarzmionych i odmienny mu nieco nadając koloryt, rozpostarli panowanie jego szeroko, skutkiem swych dalekich wypraw i wielkich zdobyczy. W Anglii, w Neapolu, w Sycylii, w Portugalii, na brzegach Archipelagu i Ziemi Ś. rozbrzmiéwał język francuski w normandzkiém narzeczu. Równocześnie duch Normandów, dziwna mieszanina rozsądku i awanturniczéj śmiałości, ich sprężystość i zmysł polityczny, wpłynęły nie mało na ducha narodu francuskiego, wielkie epopeje czyli *chansons de geste*, jak *chanson de Roland*, *le roman de Rou* i inne, powstały w normandzkiém narzeczu.

Pod wpływem Normandów z jednéj, a Kościoła z drugiéj strony, wytworzyło się nowe społeczeństwo we Francyi, przejęte żądzą rycerskich czynów, wysoką czcią dla kobiét i religijnym zapałem. Wojny krzyżowe uzupełniły tę nową cywilizacyę we Francyi i zrodziły *chevaleryą*, podsyciły wyobraźnię i wywołały ogólny ruch umysłowy, który się objawił w całkiem świeżéj, rodziméj literaturze. Wtedy to poczęły się pojawiać owe *chansons de geste*, któremi ich twórcy t. z. truwerzy zachwycali mieszkańców starodawnych zamków lub zagrzéwali rycerstwo do boju, jak ów Taillefer przed bitwą pod Hastings, o którym wspomina *le roman de Rou*.

Taillefer, qui moult bien chantout sur un cheval qui tost alout, devant le duc alout chantant de Karlemaigne e de Rollant e d'Olivier e des vassals qui morurent en Rencevals [1]).	Taillefer, który przecudnie spiéwał, Na swym rączym kroczący rumaku, Przed księciem jadąc dumy śpiéwał O Karolu Wielkim, o Rolandzie, Oliwierze i wasalach mężnych Co zginęli — tam pod Roncewalem [2]).

Krom czynów Karola W., opiéwano także walki i przygody Aleksandra W. i króla Artura i jego paladynów. Ulubionym przedmiotem truwerów była także legenda o dyamentowéj misie (*saint Graal*), w którą Józef z Arymatei miał zebrać krew płynącą z krzyża Zbawiciela, a któréj cudowna siła spełniała wszystkie życzenia tych co na nią patrzyli [3]). Obfite w poetyczne sytuacye, odznaczają się owe *chansons de geste* rzadką śmiałością pomysłów, wzruszają prawdzi-

---

[1]) K. Bartsch: „Chrestomathie de l'ancien français“ Lipsk 1880, str. 121
[2]) Tłómaczenia wszystkich podanych w téj rozprawie pieśni i urywków najuprzejmiéj ułożyła wierszem J. W. Pani Teresa hrabina Wodzicka, za co jéj jaknajpiękniejsze składamy na tém miejscu podziękowanie. [3]) Kreyssig: „Geschichte der französischen Nationallitteratur.“ Berlin, 1879, str. 34.

wością uczuć i wiernie malują obyczaje i wyobrażenia ówczesnego, rycerskiego społeczeństwa.

Słynny *bon sens* francuski z przymieszką ironii i niepowściągliwéj wesołości przebija w innych utworach tego czasu, w t. z. *fabliaux*, w bajkach, satyrach i alegorycznych pieśniach.

Pośledniejsze miejsce zajmują lirycyne poezye XII i XIII wieku, owe pieśni *legieres a entendre*, jak je zowie Quenes de Betune [1]). Mimo to, są one zajmujące pod niejednym względem.

Początki lirycznéj poezyi we Francyi, odległych sięgają wieków. Było pono w XI wieku zwyczajem w Normandyi, że kobiéty urozmaicały poważne procesye kościelne wesołemi śpiéwkami. Wieść téż niesie, że św. Bernard młodzieńcem, układał miłosne piosenki, a sławny Abelard opiéwał piękność Heloizy w udatnych wierszach, prawdopodobnie francuskich, gdyż sama Heloiza szczyciła się, iż one to rozsławiły jéj imię [2]), Lecz dopiéro zetknięcie się mieszkańców północnéj Francyi z mieszkańcami Prowancyi w czasie wojen krzyżowych zapoznało truwerów ze sztuką trubadurów. I zaczęto uprawiać *la gaye science* w północnéj Francyi, naśladując południowe wzory prawie niewolniczo. Nietylko drobna szlachta, ale i wielcy panowie, ba, królowie nawet jęli wyléwać miłosne swe uczucia w wierszach, ubiegając się o zaszczytne miano truwera. Tych wolnych i niezawisłych poetów otaczano czcią wielką, a utwory ich śpiéwali t. z. *jongleurs* przy dźwiękach „wioli“ na zamkach książąt i rycerzy.

Owe wiersze miłosne układano w rozmaitych dyalektach. Skutkiem bowiem terytoryalnego rozbicia Francyi w średnich wiekach rozpadł się język francuski na kilka dyalektów, z których najważniejsze były: francuski (*Ile-de-France*), burgundzki, normandzki i pikardyjski. Dopiéro w końcu wieków średnich, dyalekt francuski, którym mówiono w stolicy i na dworze królewskim, wyparł inne i to w tym samym czasie, kiedy wielkie lenna zniknęły, a władza królewska rozpostarła się po całéj Francyi.

Język truwerów różni się téż wielce od nowożytnego języka francuskiego, ma bowiem deklinacye, końcówki słów, wyrażenia i zwroty, które już dawno poszły w zapomnienie. W szczegółach nie jest on jeszcze ustalony, tak np. trzecia osoba trybu idealnego od sło-

---

[1]) Scheler: „Trouvères belges.“ Bruxelles 1876, str. 15. [2]) Leroux de Lincy: „Recueil de chants historiques français.“ Paris 1841 str. 5.

wa *aller* brzmi: *voist*, *alge*, *auge*, *alget*, *alt*, *aut*, pierwsza osoba czasu teraźniego od słowa *vouloir: voil*, *vol*, *vueil*, *vuel*, *voeil*, *voill*, *voel*, *veul*, *veuil*, *veuill*, *veux*. Rzeczownik *dieu* takie ma formy: *deus*, *deux*, *deu*, *dieus*, *dieux*, *diu*, *dex*, *diex*, *dix*, *des*, *deo*. Pomimo to, starofrancuski język ma wielki urok, bo jest świéży, jędrny, niewymuszony.

Pieśni miłosne dzielą się na strofy, odgraniczone od siebie myślą i rymem. Po większéj części składają się one z trzech strof, z których każda ma odrębne rymy, albo téż co dwie, trzy lub więcéj strof połączone są w jedną całość myślą i rymem, ale tak, że w pieśni widoczny podział na trzy części. Wiersz jest przeważnie ośmio lub dziesięciozgłoskowy.

Że pieśni te śpiéwano, dowodzi kronikarz z St. Denis, który opowiada, że Teobalda, hrabiego Szampanii, a króla Nawary, bardzo mądrzy mężowie chwalili, iż się ćwiczył w pięknych dźwiękach wioli i w słodkich, rozkosznych pieśniach (*qu'il estudiasten biaus sons de vieille et en douls chans delitables*) [1]). Często nawet treść była rzeczą podrzędną, a że tajemnica melodyi truwerów zaginęła, przeto często bardzo trudno poezye ich należycie ocenić.

Co do formy, to tym *chansons d'amour* nic zarzucić nie można. Owszem, podziwiać trzeba zręczne, gładkie, melodyjne wiersze, ich mistrzowską budowę, ich bogaty, różnorodny rym, atoli liczne, starofrancuskie *lais*, *virelais*, *quatrains*, *triolets*, *rondeaux*, *aubades*, *chans royaux*, *motets*, *reveries i ballades* co do treści bardzo są do siebie podobne, a różnią się właściwie tylko budową wiersza. Starofrancuskich ballad zresztą nie należy mieszać z pieśniami ludowemi, jakim Anglicy tę nazwę nadali, a jakie Bürger i Schiller z takiém powodzeniem naśladowali. Są to pieśni miłosne, a składają się z trzech strof, każda po ośm wierszy, po których następuje zwykłe *envoi*, z czterech wierszy, streszczające główną myśl utworu.

W tych tedy pieśniach miłosnych jest *amors* (miłość) przedmiotem wyrzekań poetów.

Amors, per moult grant outraige m'ocïeis, ne sai por coi	Miłości, niesłusznym ciosem Zabijasz mnie — nie wiem czemu?

woła pewien zrozpaczony poeta.

Amors, trop me faites doloir!	Miłości! ja przez ciebie nadto cierpieć [muszę.

biada Blondel de Neele.

---

[1]) Kreyssig, 61.

Amors est plux debonaire
a l'autre gent
k'a moi ki les mals en sent.

Miłości! Tyś łaskawsza i słodsza ka-[ździemu
Niż mnie, co wszystkie twoje ponoszę ka-[tusze.

dodaje pewna dama.

Skargi rozbrzmiewają zewsząd.

Je parlerai molt miez que je ne sueil,
s'amors me laist qui trop me meine [orgueil.

Mówiłbym stokroć lepiéj, niźli zwykłem,
Gdyby nie zbytnia duma méj miłości.

mówi Teobald, król Nawary.

Que siens est, en sa poësté,
merci doit crier francement

Temu, kto uległ i jest jéj własnością,
Tylko o łaskę jéj żebrać przystoi. —

zapewnia Gaces Brulez, przyjaciel króla Nawary. A sławny Châtelain de Coucy tak się wyraża w jednéj z swych pieśni:

Se j'avoie le sens k'ot Salemons,
si me feroit amors por fol tenir;
car tant est fors et cruëx sa prisons,
k'ele me fait assaier et sentir.

Gdybym posiadał rozum Salomona,
Rzekłbym, że kochać to jest rzecz sza-[lona,
Tak srogi ucisk miłosnéj niewoli
W sercu mi ciąży i dręczy i boli.

Rzadko kto tak jest zadowolony z tego tyrańskiego *amors'a*, jak autor pogodnego *lais dou chievrefuel*, zapewne Tristan, wielbiciel pięknéj królowéj Izoldy, który uradowany wzajemnością bogini serca woła z rozkoszą:

Je ne quier maix plux de tous les biens!

Już nie pożądam nic więcéj na ziemi!

Pomimo cierpień nie mogą się kochankowie otrząść z twardego jarzma miłości.

Et se vos ser sens decevoïr

A jednak wiernie ci służę —“

wzdycha Blondel de Neele.

Ne pour doloir ne laist de lui partir.

Mimo bólu nie puszcza od siebie.

wyrzeka król Teobald.

D'amor ki m'a tolu a moi
n'a soi ne me veut retenir,
me plain ge si q'ades otroi
que de moi face son plaisir.

Miłość mnie sobie samemu wyrwała,
Lecz na swą własność zatrzymać nie [raczy,
A ja choć płaczę, dozwalam w rozpaczy,
By z sercem mojém bezmyślnie igrała —

powiada Crestïen de Troies, autor sławnych romansów *Parceval, Li chevaliers au lyon Li contes del Graal* i innych.

W téjże saméj pieśni tak przemawia poeta do serca swego:

Cuers, se ma dame ne m'a chier,	Choć cię twa Pani od siebie odtrąca,
ja por ce ne t'en partiras;	O serce moje! ty się nie odwrócisz,
toz jors soies en son dangier,	Zawsze poddane — nigdy jéj nie rzu- [cisz
puis k'enpris et comencié l'as.	I jak zaczęłoś, tak wytrwasz do końca.

Z rezygnacyą wyraża się także Châtelain de Coucy:

J'ai amé longuement en perdons	Kochałem ciebie długo, nadarmo ko- [chałem
et amerai tos jors sens repentir,	I nigdy nie żałując — zawsze kochać [będę.

Taki sam heroizm miłości przebija się w słowach Adans'a de la Halle:

De che que vous m'avés fait endurer	Gdyby kto inny zniósł od ciebie tyle,
vëist on tost autrui desesperer;	Jużby od dawna odszedł zrozpaczony,
mais ja pour che n'i penserai folage.	Lecz ja niewiernym nie będę na chwilę.
Ne mon cuer n'en puis retraire	Od niéj się serce moje oderwać nie [zdoła,
ne d'autrui joie n'atent.	A szczęścia znikąd więcéj nie czekam do- [koła —

woła smutnie nieznana dama.

Nieszczęśliwi kochankowie pocieszają się wszechwładnością *amors*'a. Tak mówi król Teobald:

Sens et honor ne puet nus maintenir,	Czci i rozwagi zachować nikt nie zdoła,
s'il n'a en soi senti les maus d'amer.	Kto nie czuł w sobie miłości mąk.

Adans de la Halle przytakuje mu słowy:

Voirs est c'amours toute valour ataint	Zaprawdę, miłość wielkie czyny rodzi,
et par li sont furni tuit vasselage —	Z jéj łona dzielność i męstwo pochodzi.

Dlatego trzeba cierpliwie czekać i cierpiéć, jeśli się nagrodę otrzymać pragnie; tém słodszém będzie to, co się zyska. Tak się wyrażają Colin Muset, Adans de la Halle i Crestïen de Troies. Ale są téż tacy, co się obawiają, aby czekanie nieszczęsném się dla nich nie stało. Blondel de Nelle zapewnia, że umrze, jeśli jego dama jeszcze dłużéj czekać mu każe, a Colin Muset, który na jedném miejscu zaleca cierpliwość, mówi na drugiém, że umrze, jeśli nie otrzyma wkrótce tego, czego pragnie.

Każdy się chełpi, że bardziéj kocha niż ktokolwiek inny, bardziéj nawet niż Tristan.

Ains del beveraje ne bui
dont Trìstans fu enpoisonez,
car plus me fait amer que lui
fins cuers et bone volontez.

Nigdy me usta z tēj czary nie piły,
Z któréj Tristana otruto napojem,
Lecz wierność uczuć i woli wznieciły
Większe kochanie w biedném sercu mo-
[jém —

mówi Crestïen de Troies. W ten sam sposób wyraża się inny poeta:

C'onques Tristans, cil qui but le be-
[vrage
plus loiaument n'ama.

Tristan, co napój miłosny kosztował,
Więcéj odemnie nigdy nie miłował.

Myśl ta powtarza się prawie w każdéj pieśni. Również przesadnie wystawiają pieśniarze wdzięki swych ukochanych, w czém wszystkich prześciga król Teobald, który w ten sposób sławi swą bogdankę:

Tous esbahis m'oubli en sospirant
ou dex trova si estrange biauté;
quant il la mist ça jus entre le gent,
moult nos en fist grant deboneresté,
trestot le mont en a enluminé.

Stałem zdumiony, bez tchu, pytający,
Gdzie Bóg mógł naraz znaleść wdzięków
[tyle,
Gdzie postać tak dziwnie krasną?
O! dobrze zrządził nasz Bóg wszech-
[mogący,
Że między ludzi zesłał ją na chwilę,
Bo całéj ziemi zrobiło się jasno."

Ową „*estrange biauté*" była podobno królowa Bianka, matka św. Ludwika. „Hrabia — opowiada naiwnie kronika z St. Denis — patrzał na królowę, która tak była piękna i rozumna, i całkiem był jéj pięknością olśniony. I rzekł: Zaprawdę, pani, moje serce, moje ciało i cała moja ziemia jest do waszych usług."

Prawdą jest, że Teobald, który podczas małoletności św. Ludwika łączył się po trzykroć z przywódzcami możnowładzców przeciwko regencyi, po trzykroć zdradził swych sojuszników, nie mogąc się oprzéć miłości, jaką do pięknéj królowéj-wdowy rozgorzał. Późniéj stał się pobożnym i ruszył 1239 r. do Ziemi św., gdzie jednak nie więcéj wawrzynów zebrał, jak w awanturniczych przedsięwzięciach swéj burzliwéj młodości. Natomiast jednogłośnie oddają współcześni pochwały jego poetycznym i muzykalnym zdolnościom."

„*La grande biauté*" dam onieśmielała w ich przytomności poetów. Ten zapomina, patrząc na królowę serca swego, co chciał powiedziéć, ów nie śmié, jak młoda dziewczyna, podnieść oczu; inny żży-

ma się na siebie samego, że się niezręcznym i zakłopotanym wobec swéj damy okazał, a Colin Muset wyznaje, że nie ośmielił się nawet prosić swéj damy o wzajemność, co zresztą nic dziwnego, bo nie był on znacznym rycerzem, lecz zwyczajnym menestrelem, a dama, którą uwielbiał, książęcego rodu.

Pieśni miłosne obfitują w skargi na zazdrosnych, na *„anïeuse gent“*, *„la male gent ombrage.“* Już, już—wyrzeka prawie każdy poeta—byłby bliskim celu, gdyby mu zazdrość nie stanęła w drodze; niechaj Bóg skarze zazdrosnych! Gaces Brulez układa nawet z zemsty bardzo swawolny wiersz, który kończy słowy:

Or pri a tous les vrais amans,	Dziś proszę wszystkich kochanków praw-[dziwych,
ceste chanson voisent chantant	By szli po świecie śpiewać tę piosenkę
ens despit des medisans	Na złość obmówcom i na wieczną mękę
et des mavais maris jalos.	Mężów zazdrosnych, złośliwych.“

Oziębłość pięknych *„douce riens“*, „słodkich nic“, jak pieszczotliwie nieszczęśliwi kochankowie zowią swe damy, wywołuje wyrzuty. Tak skarży się Châtelain de Coucy:

Tant con fu miens, ne me fist se bien non;	Dopókim jeszcze należał do siebie,
mais or sui senz, si m'ocit sanz raison.	Było mi u niéj rozkosznie jak w niebie,
	A dziś gdy do niéj należę jedynéj,
	Depce mi serce bez żadnéj przyczyny.

Inny biada, że nic nie znaczą wszelkie zalety, skoro się nie jest bogatym:

Nuns ne puet avoir amie,	Wzajemności nie posiędzie,
se sa borse ne deslie.	Kto sakiewki nie dobędzie.

Ale ów *amors*, który zabija (*ocit*) grzecznych kochanków (*cortois ameor*), okazuje się w pieśniach truwerów niekiedy wcale nie platonicznéj natury. Adans de la Halle zadawalnia się jedném spojrzeniem swéj damy, ale Blondel de Neele, który zapewnia, że pierwszy pocałunek jest raną miłości w ciele, już pragnie drugiego pocałunku; Colin Muset jeszcze daléj się posuwa, wyrażając niepohamowaną chęć uściskania swéj *„bone duchesse“*, inni złorzeczą dniowi, który ich rozdziela od ukochanych, a Châtelain de Coucy i król Teobald w taki nawet sposób objawiają swe pragnienia, że ich powtórzyć niepodobna.

Zmysłowa miłość, która się w tych pieśniach przebija, okazuje się jeszcze jaskrawiéj w równoczesnych *romances* i *pastourelles*, jak np.

w *Belle Ysabiaus* truwera Audefroi le Bastart. Piękna Ysabiaus kocha Gerarta, lecz rodzice zmuszają ją oddać rękę innemu. W poczuciu obowiązku, pragnąc zerwać stosunek z Gerartem, prosi go, aby miłości swéj zaniechał. Zrozpaczony Gerart postanawia iść z Krzyżowcami do Palestyny, aby tam wśród walk z niewiernymi zapomnieć o swéj niedoli. Przed odjazdem spotyka Ysabiaus samą w ogrodzie i tu następuje nader czuła scena pożegnania, podczas któréj oboje mdleją. W tém nadchodzi mąż, a sądząc, że żona i Gerart odebrali sobie życie, umiéra nagle z przerażenia. Tymczasem tamci przychodzą do siebie, zmarłemu wspaniały wyprawiają pogrzéb, a po nim sobie wesele.

Te same myśli, te same prawie zwroty w pieśniach miłosnych sprawiają, że, skoro ich się kilka po sobie przeczyta, zdaje się, jakoby jeden truwer kopiował drugiego. Zresztą nic prawdziwszego nad orzeczenie Gaces Brulez'a, który powiada, że większa część opiewała miłość „*par esfors et desloiaument*“, z wysiłkiem i nieszczerze. Nie stosuje się to do pieśni rycerza de Coucy, w których widać prawdziwe, niekłamane uczucie. Dzieje tego bohatéra zawarte są w sławnym *Roman du Châtelein de Coucy et de la dame de Fayel.* Kocha on namiętnie panią de Fayel; to mu szczęście sprzyja, to znów rozmaite zapory stają mu w drodze. Po wielu przygodach idzie za morze walczyć z Saracenami i okrywa się wielką sławą. Wreszcie ugodzony na śmierć zatrutą strzałą, poleca giermkowi serce swe zanieść pani de Fayel ze słowy:

Siens fu dès que la connui,	Jéj było, odkąd ją poznałem,
c'est drois qu'adès remainque a lui.	Więc słuszna, aby jéj zawsze pozostało.

Giermek spełnia życzenie nieszczęśliwego rycerza i powraca z jego sercem do Francyi, ale tam popada w moc rycerza de Fayel, który, mszcząc się jak Atreusz, upieczone serce rywala daje do spożycia żonie. Gdy się ta dowiaduje, co w niewiadomości popełniła, postanawia ust, które tak szlachetnéj potrawy skosztowały, nie kalać żadném podlejszém pożywieniem i tak życiu swemu kładzie koniec.

Siłą i prawdą uczucia, a naturalnym wdziękiem języka odznaczają się miłosne pieśni, jakiemi przeplatany jest prześliczny *fabliau* p. t. *Aucassin et Nicolete.* Treść jego następująca:

Aucassin, dorodny i waleczny syn hrabiego Garina, kocha Nikoletę, piękną wychowankę wicehrabiego de Beaucaire. Rodzice nie chcą na związek jego z Nikoletą zezwolić, bo nic ona nie posiada krom cnoty i urody. Wicehrabia kupił ją był od arabskich korsarzy

i z litości ją wychował. Gdy wszelkie przedstawienia okazują się daremnemi, stary hrabia grozi, że każe spalić Nikoletę jako czarownicę. Wtedy wicehrabia, by ją uratować, a nie ściągnąć na siebie gniewu swego pana zwierzchniego, zamyka Nikoletę w wieży. Taki sam los spotyka jéj kochanka ze strony ojca jego. Ale Nikoleta ucieka z więzienia, a przechodząc około wieży, w któréj jęczy Aucassin, żegna go czule i chroni się do wielkiego, ciemnego lasu. Zaledwie odzyskawszy wolność, dosiada Aucassin konia i szuka wszędzie swéj „*douce amie*“. Oboje różne przebywają niebezpieczeństwa, aż nareszcie spotykają się i po wielu jeszcze przygodach dostępują celu swych życzeń. Pełen uroczéj naiwności jest ustęp, w którym Aucassin opiewa uzdrowienie pewnego pielgrzyma przez Nikoletę.

Nicolete, flors de lis,	Nikoleto, kwiateczku liliowy!
douce amie o le cler vis,	Luba moja o jasném obliczu!
plus es douce que roisins	Słodsza niźli sok winogradowy,
ne que soupe en maserin.	Niźli w czaszy chłodząca polewka!
l'autrier vi un pelerin,	Toż niedawno widziałem pielgrzyma,
nés estoit de Limosin,	W Limozynie ten pielgrzym zrodzony,
malades de l'esvertin;	Był on wielką chorobą złożony,
si gisoit ens en un lit,	Bólem do swéj przykuty pościeli.
mout par estoit entrepris,	Leżał smutny i cierpiał tam siła,
de grant mal amaladis:	Bo go ciężka choroba zwaliła.
tu passas devant son lit,	Ty raz przeszłaś przed jego posłaniem
si soulevas ton traïn	I podniosłaś kraj długiéj swéj szaty
et ton peliçon ermin,	I twój płaszcz gronostajem bogaty
la cemisse de blanc lin,	I gzło ze lnu białego utkane,
tant que ta ganbete vit.	Tak że nóżkę twą ujrzał ten chory...
garis fu li pelerins	Ujrzał nóżkę i poczuł się zdrowym,
et tos sains, ainc ne fu si;	Jako nigdy nie był do téj pory,
si se leva de son lit,	Tak że łoże boleści porzucił
si rala en son païs,	I do kraju swojego powrócił,
sains et saus et tos garis.	Ze wszech bólów naraz wyleczony.

Gdy się znaleźli w ciemnym lesie, pyta się Nikoleta:

Aucassin, biax amis dox,	O Aucasinie! piękny, słodki, miły!
En que tère irons nous?	W jakąż krainę pójdziemy pospołu?

Na co odpowiada Aucassin:

Douce amie, que sai-jou?	O miła moja! Cóż ja wiedzieć mogę?
moi ne caut ù nous aillons	Póki mam ciebie, nie pytam o drogę,
en forest u en destors,	Czy będziem w pustkach, czy w borach [błądzili,
mais que je soie aveuc vous.	Nie dbam—byleśmy razem z sobą byli.

Inny charakter mają pieśni Quenes de Betune'a, jednego z najznakomitszych truwerów. Przodek ten sławnego księcia Sully urodził się około połowy XII wieku. Starszy brat jego, Wilhelm, był *avoué* (*advocatus*), t. j. protektorem, obrońcą dziedzicznego miasta Betune. Zaszczytną tę i ważną godność piastował zawsze najstarszy z rodu, obowiązkiem zaś jego było bronić praw i świeckich posiadłości osiadłego w mieście i okolicy duchowieństwa [1]). Inny Betune, imieniem Robert, *avoué* miasta Arras, pielgrzymując do Jerozolimy, umarł w r. 1248 w Sardynii.

Quenes de Betune często przebywał na dworze króla Filipa Augusta, jako też na dworze Henryka I-go, hrabiego Szampanii, który chętnie gromadził około siebie truwerów i menestrelów. Był zaś Quenes de Betune nietylko dzielnym rycerzem, *bons chevaliers*, ale także mądrym i biegłym w mowie mężem, *moult sages et bien emparlez*, jak o nim mówi Geoffroi de Villehardouin, autor sławnego dzieła: *La Conqueste de Constantinople.*

W r. 1189 wybrał się Betune z królem Filipem Augustem do Palestyny. Gdy jednak tenże, powadziwszy się z Ryszardem Lwie Serce, nagle opuścił Ziemię św., Betune, przyłączywszy się do orszaku jego, powrócił do ojczyzny. Zarzucano królowi i jego towarzyszom zdradę sprawy Bożéj. Hues d'Oissy, mistrz Betune'a w sztuce rymotwórstwa, szydził nawet z niego w ostréj satyrze, iż zagrzewał był do wyprawy, a sam nie wytrwał do końca [2]). Wkrótce jednak okazał Betune, jak niesłuszne czyniono mu zarzuty.

Dnia bowiem 23 lutego 1200 r., w sam Popielec, przypiął znak krzyża wraz z bratem swoim Wilhelmem, idąc w ślady zwierzchnika swego Baldwina hrabiego Flandryi. Jako poseł tegoż udał się niebawem z Alardem Maquereau do Wenecyi w towarzystwie Villehardouin'a i Milon'a le Brabant, posłów Teobalda hrabiego Szampanii, oraz Jana de Friaise i Gautiera de Gaudouville, posłów Ludwika hrabiego de Blois i Chartres. Uzyskawszy pomoc Wenecyan, wyruszył na czwartą wyprawę krzyżową, uczestniczył w zdobyciu Zary i popłynął potém z krzyżowcami pod Konstantynopol. Tu występując jako główny mówca krzyżowców, dał w imieniu rycerstwa i doży weneckiego dumną odprawę posłowi cesarza Aleksego, który wezwał był krzyżowców do ustąpienia z pod murów stolicy państwa greckiego. A gdy osadzony na tronie przez krzyżowców nowy cesarz Aleksy,

---

1) „Histoire littéraire de la France." Paris, MDCCCXXXV. T. XVIII, 385.
2) Tamże, 845.

bratanek tamtego, nie dotrzymał im obietnic, wysłało rycerstwo Betune'a, Villehardouin'a i Milon'a le Brabant z trzema posłami weneckimi do Konstantynopola. „I wsiedli—opowiada Villehardouin [1]) — na konie posłowie z mieczami u boku i jechali do pałacu Blanquerne. A wiedzcie, że w wielkie podawali się niebezpieczeństwo i w wielką przygodę, zważywszy wiarołomstwo Greków. I zsiedli z koni przy bramie i weszli do pałacu i zastali cesarza Aleksego i ojca tegoż Izaaka, siedzących na dwóch tronach obok siebie. A w pobliżu siedziała cesarzowa, która była małżonką ojca, a macochą syna, a była siostrą króla węgierskiego, piękna pani i dobra. A wkoło nich mnóstwo było znacznych osób i snać był to dwór bogatego władcy. Z polecenia innych posłów zabrał głos Conon de Betune, który był bardzo roztropny i w mowie biegły, i rzekł: „Panie, przybyliśmy do ciebie z polecenia baronów, wojska i doży weneckiego. A wiedz, że przywodzą ci na pamięć wielką przysługę, jaką ci oddali, jak to wszem wiadomo i jasno. Tyś im przysiągł, ty i ojciec twój, dotrzymać układu, jakiś z nimi zawarł, i mają twoje listy. Nie dotrzymałeś go, jakożeś powinien. Kilkakrotnie cię upominali, i my cię upominamy w ich imieniu wobec wszystkich twoich baronów, abyś im dotrzymał układu, jakiście ze sobą zawarli. Jeśli to uczynisz, bardzo im to będzie po myśli, a jeśli nie uczynisz, to wiédz, że cię w przyszłości ani za pana, ani za przyjaciela uważać nie będą, lecz postarają się wszelkiemi sposoby dojść praw swoich. A każą ci powiedzieć, że nie uczynią nic złego ani tobie, ani komu innemu bez poprzedniego wyzwania, gdyż nigdy się zdrady nie dopuścili i w kraju ich nie jest zwyczajem jéj się dopuszczać. Dobrze słyszałeś, co ci powiedzieliśmy; czyń, co ci się podoba.“ Grecy uważali to wyzwanie, jako dziw wielki i wielką zniewagę, i mówili, że nigdy nikt tak nie był śmiały, aby się odważył rzucić rękawicę cesarzowi Konstantynopola w jego własnym pałacu. Cesarz Aleksy bardzo złe oblicze okazał posłom i wszyscy Grecy także, którzy przedtém nieraz przychylne okazywali. Hałas się wszczął tam bardzo wielki, a posłowie odeszli i przyszli do bramy i siedli na konie. A gdy byli za bramą, nie było ani jednego pomiędzy nimi, coby się nie radował. I nie dziw, bo wielkiego uszli niebezpieczeństwa i omało, że nie zostali zabici lub wzięci w niewolę.“

Niebawem zatknął Betune jeden z pierwszych chorągiew krzyżowców na murach zdobytego Konstantynopola. Późniéj dowodził

[1]) „La Conqueste de Constantinople.“ Ed. Natalis de Vailly. Paris, 1872, str. 144.

[2]) France lit., XVIII, 848.

załogą zamku Blanquerne, a pod nieobecność nowego cesarza Baldwina, miał sobie poleconą straż całego miasta. Gdy zaś wybuchło nieporozumienie pomiędzy cesarzem Baldwinem a margrabią Montferratu, załagodził spór Betune, jako rozjemca, wraz z Villhardouinem, dożą weneckim i hrabią de Blois. Walczył potém przeciwko Teodorowi Laskarisowi, a za cesarza Henryka był namiestnikiem w Adryanopolu. Od tegoż cesarza posłował do hrabiego de Blans-Dras, który z Lombardami po śmierci margrabiego Montferratu bronił cesarzowi wstępu do Solunu. Zręcznością dokazał tego, że otworzono bramy miasta Henrykowi. Gdy zaś ów hrabia dopuścił się zdrady, pochwycił go Betune i jako jeńca przyprowadził cesarzowi.

W r. 1224 dokonał Betune żywota, co wynika z następujących słów kronikarza-poety, Filipa Mouskes:

„La terre fu pis c'est an (1224)
car li vieus Quesnes estoit mors.“

Czytając opis czynów Betune'a, skreślony mistrzowską ręką jego towarzysza broni Villehardouin'a, niktby nie przypuszczał, że ten szorstki, w żelazo zakuty rycerz, co się przed żadném nie wzdrygał niebezpieczeństwem, miał serce tkliwe i poetyczną duszę i umiał równie zręcznie władać piórem, jak mieczem. Wiersze jego, pełne siły i męskości, okazują, jak zaznacza Noel [1]), że był zarazem *actor rerum et orator verborum.*

Oto jedna z pieśni jego:

Mout me semont amours que je m'en-[voise,	Miłość do śpiewu budzi mnie i nęci,
quand je plus doi de chanter estre cois.	Gdym winien milczéć i w cieniu pozo-[stać,
mais j'ai plus grant talent que je me [coise,	Boć i do pieśni odbiegły mnie chęci,
por çou j'ai mais mon chanter en defois	Gdy śpiewem ludziom nie zdołam już [sprostać.
que mon langage ont blasmé li François	Francuzom nucić nie mogę do woli:
et mes chançons, oiant les Champenois	Ganią me pieśni, iż obca w nich mowa;
et la contesse, encor dont plus me poise.	Wśród Szampańczyków złe wyrzekli [słowa —
	I przed Hrabiną... co najmocniéj boli.
La roïne ne fist pas ke curtoise,	Czyliż przystało i saméj królowéj,
qui me reprist, elle et ses fius li rois;	By z młodym królem w licznym dwo-[rzan tłumie,

[1]) Auguste Noel: „Histoire abrégée de la langue et de la littérature française.“ Paris, 1874, p. 64.

encor ne soit ma parole françoise,
si la puet on bien entendre en françois.

ne cil ne sont bien apris ne cortois

qui m'ont repris, se j'ai dit mot d'Artois,
car je ne fui norriz a Pontoise.

Dex, que ferai? dirai li mon corage?
irai je li dont c'amor demander?
oïl, par deu, car tel sont li usage
qu'on ne puet mais sans demant rien
[trover.
et se je sui outrageus del rover
ne s'en doit pas ma dame a moi irer,
mais vers amors que me font dire ou-
[trage.

O pieśni mojéj sąd rzekła surowy?
Wszak każdy Francuz mój język zro-
[zumié,
Więc nie jest pięknie, by skargi zawo-
[dził,
Gdy wtrącę słówko Artezyjskiéj mowy,
Jam ci się przecie w Pontoise nie rodził!

Boże! cóż czynić? Czyliż się odważę
Wprost o jéj miłość najdroższą poprosić?
Przebóg, poproszę! Boć i zwyczaj każe,
Pragnąc co dostać, wprzód prośbę za-
[nosić.
A jeśli serce zbyt śmiałym mnie czyni,
Niech pani moja, skoro ją obrażę,
Nie mnie biednego—ale miłość wini.

Podnioślejszego, poważniejszego nastroju jest piękna pieśń z roku 1189, wzywająca Francuzów do podjęcia wyprawy krzyżowéj. Przytaczamy dwie pierwsze jéj zwrotki [1]), w których Betune mówi o swéj miłości.

Ahi, amours, com dure departie
me convendra faire de la meillour
ki onques fust amee ne servie!
dex me ramaint a li par sa douçour
si voirement que m'en part a dolour.
las, qu'ai je dit? ja ne m'ent part je mie.
se li cors vait servir nostre seignour
li cuers remaint del tout en sa baillie.

Pour li m'en vois souspirant en Surie,
car je ne doi faillir mon crëatour.
qui li faudra a cest besoing d'aïe
sachiez que il li faudra a greignour.
et sachent bien li grant et li menour
que la doit on faire chevalerie
u on conquiert paradis et honour
et pris et los et l'amour de s'amie.

Miłość moja! jakżeż się rozstanę
Z najlepszą, wyższą nad wszystkie istoty,
Jakie wżdy były czczone i kochane?
Niech Bóg się mojéj zlituje tęsknoty
I tak połączy, jako dziś rozdziela! —
Alež co mówię? Nic nas nie rozłączy:
Choć służba Boża w dal ciało me woła,
W sercu moc twoja nigdy się nie skoń-
[czy.
Więc tęskny płynę w brzegi Palestyny,
Gdzie méj pomocy wzywa Bóg na niebie,
Gdyż nikt téj służbie nie chybi bez winy
I Bóg go w cięższéj opuści potrzebie.
A niech wié dobrze i wielki i mały,
Iż tam rycerskie winien spełnić śluby,
Gdzie zdobyć może i niebo i chwałę
I dzięk i sławę i miłość swéj lubéj.

Co nas przedewszystkiém uderza w utworach Betune'a, to szczerość uczucia. Nie ma tam przesady, jaką grzeszą tak często współcześni poeci. Betune wypowiada myśl swoją bez ogródki. W pierwszéj pieśni, pisanéj około 1180 r. w dyalekcie francuskim (*Ile-de-*

---

[1]) Cały ten wiersz znajduje się w rozprawie mojéj. „Quenes de Betune i dwie jego pieśni“, drukowanéj w r. 1885.

France) wyrzuca złośliwie królowéj Alicyi, wdowie po Ludwiku VII, i synowi jéj, królowi Filipowi Augustowi, brak grzeczności, ponieważ go zganili, iż artezyjskim mówił dyalektem, i to w obecności księżniczki francuskiéj Maryi, wdowy po Henryku I-ym, hrabi Szampanii, o któréj względy się podówczas ubiegał [1]. Ton sarkastyczny pierwszych dwóch zwrotek przypomina uszczypliwość ówczesnych *fabliaux* lub *sirventes*, czyli satyrycznych utworów trubadurów prowansalskich. W owym czasie wszystkie myśli, uczucia, wypadki bądź prywatnéj, bądź ogólnéj natury, znajdowały oddźwięk w poezyi, która była wyrazem opinii publicznéj, zastępując niejako dziennikarstwo. Służyła ona nieraz, jak to w obecnym wypadku widzimy, do dogodzenia osobistéj niechęci, do pomszczenia się za doznaną krzywdę.

Trzecia zwrotka różni się zupełnie od poprzedzających. Tu już poeta całkiem uderza w miłosną strunę. „*Dex, que ferai? Dirai li mon corage?*“ — woła zmieszany niefortunném swojém wystąpieniem na dworze francuskim, wahając się, czy wyznać swą miłość hrabinie Szampanii lub nie; wreszcie odważa się na ten krok stanowczy, bo „*on ne puet mais sans demant rien trover.*“

Dodać należy, że owa dama, ku któréj nieustraszony w boju „*bons chevaliers*“ z taką nieśmiałością wznosił oczy, a która wzbudziła w nim pierwsza chęć do wyprawy krzyżowéj, co wynika z pieśni Betune'a, zaczynającéj się od słów: „*Bele doce dame chiere*“ [2], nie okazała mu się wdzięczną za jego miłość i poświęcenie.

Zawiedziony przez nią, mścił się Betune na niéj i na całéj płci żeńskiéj, puszczając w obieg sarkastyczne wiersze. Tak np. odzywa się w jednéj pieśni do swéj niewiernéj kochanki:

Ne mais pour vous N'averai mes ex plourous; Vous estes de l'abeïe As soufraitous, Si ne vous nomerai mie.“	Nigdy dla ciebie me oko Łzami nie zajdzie, ni z łona Skarga nie ozwie się pusta. Tyś z nędznych, które szeroko Wszystkim roztworzą ramiona: O twém imieniu zapomną me usta.“

O całéj zaś płci pięknéj tak pisze:

Mainte en i a çainte d'une corroie	Niejedna kibić zbroi w przepaski rze-[mienne,
Qui lor amis ne font fors de guiller;	Ale serce ma słabe, dla przyjaciół zmien-[ne:

[1]) Scheler: „Trouvères belges“, 278. W zbiorze swym umieścił Scheler 14 pieśni Betune'a. — [2]) Tamże.

Cestui voelent et a cestui s'otroient,
Celui tienent, cestui laissent aller.

. . . .

Fous est et gars cui a dame se torne
Qu'en lor amor n'a point d'afirment;
Quant la dame se cointoie et atorne,
C'est por faire son povre ami dolent;
La joie en a li riches faus qui ment,
Et a povre se fait eschive et morne.
Por ce di je qu'amors ne vaut nïent,
De nïent vient et a nïent retorne.

Temu łaski swe sypie, a za innym wzdy-
[cha;
Jednych trzyma i nęci, a drugich od-
[pycha.

. . . .

O szalony i głupi, kto ku pięknéj damie,
Stałości w jéj kochaniu szukając, się
[zwróci,
Czy się piękna wystroi, czy rączki za-
[łamie,
Nieszczęsny jéj kochanek tylko się za-
[smuci,
Gdyż biednemu się chłodném milczeniem
[odpłaca,
A radość ma z niéj bogacz, co jéj miłość
[kłamie;
Miłość przeto jest niczém — ma nicości
[znamię,
Z nicości cię poczyna i w nicość po-
[wraca.

Pożałował jednak Betune, że w zgryźliwości i rozdrażnieniu potępił wszystkie damy. Więc w innéj pieśni starał się uniewinnić z tego temi słowy:

Pour une qu'en ai haïe
Ai dit as autres folie
Com irous.

Gdy jednę znienawidziłem,
Naraz wszystkiemi wzgardziłem
W mym wielkim gniewie.

Przyczyną téj zmiany usposobienia była *nouvelle amour* i do niéj to odnosi się wstęp owéj pięknéj pieśni krzyżowéj z r. 1189, poczynającéj się od słów:

Ahi, amours, com dure departie.

Miłości moja! jakżeż się rozstanę.

Pieśń ta, którą, jak się wyżéj rzekło, przypominał późniéj z przekąsem Hues d'Oissy Betune'owi, zażywała niemałéj wziętości w swoim czasie i niejednego może rycerza pobudziła do uczestniczenia w trzeciéj wojnie krzyżowéj, gdyż wrażliwy umysł francuskiego rycerstwa łatwo ulegał urokowi i potędze poezyi.

Słowa: „*Pour li m'en vois souspirant en Surie*“ przywodzą na myśl głęboki smutek, z jakim słynny przyjaciel, powiernik i biograf św. Ludwika, Jehan de Joinville, udając się do Ziemi św., żegnał się z dwojgiem ukochanych dziatek i ze swym „*biau chastel*“.

W celu więc przypodobania się pani serca swego „*pour li*“ (dla niéj) wybiera się Betune ówczesnym obyczajem na Wschód, by rycer-

skiemi czynami w walce z pohańcami stać się godnym jéj miłości. Wzajemność ubóstwianéj kobiéty ceniono tak wysoko, że dla niéj podejmował rycerz dalekie wyprawy, dla niéj rzucał się w największe niebezpieczeństwa i z myślą o niéj ginął na dalekim Wschodzie.

Wypada nam wspomniéć jeszcze o dwóch poetach, którzy w gronie starofrancuskich pieśniarzy miłosnych pierwszorzędne zajmują miejsce. Są nimi Jan Froissart i książę Karol Orleański. Prawdziwi to synowie Francyi, niefrasobliwi, pogodnego umysłu, rycerscy, a przytém tak wytwornego smaku i tak gorących uczuć, jakie w XV w. rzadko się znachodzą. Froissart, urodzony w Valenciennes 1337 r., wstąpił, wbrew swym skłonnościom, na życzenie ojca, do stanu duchownego. Święcenia kapłańskie jednak nie przeszkadzały mu składać hołdów pewnéj, wysokie stanowisko w społeczeństwie zajmującéj damie. Skoro się jednak dowiedział, że owa dama w małżeńskie zamyśla wstąpić związki, rozchorował się ze zmartwienia, a odzyskawszy po trzech miesiącach zdrowie, udał się do Anglii, gdzie go królowa Filipina, żona Edwarda III-go, bardzo uprzejmie przyjęła. Odtąd wiódł aż do śmierci (umarł jako kanonik w Chimay 1410 r.) wesołe, bardzo ruchliwe życie, zwiedzając dwory i zamki królów, książąt i rycerzy, nie opuszczając żadnéj większéj uroczystości, żadnego znaczniejszego turnieju, chętnie w wesołém przebywając towarzystwie, wedle okoliczności odprawiając mszę lub układając wiersze, a pomimo licznych rozrywek, pracując bezustannie nad olbrzymią historyą swego czasu, która mu większą zjednała sławę, niż wszystkie jego miłosne pieśni. Otóż kilka jego udatnych *rondeaux:*

1.

Le corps s'en va, mès le coer vous de-
[meure.
Très chiere dame, adieu jusqu'au retour!
Trop me sera lointainne la demeure.

Le corps s'en va, mès le coer vous de-
[meure.
Très chiere dame, adieu jusqu'au retour.

Mès doulc penser, que j'aurai à toute
[heure,
Adoucera grant part de ma dolour.

1.

Odjeżdżam, lecz me serce przy tobie
[zostanie.
Pani moja! bądź zdrowa do mego po-
[wrotu!
Tęsknêm mi będzie w dali od ciebie mie-
[szkanie.

Odjeżdżam, lecz me serce przy tobie zo-
[stanie.
Pani moja! bądź zdrowa do mego po-
[wrotu!

Słodka myśl każdéj chwili osłodzi roz-
[stanie.

Le corps s'en va, mès le coer vous de-[meure,
Très chiere dame, adieu jusqu'au retour!

Odjeżdżam, lecz me serce przy tobie zo-[stanie,
Pani moja! bądź zdrowa do mego po-[wrotu!

2.

Mon doulc ami, adieu jusqu'au revoir,
Qui bien briefment devers moi vous ra-[mainne,
De vous ferai loyalment mon devoir.
Mon doulc ami, adieu jusqu'au revoir.
Qui bien briefment devers moi vous ra-[mainne;
Si souhaiter pouvait estre veoir,
Vous me verriez trente fois la semaine;
Mais puisqu'ainsi il n'est dans mon pou-[voir,
Mon doulc ami, adieu jusqu'au revoir,
Qui bien briefment devers moi vous ra-[mainne!

2.

Luby! bądź zdrów do chwili naszego [widzenia!
Bodaj ta chwila prędko wróciła mi cie-[bie!
Wiernie i święcie spełnię dane przyrze-[czenia.
Luby! bądź zdrów do chwili naszego [widzenia!
Bodaj ta chwila prędko wróciła mi cie-[bie!
Gdyby chcąc cię oglądać starczyło ży-[czenia,
Trzydzieści razy w tydzień widziałabym [ciebie,
Lecz bezsilne tylko podnoszę westchnie-[nia,
Luby! bądź zdrów do chwili naszego [widzenia!
Bodaj ta chwila prędko wróciła mi cie-[bie!

3.

Amours, amours, que volès de moi faire!
En vous ne puis veoir riens de seür,
Je ne cognois ne vous ne vostre afaire,
Amours, amours, que volès de moi faire!
En vous ne puis veoir riens de seür.
Lequel vault mieulz: pryer, parler ou [taire?
Dittes le moi, qui avés bon eür.
Amours, amours, que volès de moi faire!

3.

O miłości, miłości! Cóż uczynisz ze mną?
Mój wzrok w tobie zaufać, ni spocząć [nie może,
Zdajesz mi się nieznaną, a sprawa twa [ciemną,
O miłości, miłości! Cóż uczynisz ze mną?
Mój wzrok w tobie zaufać, ni spocząć [nie może!
Błagać, mówić, lub milczéć — cóż lepiéj [pomoże?
Was pytam, którzy szczęścia znacie nić [tajemną!
O miłości, miłości! Cóż uczynisz ze mną?

Duchem pokrewny Froissartowi jest książę Karol Orleański, ostatni i najsławniejszy ze wszystkich truwerów francuskich. Syn słynnéj z urody i wykształcenia Walentyny Visconti z Medyolanu i nieszczęśliwego Ludwika ks. Orleańskiego, brata Karola VI-go, którego Jan, książę burgundzki, w r. 1407, zamordować kazał, odziedziczył Karol po swéj włoskiéj matce owo poczucie piękna, jakiém odznaczają się po większéj części mieszkańcy klasycznéj Italii. Miał

on dopiéro lat 16, gdy tragiczny zgon ojca włożył na niego obowiązek pomszczenia go na potężnym przeciwniku i postawił go na czele jednego z dwóch stronnictw, które ubiegały się wówczas we Francyi o władzę. Pozorna zgoda, która stanęła w Chartres w obecności króla, powstrzymała tylko na krótko wybuch wojny domowéj. Karol, utraciwszy po trzyletniém pożyciu żonę, Izabelę, księżniczkę francuską a wdowę po Ryszardzie II-im, królu angielskim, ożenił się z Boną, córką możnego hrabiego Bernarda d'Armagnac, zaciętego wroga Burgundów. Wojna domowa jeszcze szarpała kraj, gdy Henryk V, król angielski, wpadł do Francyi. Dnia 25 października 1415 roku uległo pod Azincourt rycerstwo francuskie Anglikom. Karol Orleański, który mężnie się potykał, dostał się ciężko ranny do niewoli. Odtąd upłynęło lat 25, nim za pomocą Filipa, księcia burgundzkiego, syna śmiertelnego przeciwnika, wolność odzyskał. Już od r. 1416-go wdowcem, utwierdził zgodę z domem burgundzkim, pojmując za żonę Maryą księżniczkę Klewii, siostrzenicę ks. Filipa, która mu porodziła syna, — późniejszego króla Francyi Ludwika XII-go, zwanego „*le père du peuple.*"

Podczas długiéj niewoli polubił Karol poezyę i zaczął ją uprawiać z zamiłowaniem. I po odzyskaniu wolności chętnie jéj się oddawał na zamku Blois, gdzie gromadził około siebie poetów stanu rycerskiego. Wiersze jego nadzwyczaj harmonijne, zachwycają delikatnością uczucia i wytwornością języka. Prawda, że książęcy truwer niezupełnie wolny od wpływu subtelnéj i alegorycznéj szkoły, któréj kodeksem był niesmaczny *Roman de la Rose* Wilhelma de Lorris, ale umié on, jak zaznacza trafnie Kreyssig, nosić z wdziękiem konwencyonalny kostyum. Dowodem tego dwie następujące balady:

1.

En la forest d'ennuyeuse tristesse
un jour m'avint qu'a par moy cheminoye;
si rencontray c'amoureuse deesse
qui m'appella, demandant ou j'aloye.
je respondy que par fortune estoye
mis en exil en ce bois, long temps a,
et qu'a bon droit appeller me povoye.
l'omme esgaré qui ne scet ou il va.

En sousrïant par sa tres grant humblesse
me respondy'amy, se je savoye
pourquoy tu es mis en ceste destresse,
a mon povoir voulentiers t'ayderoye,

1.

Przez lasy żalów, przez nudów pustynie
Szedłem samotny, zbolały i smutny,
Aż raz spotkałem miłości boginię.
Wołała na mnie pytając—gdzie idę?
A ja odparłem, iż mnie los okrutny
Oddawna wygnał w te dzikie bezdroża,
Żem jest jak człowiek, co bezmyślnie [krąży
I zabłąkany sam nie wié, gdzie dąży.

Na to bogini z uśmiechem łaskawym
Odrzekła: Słuchaj! jeśli wiedzieć mogę,
Co cię pogrąża w udręczeniu łzawym,
Wiele sił starczy, wesprę i wspomogę.

car ja pieça je mis ton cueur en voye
de tout plaisir, ne sçay qui l'en osta.

or me des plaist qu'a present je te voye

l'omme esgaré qui ne scet ou il va.

Helas, dis je, souverainne princesse,

mon fait savez: pour quoy le vous di-
[roye?
c'est par la mort qui fait a tous rudesse.

qui m'a tollu celle que tant amoye,
en qui estoit tout l'espoir que j'avoye,
qui me guidoit, si bien m'acompaigna

en son vivant que point ne me trouvoye

l'omme esgaré qui ne scet ou il va.

Aveugle suy, no sçay ou aler doye:
de mon baston, affin que me forvoye,
je vais tastant, mon chemin ça et la,
c'est graut pitiè qu'il convient que je
[soye
l'omme esgarè qui ne scet ou il va.

2.

Trop long temps vous voy sommeillier,
Mon cueur, en dueil et desplaisir;
Vueilliez vous, ce jour, esveillier,
Alons au bois le May cueillir,
Pour la coustume maintenir.
Nons orrons des oyseaulx le glay
Dont ilz font les bois retentir,
Ce premier jour du mois de May.

Le Dieu d'Amours est coustumier,
A ce jour, de feste tenir,
Pour amoureux cueurs festier
Qui desirent de le servir;
Pource, fait les arbres couvrir
De fleurs, et les champs de vert gay,
Pour la feste plus embellir.
Ce premier jour du mois de May.

Bien sçay, mon cueur, que faulx Dangier
Vous fait mainte paine souffrir;
Car il vous fait trop eslonguer
Celle qui est vostre desir.

Sama cię niegdyś przywiodłam na drogę
Wszelkich radości — któż cię z niéj od-
[wrócił?
Czemuż dziś jesteś jak człek, który
[krąży
I zabłąkany sam nie wié, gdzie dąży?

Niestety! rzekłem — wszechwładna bo-
[gini!
Nacóż mam mówić—toć sprawa ci znaną!

To śmierć, co wszystkim gwałt okrutny
[czyni,

I mnie wydarła istotę kochaną,
Co mi nadzieją była i świetlaną
Dróg przewodniczką w téj życia pu-
[styni.
Przy niéj nie byłem, jak człek, który
[krąży
I zabłąkany sam nie wié, gdzie dąży!

A dziś — jam ślepy i trafić nie mogę
I nie dbam dokąd — tylko kijem drogę
Przed sobą szukam w tę lub owę stronę...
Biada mi, biada! że tak smutny krążę

I zabłąkany sam nie wiem, gdzie dążę!

2.

O serce! dosyć już tobie
W ponuréj drzémać żałobie,
Zbudź się! Pójdziemy do gaju
Rwać świéże gałązki Maju,
Jak uczy obyczaj stary.
Tam ptasząt posłyszym gwary,
Brzmiące po gąszczach dąbrowy
W ten pierwszy ranek majowy.

Wszak gody w ten dzień radosny
Zwykł sprawiać bożek miłosny,
By czułe sług swoich serce
Uraczył, jako przystoi.
Więc drzewa w kwiaty im stroi,
Łąki w zieleni kobierce,
Chce świat mieć w szacie godowéj
W ten pierwszy ranek majowy.

Wiem, serce, iż próżne trwogi
I żale obudzasz we mnie,
Gdy się oddalasz daremnie
Od lubéj mojéj niebogi,

Pour tant vous fault esbat querir;
Mieux conseillier je ne vous sçay
Pour vostre douleur amendir.
Ce premier jour du mois de May.

Envoi.

Ma Dame, mon seul souvenir,
En cent jours n'auraye loisir
De vous raconter, tout au vray,
Le mal qui tient mon cueur martir,
Ce premier jour du mois de May.

Dziś słuchaj dobrėj przestrogi:
Ból w duszy kojąc tajemnie,
Idź pląsać w świėże dąbrowy
W ten pierwszy ranek majowy.

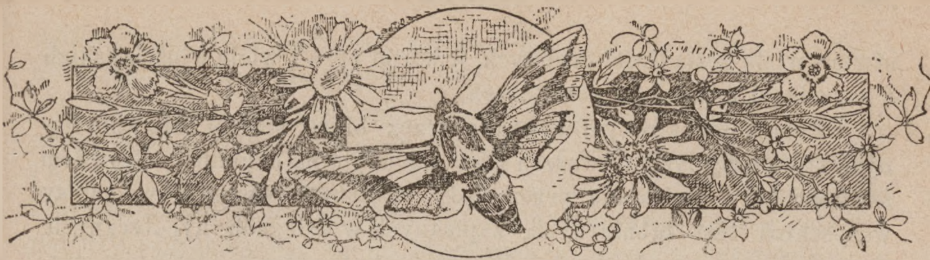
Przesyłka.

Pani moja i myśli jedyna!
Czémże dla mnie jest jedna godzina?
Dni by trzeba mi strawić tysiące,
By wyrazić uczucia gorące
I żar mojėj męczarni sercowėj
W ten najpierwszy poranek majowy.

Z Karolem Orleańskim kończy się średniowieczna rycerska poezya miłości. Upadek jéj sprowadziły długie wojny pomiędzy Francyą a Anglią, wewnętrzne niepokoje, powolne zamieranie romantyczno-rycerskiego ducha i dokonywające się w ciągu XIV wieku tak zupełne przeobrażenie starego języka truwerów, że Francuzi naszych czasów bez słownika już go zrozumiéć nie mogą.

Dr. Stanisław Karwowski.





Własność ziemska w Galicyi.

Prof. Dr. Tadeusza Pilata „Własność tabularna w Galicyi“ („Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych. Tom XII“).

Szóstą to już z kolei pracę swoją poświęca lwowskie biuro statystyki krajowéj stosunkom rolnym Galicyi. W roczniku VII-ym „Wiadomości“ przez biuro wydanych znajdowały się gruntowne i sumienne studya, mogące być wzorem wszelkich badań statystycznych w téj dziedzinie, z których jedno — d-ra Kleczyńskiego, dotyczyło specyalnie stosunków włościańskich, drugie — p. Kazimierza Hempla — większéj własności ziemskiéj. Oprócz tego oddzielne tomy wydawnictwa poświęcone były kwestyom poszczególnym, jak np. Rozdrobnieniu własności ziemskiéj (Tom X, 1), Podziałom gruntów według rodzajów uprawy (VI, 2 i IX, 2), Licytacyom sądowym posiadłości włościańskich (I, 2; VI, 1; VIII, 3), Własności gmin (I, 1). Obecnie wreszcie w tomie XII-ym „Wiadomości“ umieścił prof. dr. Tadeusz Pilat pracę poświęconą specyalnie tak zwanéj własności tabularnéj. Treść i główne dane w niéj zawarte pokrótce przejrzymy.

Własnością „tabularną“ zowią się dobra i posiadłości ziemskie zapisane w tabuli krajowéj galicyjskiéj i w nowych księgach hypotecznych, w myśl ustawy krajowéj z 20 marca 1874 r. Jest to dawna własność dominialna, a według tutejszéj terminologii odpowiada naszéj własności dworskiéj. Przeważną jéj część stanowią więc dobra szlacheckie, folwarki. Wszakże termina te synonimami nie są: własność tabularna obejmuje bowiem (jak i własność dworska w Króle-

stwie) wiele posiadłości drobnych, a wśród tych i wiele włościańskich z parcelacyi folwarków powstałych.

Zastosowany w tym wypadku przez biuro sposób zbierania danych statystycznych ze wszech miar zasługuje na uznanie. Główném źródłem były nadesłane przez sądy obwodowe szczegółowe spisy wszystkich ciał tabularnych, zapisanych w księgach hypotecznych, przez sądy te prowadzonych. Wszakże nie poprzestając na tém, rozsyłano trzykrotnie do wszystkich właścicieli dóbr tabularnych drukowane formularze, obejmujące rubryki następujące: obszar, podział według rodzajów uprawy, podatki, ilość zakładów przemysłowych i t. d., zaś brakujące dane zbiérane były przez urzędników biura statystycznego, specyalnie w tym celu delegowanych do urzędów powiatowych i geometrów ewidencyjnych, przyczem delegowani kontrolować mogli materyał dostarczony przez samych właścicieli. Podobny sposób zbiérania materyałów statystycznych powinnaby naśladować nasza statystyka urzędowa, oparta dotąd wyłącznie na wykazach, sporządzanych przez wójtów i pisarzy gminnych.

Profesor Pilat wyjaśnia we wstępie stanowisko prawne, jakie zajmuje obecnie w Galicyi własność tabularna w porównaniu z innemi kategoryami posiadłości rolnych. Prawo własności, ograniczone aż do roku 1848 wyłącznie do osób, należących do krajowego stanu magnatów i szlachty lub do mieszczaństwa stołecznego m. Lwowa. — patentem cesarskim z 4 marca 1849 r. rozszerzoném zostało na wszystkich obywateli państwa. Wprawdzie już rozporządzenie 2 października 1853 r. wznawia dawne ograniczenia, dotyczące żydów, wyłączając ich od prawa nabywania i posiadania dóbr tabularnych; lecz w r. 1860 zrównano z chrześcianami przedewszystkiém żydów, którzy ukończyli niższe szkoły gimnazyalne, handlowe, rolnicze lub posiadają stopień oficerski, zaś w roku 1867 (ustawa zasadnicza o prawach powszechnych obywateli z dnia 21 grudnia) upadły i inne ograniczenia. Odtąd téż w prawie własności co do ziemi panuje swoboda bezwzględna, gdyż wspomniana ustawa zniosła jednocześnie wszelkie przepisy, ograniczające wolność obrotu, podzielność, prawo sprzedaży części dóbr tabularnych i t. d.

Pod wielu względami wszakże własność tabularna zachowuje dotąd stanowisko wyodrębnione i jéj tylko właściwe. Tak, przedewszystkiém, nie należy ona do związku gminy, tworząc odrębne ciało administracyjne, współrzędne z gminą i bezpośrednio urzędowi powiatowemu podlegające, w którém zwierzchność stanowi sam posiadacz lub wyznaczony przezeń zastępca. Wyjątek w tym względzie stanowią drobne posiadłości tabularne (opłacające mniéj 25 zł. r. po-

datków rządowych realnych), które na mocy ustawy 1888 r. wcielono do związku gmin miejscowych.

Następnie, w organizacyi wyborczéj stanowi własność tabularna grupę osobną, wybiera oddzielnie posłów na sejm krajowy (44 na 151) i deputowanych do rady państwa (20 na 63). W prawie szkolném i drogowém ponosi ona ciężary i opłaty unormowane inaczéj, niż dla gruntów rustykalnych; ma np. obowiązek wydawania potrzebnego do budowy i utrzymania dróg gminnych materyału drewnianego, zaś do wydatków na szkoły obszar dworski przyczynia się w jednéj trzeciéj części tego, do czego byłby obowiązany należąc do gminy.

Z całego obszaru Galicyi, wynoszącego 13,640,646 morgów, zajmuje własność tabularna 5,362,245, czyli 39,31% całéj powierzchni kraju. Pozostały obszar obejmuje własność gmin miejskich i wiejskich, własność 15-tu miast największych, wreszcie wody i drogi publiczne.

W porównaniu z dawnemi danemi spostrzedz się daje pewne zmniejszenie obszaru własności tabularnéj. W r. 1866 wynosiła ona mianowicie 5,773,009 morgów, czyli 43,35% całéj powierzchni. Zmniejszenie przypisać należy w części zamianie służebności, za które po koniec czerwca 1890 r. własność tabularna oddała tytułem wynagrodzenia 161,893 morgów lasu i 115,395 innych gruntów, czyli razem 277,283 morgów. Dalsza różnica pochodzi z przyłączenia pewnéj części gruntów do związku gmin, jak to już wyżéj zaznaczyliśmy.

Tylko w dziesięciu powiatach sądowych własność tabularna stanowi więcéj niż połowę obszaru ogólnego, a mianowicie w powiatach: Dolina, Lutowiska, Nadworna, Rożniatów, Delatyn, Łopatów, Busk, Rozwadów, Mosty Wielkie i Potok Złoty. Są to wszystko okolice leśne i słabo zaludnione.

Natomiast w 138 powiatach, czyli w przeszło $^3/_4$ ich liczby ogólnéj, własność tabularna stanowi od 30 do 40% obszaru ogólnego, a w 35-ciu wynosi mniéj 30%. Wogóle w zachodniéj części kraju obszar względny własności tabularnéj jest mniejszy, niż we wschodniéj: nie znajdujemy tu powiatów z przewagą téj kategoryi własności, a natomiast mieszczą się tu powiaty, w których jest ona stosunkowo najmniéj rozległą, jak: Czarny Dunajec (12,84%), Muszyna (15,34%), Jordanów (17,71%), Biecz (17,71%), Grybów (18,13%), Myślenice (18,23%).

Co do oddzielnych rodzajów gruntów, to do własności tabularnéj należą niemal w całości stawy i moczary (92% ich ogólnéj przestrzeni); z ogólnego obszaru lasów na własność tabularną przypada 83,53%, czyli 2,937,398 i tylko w niektórych powiatach górskich, w zachod-

niéj części kraju, znaleść można znaczniejsze przestrzenie leśne w posiadaniu właścicieli nietabularnych. Tylko w ośmiu powiatach z pośród 177-miu własność tabularna posiada mniéj, niż połowę ogólnéj przestrzeni leśnéj powiatu.

Natomiast co do innych rodzajów gruntu własność tabularna ustępuje przed innemi. Tak, co do gruntów ornych w żadnym powiecie własność tabularna nie posiada połowy całéj ich przestrzeni, tylko w dziesięciu powiatach przenosi 40% (*maximum* — 46,67% w powiecie Żabno i 44,35% w pow. Kołomyja), w dwudziestu pięciu przenosi 33%. Natomiast w 57 powiatach własność tabularna posiada mniéj niż piątą część całéj przestrzeni gruntów ornych, w 26 powiatach mniéj 10%, spadając np. do 1% (w powiatach Kuty, Peczeniżyn), 0,74% (Kossów), lub 0,65% (Czarny Dunajec).

Z ogólnéj przestrzeni ogrodów posiada własność tabularna zaledwie 14,49%; łąk—22,54%, pastwisk — 16,54%, nieużytków — 14,24%, gruntów pod budynkami—16,93%.

Widzimy więc, że z wyjątkiem lasów i stawów we wszelkich innych rodzajach gruntów własność tabularna ustępuje innym kategoryom posiadłości rolnych, a przedewszystkiem włościańskim.

Zobaczmy teraz, jak się dzieli cały ten obszar własności tabularnéj według rodzajów gruntów.

Z ogólnéj przestrzeni przypada na:

lasy	2,937,398	czyli	54,78%
role	1,723,046	„	32,13%
ogrody	27,669	„	0,52%
łąki	343,156	„	6,40%
pastwiska . . .	213,782	„	3,99%
stawy i moczary .	50,329	„	0,94%
nieużytki . . .	53,235	„	0,99%
pod budynkami .	13,625	„	0,25%
	5,362,240		100,00

Znaczny więc stosunek przestrzeni leśnych, natomiast mała ilość łąk—taką jest krótka charakterystyka własności wielkiéj w Galicyi. W niektórych powiatach lasy zajmują cały prawie obszar własności tabularnéj (w powiecie kosowskim — 95,72%, w powiatach Milówka, Dolina, Kuty, Czarny Dunajec, Bolechów, Delatyn, Sołotwina — ponad 90%); w 57-miu powiatach lasy stanowią ponad 60% całego obszaru własności tabularnéj. Tylko w powiatach podolskich, wraz z częścią Pokucia, oraz w okolicach Krakowa, przewagę nad innemi rodzajami gruntów posiadają role (Kosowa—77,46%. Nowe Sioło—76,53%), lecz za to w dwudziestu powiatach stanowią one mniéj niż 10% całego

obszaru. Łąk stosunkowo najwięcéj (*maximum* 41% w powiecie Łąka) znajdujemy w powiatach położonych w dolinie Dniestru, w których także najwięcéj jest pastwisk.

W porównaniu z dawniejszemi danemi o podziale gruntów okazuje się powiększenie obszaru ról, które w przeciągu okresu trzydziestoletniego wzrosły o 138,196, czyli o 8,72% pierwotnéj przestrzeni. Natomiast obszar lasów zmniejszył się o 352,662, czyli o 10,72%, co wszakże, oprócz wycięcia, tłómaczyć należy także oddaniem części lasów włościanom za wykupione służebności.

Niezmiernie ciekawemi są dane, zawarte w dalszym ciągu w tablicach profesora Pilata, o podziale własności tabularnéj pomiędzy różne kategorye właścicieli. Znaczna jéj część jest naprzód własnością publiczną, a mianowicie: dobra państwowe, dobra funduszu religijnego, dotacye biskupstw, kościołów i klasztorów, majątki tabularne gmin, wreszcie posiadłości różnych fundacyi i zakładów dobra publicznego, szkół i zakładów dobroczynnych. W szczególności posiada w Galicyi państwo 384,057 morgów (6,42% całéj własności tabularnéj), w czém jest lasów 361,446 (t. j. 10,28% wszystkich lasów kraju). Własność ta w ciągu ostatniego stulecia zmniejszyła się znacznie przez sprzedaż dóbr koronnych kolonistom niemieckim i innym właścicielom prywatnym. Według danych urzędowych od r. 1800 do 1880 rząd sprzedał z dóbr koronnych 843,043 morgów, a oprócz tego oddano włościanom za służebności 42,602 morgi. Pierwotna rozległość dóbr państwowych musiała więc wynosić około 1,269,709 morgów.

Obecnie własność państwa zwiększy się znowu, gdyż na kupno gruntów ma być użyte wynagrodzenie, jakie przypadnie skarbowi z powodu przeniesienia na kraj prawa propinacyjnego.

Dobra funduszu religijnego wynoszą obecnie 26,945 morgów; i ta kategorya własności uległa zmniejszeniu we wspomnianym peryodzie 1800 — 1870 r. wskutek sprzedaży osobom prywatnym 53,502 morgów.

Do dóbr państwowych należy wreszcie 136 morgów parcel, nabytych ostatniemi czasy przez rząd pod zakłady kontumacyjne w Brodach i Okopach, oraz dla fortów i innych celów wojskowych.

Własność duchowieństwa składa w Galicyi 368 ciał tabularnych rozległości 218,995 morgów, z czego niemal połowa przypada na uposażenie pięciu stolic arcybiskupich i biskupich (107,493), w czém znowu najwięcéj posiada metropolia grecko-katolicka we Lwowie (64,800 morgów), gdy biskupstwo krakowskie ma w ziemi zaledwie 134 morgi.

Posiadłości tabularne klasztorów wynoszą 65,070 morgów, z czego najwięcéj przypada na zakon dominikański (26,132).

Dobra fundacyjne obejmują 80,246 morgów, a w tém fundacya Stanisława hr. Skarbka dla zakładu sierot i starców w Drohowyżu — 58,228 morgów, i zakład narodowy imienia Ossolińskich 8,594 morgi.

Wreszcie, wszystkie prawie gminy w Galicyi oprócz gruntów użytku publicznego (placów, dróg i t. d.), posiadają często lasy i pastwiska wspólne. Jakkolwiek część przeważna tych posiadłości jest wyłączona z własności tabularnéj, wchodzą do niéj jednak grunta, do których przywiązane były prawa dominikalne, tudzież majątki, lub części takowych, nabyte przez gminy w ostatnich czasach. Tak np. do miasta Lwowa należy szereg wsi okalających miasto, rozległości ogólnéj 7,824 morgów; siedm gmin z dawnego klucza Czarny-Dunajec, nabyło z gruntów tabularnych 5,646 morgów i t. d. Ogółem posiadają w Galicyi gminy 30,569 morgów gruntów tabularnych.

Kategorye wyżéj wyszczególnione stanowią razem własność publiczną, rozległości ogólnéj 740,949 morgów, t. j. 13,79% całego obszaru własności tabularnéj kraju. Przeważa ona ponad własnością prywatną w kilku powiatach, jak w kosowskim (92,86%), dolińskim (73,81%), kałuskim (65,65%), bocheńskim (50,53%); w szczególności zaś własność duchowieństwa jest dość znaczna w powiecie krakowskim (25,11% całego obszaru własności tabularnéj), lwowskim (24,23%), dolińskim (23,60%); własność fundacyi w powiecie kosowskim (23,07%) i t. d.

Pozostała część własności tabularnéj są to więc już dobra prywatne w ścisłém tego słowa znaczeniu. Wśród nich wyodrębnia jeszcze prof. Pilat, jako grupę oddzielną, posiadłość spółek i banków, oraz dobra ordynackie i fidei-komisowe. Pierwsze wynoszą razem 167,955, z czego część największa należy do „*Allgemeine oesterreichische Bodencreditanstalt*“ (144,748 morgów) i do gwarectwa Jaworznickiego (10,532 morgów). Z dawnych ordynacyi polskich, których było cztery (Zamojskich, datująca od 1589 roku i późniejsze Radziwiłów, Sułkowskich i Myszkowskich), tylko pierwsza weszła w części w granice państwa austryackiego. Natomiast już w ostatniém stuleciu powstało w Galicyi dziewięć nowych fideikomisów (Potockich, Mieroszowskich, Lubomirskich, Borkowskich, Baworowskich, Gołuchowskich, Siemieńskich, Czarkowskich, Stadionów). Obejmują one razem 68,466 morgów, a najrozleglejszą jest łańcucka Potockich (14,000 morgów).

W kategoryi własności prywatnéj wyróżniają się wreszcie po-

siadłości członków domu cesarskiego (państwo żywieckie, arcyksięcia Albrechta — 79,967 morgów i dobra Izdebnickie arcyksięcia Reinera — 5.000 morgów) pozostałą zaś przestrzeń stanowią już dobra i folwarki szlacheckie w ścisłém tego słowa znaczeniu. Po potrąceniu z ogólnéj przestrzeni własności tabularnéj, podanéj na str. XIV tekstu (Cyfra podana w tablicy XII, str. 63, jest nieco odmienną—5,371,269 morgów), wszystkich wyżéj wyszczególnionych kategoryi dóbr publicznych, posiadłości spółek, fideikomisów, oraz także posiadłości prywatnych, obejmujących poniżéj 200 morgów, których do kategoryi folwarków zaliczać nie można, — około 4,222,000 morgów. Taka téż jest obecnie rozległość ogólna dóbr szlacheckich w Galicyi.

Przechodząc do podziału własności tabularnéj według wielkości posiadłości pojedyńczych, znajdujemy w Galicyi:

posiadłości ponad 10,000	morgów	45	z obszarem	1,187,811
„ od 5 do 10,000	„	102	„	689,405
„ od 1 do 5,000	„	910	„	1,735,099
„ od 200 do 1,000	„	1,531	„	794,248
„ od 100 do 200	„	345	„	53,352
„ od 50 do 100	„	191	„	14,236
.. od 25 do 50	„	115	„	4.226
„ poniżéj 25	„	1,113	„	6,142;

układając zaś cyfry powyższe w grupy znaczniejsze, otrzymamy na posiadłość największą, przenoszącą 5,000 morgów — 2,657,786, na wielką — od 1,000 do 5,000 morgów — 1,795,644, średnią od 200 do 1,000 morgów—831,959, małą do 200 morgów—85,878. Wśród własności tabularnéj więc przeważają, jak widzimy, dobra wielkie, o rozległości przenoszącéj 5,000 morgów.

W dalszym ciągu pracy prof. Pilata znajdujemy ciekawe dane o ilości żydów wśród właścicieli tabularnych i rozległości posiadanéj przez nich przestrzeni.

Jak już wspominaliśmy wyżéj, z wydaniem w r. 1867 ustawy zasadniczéj o powszechnych prawach obywateli, upadły ostatnie ograniczenia, dotyczące nabywania dóbr ziemskich przez żydów. Odtąd téż w Galicyi szybko wzrastać poczyna własność ziemska żydów i dziś wśród własności tabularnéj stanowi już ona 11,01%, czyli 591,693 morgów, zaś wśród własności prywatnéj 13,26%. Stosunek ten jest nawet większym od stosunku ludności żydowskiéj do ogółu, który wynosi 11,69%. Są powiaty, w których żydzi posiadają więcéj, niż połowę całego obszaru tabularnego (63,77%), w pięciu powiatach mają więcéj niż część piątą, a w 18-tu więcéj niż dziesiątą całéj prze-

strzeni. Tylko w dwóch powiatach (żywieckim i kosowskim) właścicieli tabularnych żydów nie ma dotąd wcale.

Jeżeli porównać własność żydów nie z całym obszarem własności tabularnéj lecz tylko z własnością prywatną, to okaże się w niektórych powiatach przewaga własności żydowskiéj, dochodząca do 84% (p. doliński), 68% (p. stryjski) i t. d.

Co do liczby właścicieli, stosunki są następujące: ogólna liczba właścicieli tabularnych, licząc każdego raz jeden bez względu na ilość posiadanych majątków i okolicę, w któréj leżą, wynosi 4,493. Z liczby téj posiadających obszary mniejsze od 200 morgów jest 1775; pozostaje więc jako właściwa liczba właścicieli dóbr — 2,718, a w tém publicznych — 130, prywatnych — 2,588. Otóż wśród ostatnich żydzi stanowią 14,2%, a mianowicie 322 żydów przy 2,266 chrześcianach. W niektórych powiatach żydzi stanowią część czwartą i więcéj liczby ogólnéj właścicieli, jak np. w powiatach: Podhajce (chrześcian 30, żydów 11), Lisko (74 i 22), Stryj (31 i 11), Skałat (35 i 10), Brody (39 i 11), Sanok (41 i 11). Wreszcie wśród właścicieli posiadłości, obejmujących mniéj niż 200 morgów, liczy prof. Pilat żydów 255 czyli 14,01% ogólnéj ich ilości. Razem więc we własności tabularnéj jest żydów właścicieli 557 czyli 13,06% liczby ogólnéj.

Na podstawie cyfr powyższych ułożyć możemy następujący przybliżony podział własności ziemskiéj w Galicyi:

przestrzeń ogólna: 13,640,646 morgów:

1. Własność publiczna około 1,594,000	wody, drogi i. t. d.		około	272,000
	państwo		„	411,138
	duchowieństwo		„	218,995
	fundacye		„	81,296
	włas. gmin	tabularna	„	30,596
		nietabularna	„	580,000
2. Własność wielka około 4,544,000	spółki i banki		„	167,955
	ordynacye		„	68,466
	książęta austryaccy		„	84,967
	folwarki w tem	żydzi	„	591,693
		chrześcianie	„	3,630,000
3. Własność drobna około 7,500,000 morgów	miasta		„	123,159
	włościanie i inni	tabularna	„	77,956
		nietabularna	„	7,300,000

Dokładna suma wypadłaby nam nieco większą od wykazanéj na początku, gdyż co do niektórych pozycyi ścisłych cyfr nie posiadamy. Zauważmy przytém, że obszar właściwych folwarków szlacheckich,

który według poprzedniego rachunku oznaczyliśmy na 4,222,000, zmniejszyliśmy o całą rozległość własności tabularnéj, znajdującéj się w posiadaniu żydów, jakkolwiek część téj ostatniéj przypada na własność tabularną poniżéj 200 m., którą więc do kategoryi własności drobnéj należałoby właściwie zaliczyć. Odnośnéj cyfry wszakże nie znaleźliśmy u profesora Pilata.

W grupach ogólnych zajmuje więc własność publiczna 11,7% całéj przestrzeni Galicyi, własność wielka 33,3% i drobna 54,9%. W szczególności zaś posiada państwo 3,1%; miasta 0,9%; drobni właściciele 54,1%; żydzi (tylko właściciele tabularni) 4,3%; wreszcie właściwe folwarki 26,9% całéj powierzchni Galicyi.

Ograniczając swoją pracę niniejszą wyłącznie do własności tabularnéj prof. Pilat w ogólnych tylko zarysach charakteryzuje przy końcu podział ogólny własności ziemskiéj w Galicyi. Na podstawie dat dawniéj zbieranych i pośrednio podział ten wyjaśniających (badania nad rozdrobnieniem własności ziemskiéj, wyniki regulacyi katastru z r. 1882, ankieta w sprawie położenia ekonomicznego włościan i t. d.) dochodzi on do wniosku, że wśród pozostałéj, — nietabularnéj własności ziemskiéj panuje rozdrobnienie znaczne, a obszar 7,380,000 morgów, przypadający na nią w całości, podzielony jest na posiadłodłości po kilka i kilkanaście morgów obejmujące. Więcéj niż połowę ogólnéj powierzchni kraju zajmują więc posiadłości kilko lub kilkunasto morgowe; przy znacznéj zaś rozległości dóbr wielkich drobna tylko stosunkowo część pozostaje na posiadłości kategoryi pośredniéj, — co niekorzystnie charakteryzuje układ ogólny stosunków rolnych Galicyi.

Zamknąć musimy na tém nasze krótkie sprawozdanie z pracy profesora Pilata, pomijając z żalem wiele ciekawych dat i szczegółów, które zwłaszcza ze względu na wzorowy sposób zbiérania materyału,— rzecz w statystyce najtrudniejsza, — posiadają znaczenie doniosłe dla poznania stosunków rolnych w Galicyi . Wypada nam po nie odesłać czytelników do saméj książki.

A. Zakrzewski.





SZCZĘŚLIWY.

I.

Jasny, cichy, ciepły wieczór kwietniowy.

Z rozdartego pługami łona ziemi wznoszą się płodne, podniecające wyziewy; falami powietrza płyną prądy nieświadome a potężne.

Fijołki pierwszą woń ziemi ślą w niebiosa a z darni pożółkłéj, ledwo gdzie niegdzie świeżém źdźbłem umajonéj, szeroko rozwarte oczy stokroci, ciekawe jak młodość, patrzą na piękny świat Boży. Nabrzmiałe pączki znaczą wydatnemi sęczkami nagie drzew gałęzie; już gdzieś bocian klekocze na gnieździe, — już żabka po śnie zimowym odzywa się nieśmiało.

Wiosna śpiéwa cudną, zawsze nową, choć wiecznie jednaką pieśń nieśmiertelną; śmieje się nadzieją, tchnie weselem, w organizmy sączy balsam wszechożywczy a do serc młodych szepce zagadkowe, urocze jakieś słowa...

Zdala, z ulic bardziéj zbliżonych ku środkowi miasta, dolata przygłuszony turkot i gwar niewyraźny; — tu — na ustronném przedmieściu duży dom parterowy, otoczony drzewami i murawą, tonie w ciszy i cieniu. Zaledwo jedno okno od dziedzińca oświecone, jak oko otwarte, patrzy w przestrzeń; frontowe, wielkie kryształowe szyby odbijają chłodne blaski księżyca niby zmartwiałe oczy lunatyka, lub drzémiące, ciche, wodne tonie.

I mężczyzna rozparty w wygodnym fotelu, otoczony wykwintem bogactwa i ciszą wieczoru — drzémie — czy duma.

Lecz nie — on nie śpi; choć z bezwładnością snu opuszcza się jego postać na miękkie poduszki a palce machinalnie trzymają zagasłe cygaro, — w oczach, nawpół przysłonionych ociężałą powieką tli życie, mgłą głębokiego zamyślenia przyćmione.

A czarne te oczy z pod brwi wyraźnych i długich rzęsów rzucają śmiałe, bystre spojrzenia; chwilami zapłoną fosforycznym blaskiem namiętności, choć odkryte czoło, zmęczona twarz wskazuje, że już czas namiętnych wybuchów przeminął, że ogień młodości popioły życia przysuły.

Tak — mężczyzna, który pięknym wieczorem kwietniowym siedzi zamyślony, wdychając bezwiednie podniecające wyziewy wiosny, przebył już dawno kwietniowe ranki swego życia; zmarszczki koło ognistych oczów, srebrne nitki w kruczéj brodzie świadczą bez metryki, że 40 wiosen i latek przeszło już ponad tą schyloną głową.

Cisza... Zwolna, z poza oddalonéj wieżycy kościelnéj wypływa na jasne niebo wspaniały krąg księżyca.

Zwolna też przymknięte powieki podnoszą się w górę, wyzywające, gniewne spojrzenie błyska ku niebieskiemu ciekawcowi, który natrętném okiem wszędzie spojrzy a może i wszystko widzi...

— Sam... zawsze sam... — szepce mężczyzna. — Dostatek, stanowisko, uznanie, to dary ironiczną dłonią losu rzucone na moją drogę, jak ziarna w piasek pustyni. Co mi przyjdzie z myśli, kłębiących pod czaszką, z uczuć, zaléwających pierś, gdy płyną w pustkę jałową i giną bez oddźwięku?.. co mi z tych resztek młodości, które więdną w zniechęceniu, w bezcelowéj egzystencyi? A chór woła: „szczęśliwy! szczęśliwy!“

Gorzko się uśmiécha.

— Czyż nie jestem istotnie szczęśliwy? Iluż mi zazdrości, ilu kosztem wielkich ofiar chciałoby zająć moje miejsce! I czegóż mi brak? Szaleniec — tęsknię ze jedném marném sercem, pragnę jednéj duszy bratniéj, gdy mam na zawołanie serc tuziny do wyboru, rozkoszy po uszy do wypicia. Tylko wyciągnąć rękę!..

Zaśmiał się sarkastycznie.

— No, dość tych skarg i rozmyślań. Rozmarzam się księżycem i wiosną, jak młoda dziewczyna i czuję, dalibóg czuję, jak mi coś tam puka pod lewém żebrem.

Ha, ha, ha, serce... toż ono dziś dla mnie ma o tyle wartość, o ile spełnia dokładnie swoje odżywcze funkcye. A dla ludzi? wszak ludzie łatwiéj współczują z wątrobą niż z sercem — jak utrzymywał Krasiński. — Ironia więc, sarkazm dla ludzi i świata a nuda — a raczéj beznadziejny smutek jesieni — dla mnie...

Długo milczy...

— No, daléj, szczęśliwcze! w gwar, między ludzi! Tam, w pięknym salonie mecenasowéj czekają cię z upragnieniem. Twój widok poruszy ambicye, nerwy i wątroby, może i jakie serce żywiéj uderzy pożądaniem twojéj kasy — raczéj niż osoby: pani Joanna melancholijnie spojrzy powłóczystém okiem i pod bronią wdzięków stanie do ataku... Cóż dziwnego? Wszak jestem pierwszą partyą w mieście. Wprawdzie serce trochę zmęczone, nerwy nadszarpane — no — ale majątek wyszedł z zapasów bez szwanku. A to dziś grunt...

Podniósł się z fotelu, oparł ciężką postać o krawędź biurka i przeciągając ramiona, martwym, smutnym głosem szepce:

— Jakież to życie nudne!

Zadzwonił.

— Zapal światło i przygotuj ubranie — rzucił służącemu. — I po co ja tam pójdę? -- pyta — wolnym krokiem przechodząc przez pokój. Słuchać banalnéj rozmowy? patrzéć na produkcyą uczuć, stwierdzać, po raz nie wiem który, fałsz, i interesowność i płytkość towarzyskich stosunków? Bawić się flirtem bez celu, patrzéć na nędznie graną komedyę? Żebyż choć nie tańczyli!

Jasne światło księżyca rysuje na ścianie sylwetkę chodzącego mężczyzny, on zatrzymuje się chwilę, patrzy badawczo na własny cień.

— Tyję — szepce obojętnie — zwykłe następstwo wieku.

Z bocznéj kieszonki surduta wyjął wonny liścik i rzucił go niedbale w szufladę biurka; przesunął parę książek, spojrzał pod przycisk i głębiéj odsunął szufladkę.

— Gdzież u licha podziałem fotografię pani Joanny? wręczono mi ją z takiém obiecującém wejrzeniem... Może zgubiłem ten drogi depozyt czy zadatek? Gotowa obraza i nowe plotki — mówi — wysuwając coraz daléj szufladkę i przetrząsając stosy listów, fotografii, zeschłych kwiatów, wstążek, jasnych i ciemnych pukli — całe muzeum don-Żuana.

Wydobyta ze spodu gwałtownym ruchem niecierpliwéj ręki, wybladła, stara fotografia, wypadła na dywan zaściełający podłogę.

— A cóż to za ruchliwy jakiś szpargał — sarknął, schylając się — trzeba będzie już raz porządek zrobić i z galeryą i z autografami — mruczy z ironią. — W ogień, w ogień.

Spojrzał obojętnie na trzymaną w ręku kartkę.

W powodzi księżycowych blasków, z wyblakłéj fotografii patrzy nań smętna, marząca twarzyczka.

Pod tém spojrzeniem nieruchomych źrenic, niknie niecierpliwość i gniewne rozdrażnienie mężczyzny. Zmarszczka, ściągająca brwi ciemne, rozpływa się w smutnym uśmiechu.

Długo patrzy w pożółkły obrazek — patrzy nie jak człowiek, który przypomina, lecz jak ten co pamięta i żałuje.

Osuwa się w fotel. Znów tonie w zadumie, znów czoło przecina zmarszczka chmurna — z oczu patrzy żal i ból.

— Proszę pana rejenta, już po jedenastéj — przypomina nieśmiało służący.

Mężczyzna ocknął się z zadumy.

— Szkoda, szkoda — szepce głosem głęboko smutnym, składając do szuflady starą fotografię.

Niedługo w wieczorowém ubraniu, wchodzi do oświetlonych salonów. Szmer rozmów, jak brzęk pszczelnego roju rozchodzi się dokoła, drażniąc ucho urywkami zdań, głośniejszém słowem, tajemniczym szeptem.

Perliste gamy śmiechu, głośne wybuchy sporów dochodzą tylko z głębi, gdzie przy fortepianie zebrała się młodzież; fraki, ciemne mundury uniwersyteckie, jasne sukienki młodych i młodziutkich panienek — wdzięczną grupą odbijają się na tle bogatego obicia i ponsowych aksamitów portyery.

Z kątów obszernego salonu, zastawionych klombami egzotycznych roślin, z aksamitnych kozetek i foteli dolatują tylko przyciszone szmery, akcentowane od czasu do czasu głośniejszém, obojętném słowem.

Na kanapie, dokoła wielkiego stołu, *honoratiores* niewieściego towarzystwa omawiają wypadki dnia: kwestyą nieudanych ciast u adwokatów Wiktorów i genezę nowéj sukni pięknéj doktorowéj.

Okazała dama w białych piórach na utrefionéj głowie schyla się do ucha sąsiadki:

— Uważa pani? Nasz nocny motyl dopiéro teraz się zjawił.

— Kto? gdzie? jak? — szybko pyta niemłoda dama w aksamitach, bystro obserwująca sprawy świata przez złote binokle.—A! rejent, on zwykle urządza takie późne *entrée* dla lepszego efektu.

— O, o, już siedzi pod palmą przy pani Janinie.

— Zaledwo przywitał gospodynię.

— I nam ledwo głową kiwnął...

— O! pani Janina, to ognik, co przyciąga takie nocne ćmy.

— Wabić potrafi i w dzień biały.

— I sidła zastawiać umié... Wątpię jednak, czy ptaszka złapie. Stary to wróbel i praktyk...

— O, praktyk! — zaśmiała się cichym, urywanym głosem dama w aksamitach. — Słyszały panie o téj historyi z baronową Natalią w Warszawie?

— Cośkolwiek. *Cette chronique scandaleuse est dégoutante*, a ja nie jestem ciekawą z natury, choć te wszystkie wieści pływają w powietrzu, jak zarazki, i mimowoli chwyta się je z oddechem, dystyngowanie przyciszonym głosem cedzi dama w piórach, znana miejscowemu towarzystwu pod charakterystycznóm mianem „gazety“.

— O, że téż szanowna pani może tak obojętnie traktować te rzeczy!—mówi prędko, grubym głosem, dama w aksamitach. Toż tu chodzi o moralny poziom naszego towarzystwa, które dotychczas tak korzystnie wyróżnia się z pomiędzy towarzystw innych wielkich miast.

— *C'est juste*—majestatycznym ruchem głowy potwierdza „gazeta“ w piórach.

— A czyja w tém zasługa?

— Naturalnie, że nasza—chórem przyświadczono. — Gdyby nie strach opinii, którą my tworzymy, widzianoby piękne rzeczy...

— Okropność, jakie skandale działyby się jawnie.

Napuszone godnością, wyprostowane poczuciem osobistéj zasługi, nasze damy dumnie podniosły strojne głowy, zmrużyły bystre oczy i ruchem pełnym powagi poprawiły się na miękkich poduszkach kanap i foteli.

— Otóż—cichym głosem mówi wykwintna dama, rozparta w fotelu, bogatym wachlarzem przysłaniając usta—otóż, wiem z pewnych źródeł, że dawniéj, dawniéj, baronowa Natalia bardzo pragnęła naszego rejenta za zięcia.

— Panna była piękna, choć nie bogata, 10 tysięcy rubli—wtrąca sposobem objaśnienia dama w aksamitach.

— *Une misère*—pogardliwie szepcą białe pióra.

— Wiadomo, że poświęcenie matek nie zna granic! — zjadliwie objaśnia dama za wachlarzem. — Ponieważ był to jeszcze wtedy chłopiec młody, student niedoświadczony, torując mu drogę do córki, baronowa sama poświęciła się, aby go wtajemniczyć w arkana... — jakby to określić—téj sztuki, którą nazywali Rzymianie „*ars amandi.*“

Z po za wachlarzy zabłysły oczy, uśmiechnęły się usta.

— Musiał z lekcyi korzystać — grubym głosem wtrąciła dama w aksamitach—kobiéta była powabna...

— *Cela se conçoit.* Mówią, że studyował z takim zapałem praktykę sztuki z matką, aż zaniechał zastosować teoryi do córki.

Lekkie, ciche, dystyngowane śmiechy.

— I dotychczas znać na nim tę naukę. Na wszystkie strony bałamuci, a żenić się nie myśli—wzdycha dama w aksamitach, spoglądając nieznacznie na gronko młodzieży przy fortepianie, gdzie znajduje się jéj córka.—Choć panien ładnych i wykształconych nie brak...

— A toż jeszcze nie pozbył się jednéj żony — zauważyła blada kobiéta w koronkach.

— Więc téż tymczasem prowadzi miłostki *sans conséquence* z mężatkami i wdówkami — szepce uszczypliwie dama z wachlarzem, rzucając na nią bystre spojrzenie.

Ta niezmieszana mówi:

— Rejent Jan, pomimo sławy zdobywcy serc, nie jest szczęśliwym człowiekiem.

— A czegóż mu brak?—chórem spytano.

— Wiem — ciągnęła blada kobiéta — że zawód w małżeństwie gorzko odczuł; pożycie z żoną było dlań męką, a ostatni epizod, rozwód dotychczas nierozstrzygnięty, może mu odebrać ochotę do nowych związków. Znam go dobrze. Szkolny to kolega mego męża, człowiek może trochę zarozumiały i lekkomyślny, lecz uczciwy.

— Nikt mu nie zarzuca nieuczciwości—przyświadcza „gazeta“—ale byłoby lepiéj, żeby w towarzystwo nasze, moralne z gruntu, nie wnosił pierwiastku flirtu i bałamuctwa. Te przyjaźni gwałtowne z młodemi kobiétami są rażące. Pani Joanna...

— Pani Joanna jest wdową — żywo przerywa blada kobiéta. — Gdyby mu się podobała, a pozbył się więzów...

— To i tak nicby z tego nie było, wierzaj mi pani — kończy „gazeta“ w piórach.—Tego rodzaju ludzie, rozbałamuceni w młodości, żenią się albo z interesu, jak właśnie ożenił się pierwszy raz nasz piękny.

— Wziął 50 tysięcy rubli—objaśnia dama w aksamitach.

— Przecież sam był bogaty — broni blada kobiéta oskarżonego.

— Był bogaty, ale szaloném życiem wplątał się w długi. Ja to wiem najlepiéj—objaśnia dama w aksamitach—bo u nas nieraz pożyczał. Żenił się z interesu.

— Jednak przy rozstaniu zwrócił żonie całą sumę posagową; mój mąż sam to uskuteczniał—tłómaczy blada kobiéta.

— Tak, bo przez ciąg kilkoletniego pożycia, przy swojém szaloném szczęściu, wyplątał się z interesów i dobra oczyścił — dowodzi dama w aksamitach.

— *Je vous dis*, *mesdames*, *rétenez bien mes paroles* — tonem wyro-

czni głosi „gazeta“ — bałamut ożeni się chyba na starość, żeby mieć kogoś pod ręką do pielęgnowania go w chorobie.

— Nie potrzebuje się śpieszyć — obojętnie konkluduje blada kobiéta.—Za cenę swego majątku zawsze znajdzie dozorczynię dla podawania rumianku i wygrzewania szlafroka.

— To się zobaczy, to się zobaczy — zjadliwie szepce dama w piórach, rzucając ciekawe spojrzenia przez złote binokle w stronę, gdzie pod liśćmi wspaniałéj palmy siedzą osoby tak gorliwie obrabiane przez kierowniczki opinii publicznéj: rejent Jan i pani Joanna.

Była to wyniosła, różowa jak dojrzała brzoskwinia, blondynka o delikatnych rysach i powłóczystych, zalotnych oczach. Inteligencya i spryt patrzyły z tych błękitnych źrenic, ocienionych długiemi rzęsami, wabność czaiła się w dołkach różowéj twarzy i okrągłéj bródki. Strojne czarne ubranie podnosiło blask świeżéj płci i błyszczącą ramą dżetów obejmowało białe, odkryte ramiona.

— Więc, kwestyonujesz pan psychiczną prawdę bohatérki „Bez dogmatu“ — pyta piękna pani, składając i rozwijając błyszczący wachlarz, a wejrzenie pięknych powłóczystych oczu, zatrzymując na siedzącym obok mężczyźnie.

— W życiu inaczéj niż w powieści wyglądają tego rodzaju postaci. Bywają mniéj idealne, a prawdziwsze.

— Czy to na własném doświadczeniu opiérasz swój sąd, rejencie?—żartobliwie pyta.

— I na obserwacyi. To szczęście dla nas, że wogóle kobiéty mają zbyt dobre serca, aby być okrutnemi — z ironią odpowiada. — „Anielki“ są unikatami w rzeczywistości, to nie typy, lecz wyjątki.

Zamyślił się chwilę.

— Jednakże, bywają różne dziwne wyjątki z ogólnych prawideł—wolno dodał.

Kobiéta spojrzała zdziwiona na zamyślonego mężczyznę.

— Jesteś pan dziś niezwykle roztargniony—zauważyła.

— Bo myślę, w czém leży istota uroku, co zniewala męzkie serca? W powabie ciała, czy zaletach umysłu? w zalotności czy nieśmiałéj skromności? Nie jeden z nas głowę traci dla osoby na pozór niczém nie różniącéj się od innych.

— Dla was, panowie, jeden jest urok najsilniejszy...

— Mianowicie?—rzucił niedbale rejent.

— Urok kwiatu nie zerwanego. Anielka, żona, obojętnieje każdemu, ale owoc zakazany—to smak nad smaki, a kwiat niezerwany—to woń najponętniejsza.

— Botaniczna rozprawa?—zawdzięczał głosik pieszczony i strojna gospodyni domu siadła na fotelu skwapliwie jéj podanym. — Słyszę o kwiatach i woniach...

— O żywych kwiatach niezerwanych, które tym panom do reszty rozstrajają nerwy i tworzą złudzenia miłości.

Rejent uśmiécha się sarkastycznie.

— My złudzeń nie mamy, przymówka więc pani chybia celu. Wy tylko, piękne panie, pozujecie na wieszczki, macie pretensye być naszém natchnieniem. Uznane i potężne prawo natury stroicie w idealne blaski jakiegoś abstrakcyjnego uczucia. Ujdzie to w pierwszéj młodości, chwilowo. *A la longue* — taka komedya nuży obie strony i wykrzywia istotę rzeczy.

— Więc?—spytały obie kobiéty.

— Więc, w powieści miłość wogóle, a szczególniéj miłość takiego Płoszowskiego, jest pięknym utworem fantazyi.

— A w życiu?

— W życiu bywają złudzenia za młodu; są pokryte kwiatami dążenia natury do spełnienia jéj celów. Świat, to wielkie laboratoryum, a ludzie — to bezwiedny materyał wiekuistych przemian. Toż samo prawo rzuca w ramiona mężczyzny kobiétę, które każe śpiéwać i wabić się ptakom, miauczéć na dachach kotom i w stada zbiérać się wilkom.

— *Monstre que vous êtes!*—rozśmiały się kobiéty.

— Rozgłoszę twoje poglądy, rejencie. Takie idealne określenie miłości sławą okryje twoje imię między kobiétami, zobaczysz — grozi pani domu.

— *Voi, che sapete che cosà e l'amor?*—zaczyna mężczyzna, podnosząc błyszczące już oczy — pytam was, piękne panie, słowami pieśni, powiedzcie, objaśnijcie, co to jest to wasze bożyszcze—miłość?

— *Cette innocence!* — rozśmiała się kobiéta. — On nie wié, nie przeczuwa... Chcesz, to skreślę w krótkości genezę—przebieg i epilog „potężnego prawa natury“, jak mówisz. Miłość, jaką wy uznajecie, to wrząca krew w młodości, szaleństwa i wybryki zmysłów w dojrzałym wieku, trzęsąca się głowa i bezwładne nogi na starość. Zadowolony pan jesteś z definicyi?

— Trzeźwa i pozytywa—przyświadcza rejent.

Kobiéty się śmieją.

— Ach, szczęśliwcze! — przerywa rozprawę siwy jegomość z wstążeczką w butonierce, a kartami w dłoni, szczęśliwcze! zawsze pomiędzy damami?

— Zazdrościsz mi, generale?—rozśmiał się rejent. — Widzę, że

i pan także w towarzystwie dam miłe spędzasz chwile—mówił—wskazując na opuszczony przed chwilą zielony stolik.

— Ach, mój drogi, smutny to pod każdym względem przywiléj, to towarzystwo malowanych dam. „*Honny soit qui mal y pense*“ — przerwał z ukłonem pełnym galanteryi dla młodych kobiét. — Ale powiem ci szczerze, ja zawsze wolałem i dziś wolałbym cichy duecik we cztery oczy z jedną — i to nie malowaną, broń Boże! Ale, ale — westchnął—*tempi passati*....

Rozśmieli się słuchacze.

— Śmiéj się, śmiéj, ale uwagę zanotuj w pamięci. A teraz, jeżeli te śliczne, nie malowane drasnęły cię pazurkiem lub oczkiem, to uciekaj do tych statecznych, co królują na zieloném polu. Rozegrasz robra? co?

— I malowane mi nie dopisują!—wzdycha rejent. — Pozwolisz, generale, że radę doświadczoną przyjmując do wiadomości, będę kusić szczęście pomiędzy żywemi.

— Ej, stary gołębiu!—grozi filuternie wojak — tokować nie zapominasz! No, gruchaj daléj, gruchaj, szczęśliwcze! — rozśmiał się, odchodząc zwolna w stronę zielonych stolików.

— „Szczęśliwcze“—powtarza mężczyzna,—szczęśliwcze—mówi zwracając się do młodych kobiét; lecz w téjże w chwili, po wybuchu głośnych sporów i próśb przy fortepianie, nagle uciszyło się wesołe gronko.

Jakiś smukły uczeń uniwersytetu wystąpił na środek, a opiérając się dłońmi o poręcz krzesła, według zwyczajów obowiązujących amatorskie popisy, zabiérał się do „uszczęśliwienia“ towarzystwa deklamacyą.

Zanim jednak rozpoczął, zwracając się ku grupie jasnych sukienek, rzuca zastrzeżenie.

— Zgoda, ja rozpocznę, ale po mnie panna Marya zaśpiewa.

— I owszem, jeżeli poprzestaniecie państwo na starym repertuarze.

— My na wsi kochamy stare piosenki.

— Wieś jest zawsze konserwatywną—odciął student, a pani?

— Ależ zgoda, zgoda, zaczynaj pan tylko—chórem zawołano.

I wśród szeptów przyciszonych salonu dźwięczny baryton młodego chłopca, deklamował z finezyą i wdziękiem śliczny wierszyk Czesława o „wiecznéj miłości motylów do róży, co trwa tylko chwilę, rzadko kiedy dłużéj.“

Za zawodów i zdrad tyle
Mścij się, kwiatku róży!
Czaruj chwilę — kochaj chwilę,
Wspominaj nie dłużéj.

Słuchano uważnie i z przyjemnością.

— Jak ten lekki utwór charakteryzuje epokę! — szepnął rejent.—Z jaką ironią wyraża się o uczuciu, choć z tych strof przejrzystych wieje tęsknota i pragnienie. Nie tak dawno — 20 lat temu — deklamowaliśmy: „szczęśliwy, komu zapłonie prawdziwa miłość w kobiéty łonie!“

— Doprawdy? — zaśpiewała przeciągle pani Joanna. — I pan, lekceważący miłość, wygłaszałeś takie wyznanie wiary?

— Bo ten wierszyk Balińskiego kończył się apostrofą do młodzieży: „kochajcie, wierzcie—szczęście w złudzeniu!“

— Łatwa recepta na szczęście, trochę więcéj wyobraźni, trochę mniéj analizy—szepnęła kobiéta.

Odezwał się fortepian. Po kilku prostych akordach, głos młody, świeży—ku wielkiéj uciesze otaczających, wydzwonił znaną piosnkę Moniuszki o trzech chłopcach i pasterce.

Na pierwsze tony pieśni, rejent niedbale rozparty w fotelu, wyprostował się nagle, spojrzał w stronę fortepianu; — zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

— Kto jest ta młoda panienka?—żywo zapytał.

Przez binokle spojrzał po raz drugi na wysmukłą, ciemnowłosą panienkę.

— Kuzynka mecenasowéj przybyła ze wsi dla dokończenia edukacyi do miasta. Podoba się panu głos, czy osoba?

— I głos i postać dziwnie mi przypomina osobę dawniéj znaną— mówi zwolna, zdejmując binokle,—choć złudzenie zmniejszyło się znacznie, gdym spojrzał przez szkła.

— Na piękne złudzenie nie należy nigdy patrzéć przez szkła rozumu i analizy—uśmiechnęła się piękna pani.

Mężczyzna jednak uporczywie patrzy na śpiewającą panienkę i słucha z rozkoszą prostych tonów i słów piosenki.

— „Oddałabym oczy duże i uczciwe serce“ — płynie młodzieńczym, dźwięcznym głosem wyśpiewane wyznanie.

— Tak, tak—mówi sam do siebie mężczyzna — dawniéj obiecywano uczciwe serce za miłość. Lecz, jeżeli komu nie wystarczało jedno serce i jedne, choćby najpiękniejsze, oczy?

— Brawo, kuzynko, brawo!--woła z uniesieniem młodziutki gi-

mnazista.—Ja nawet zaraz dam ci całusa, Maryniu, na róże poczekaj do czerwca.

W powietrzu zawirował piękny, bladoróżowy kwiat i upadł u nóg śpiewaczki.

— Róża! róża—woła rozbawiona młodzież. — Kto rzucił różę?— pytano, oglądając się dokoła.

Dawcy nie było; lecz kwiat, świéżo zerwany z żardinierki, leżał u nóg dziewczyny. Tylko deklamator śmiał się wesoło, stojąc obok kwiatowego kosza.

— Poetyczna parafraza sułtańskiéj chustki — rozśmiał się rejent.—Szczęśliwa młodość!

Wśród gwaru, spowodowanego epizodem przy fortepianie, pani Joanna z pod przymkniętych powiek patrzy badawczo na zamyślonego mężczyznę.

— Gdzież to zawędrowały pańskie myśli? — pyta, uderzając go zlekka błyszczącym wachlarzem po ramieniu.

Mężczyzna podniósł oczy.

— Daleko błądzić nie potrzebują, nie odbiegają po za obrąb tego fotelu—z pochlebstwem w głosie i w oczach mówi.

— Daruj pan, lecz nie wierzę — z powłóczystém spojrzeniem pięknych oczu zaprzecza młoda kobiéta, — a nawet zgaduję, że pogoniły gdzieś w przeszłość...

— Czy przeszłość może być niebezpieczną rywalką, gdy teraźniejszość tak urocza? — obejmując błyszczącym wzrokiem toczone ramiona pyta mężczyzna.

— *C'est selon*—odrzuca kobiéta. — Będę wiedziéć, jeżeli mi, rejencie, opowiész ten ustęp z twego życia, który panu przypomniała ta dzieweczka i ta piosnka.

— Interesuje to panią?—żartobliwie pyta.—A jeżeli po za sielską piosenką i naiwną dzieweczką ukrywa się dramat?

— O, i owszem! ja tak lubię dramaty! Cóż, wahasz się pan? — pyta, mrużąc oczy i delikatną ręką poprawiając koronki u gorsu. — Obiecuję dyskrecyę i pobłażliwość. Słucham.

Mężczyzna się uśmiechnął. Odblask młodości zamigotał w czarnych oczach. Żywo pochwycił nizki taborek, a przysunąwszy blizko fotelu pięknéj pani, siadł, zwrócony twarzą w stronę jéj uszka.

— A więc, chcesz pani spowiedzi? — szepnął — dobrze. Bądź jednak wyrozumiałym, piękny spowiedniku i zbyt ciężkiéj nie naznaczaj pokuty.

Kobiéta rozśmiała się obojętnie, choć pomieszanie widać było

na jéj twarzy. Bojaźliwe spojrzenie rzuciła w stronę, gdzie królowały wyrocznie i kierowniczki opinii publicznéj.

A widok, jaki tam ujrzała, nie mógł dodawać odwagi.

„Gazeta“ z politowaniem kiwała głową, okrągłe oczy utkwiwszy w grupie pod palmą. Aksamit grubym głosem szeptał coś do ucha wachlarzowi, spojrzeniem wskazując niezwykłą pozę dwojga rozmawiających. Blada dama w koronkach uśmiechała się przyjaźnie.

Rejent, spostrzegłszy kierunek spojrzeń kobiéty, obojętnie ruszył ramionami.

— Lękasz się pani opinii.

— O nie!—niedbale odrzekła. — Zresztą, ciekawość w kobiécie jest silniejszą od wszelkiéj obawy. Słucham — mówi, zasłaniając czarnym wachlarzem część twarzy i nachylając strojną głowę ku czarnéj głowie mężczyzny.

Ten zbliżył się jeszcze więcéj. Oczy mu płoną, gorący oddech owiewa delikatne uszko ciekawe. Niezwykła pozycya, blizkość uroczéj kobiéty, czar jakichś dawnych wspomnień podniecają go jak narkotyk.

— Otóż — mówił, bawiąc się binoklami — w epoce, o którą pani pytasz, miałem lat dwadzieścia kilka. Majętny, nie pilnowałem zbytecznie prawniczéj praktyki, a bujałem sobie swobodnie. Niepodobna, żebyś pani nie znała choć pobieżnie historyi moich młodych latek, mieszkając w mieście, gdzie kontrola jest tak troskliwie prowadzoną. Krew młoda wrzała, temperament rzucał mnie w coraz nowe stosunki, w coraz nowe intrygi. Raz, kiedym się uplątał nieopatrznie w położenie bardzo przykre, postanowiłem na czas jakiś wyjechać. Przypadek, czy przeznaczenie —podsunął mi myśl odwiedzin rodziny mego ojca, zamieszkałéj o mil kilkadziesiąt i dość dawno niewidzianéj. Pięknym popołudniem dnia czerwcowego zajechałem przed szlachecki dworek. Cicho tu było, wonno, czysto. Stary sługa zabrał tłómoczek i wskazał ogród, gdzie miały być panie. Stryj objeżdżał łąki. Zrzuciłem płaszcz i żywo wbiegłem do ogrodu, przypomniawszy sobie, że kuzynka moja, którą widywałem podlotkiem w Warszawie, musi być dorosłą panienką. Biegłem więc wesoło przez duży, cienisty ogród, wietrząc nowe wrażenia, nowe intrygi. Z głębi, z po za gęstych bzów i jaśminów dochodził ciekawych uszu moich śmiéch młody, srebrzysty, jakieś prośby pieszczotliwe i najwyraźniéj — odgłos pocałunków. Zaintrygowany, zwolniłem kroku i spojrzałem przez poplątane gałęzie.

Na darniowéj ławeczce nawpół leżała biało ubrana dziewczyna. Główka, wsparta na ręce, z któréj opadał szeroki rękaw sukienki,

niecierpliwym ruchem wstrząsała masę krótkich, ciemnych włosów, opadających na czoło; w drugiéj rączce, wzniesionéj wysoko, trzymała chléb. Przed nią stał młody leśny koziołek. Śliczne zwierzę wspinało się na cienkich nóżkach, aby pochwycić z ręki dziewczyny chléb, a gdy psotnica ukrywała go szybko w szerokim rękawie ubrania, — zwierzę oczy żdziwione zwracało na nią z niemém pytaniem, i pyszczkiem delikatnym śmiało chwytało z różowych ustek dziewczyny trzymany w ząbkach cukier.

I, gdy łakomiec chrupał przysmak, mrużąc łzawe oczy — dziewczyna chwytała go za różki maleńkie i łając od zdrajców, podstępnych, całowała świecące oczy. Nagle koziołek zastrzygł uszkami i w bok uskoczył, spostrzegł mnie za krzewami, a dziewczyna przeciągając gibkie ciało, zapytała: „czy to ty, mateczko?“ Byłem tak zmieszany, że słów zapomniałem, patrząc uporczywie na śliczny obrazek. „Przez kaliny, przez burzany—skocz tu do mnie, mój kochany“ śpiewała figlarnie dzieweczka, prawdziwie sarnim skokiem goniąc faworyta.

W tém spostrzegła intruza; oczy ciemne wlepiła we mnie z jakąś dziecięcą ciekawością, a lekka łuna różowa, podnosząc się po białéj szyi i twarzy, wskazywała, że jest trochę zażenowaną niespodziewanym świadkiem swoich figielków.

— Ach, to kuzyn Jan! — zawołała wesoło, podając mi rękę; ślicznie podpatrywać cudze tajemnice! Ja się już gniéwam, koziuś obrażony zbodzie cię różkami. Patrz, jak się nasrożył!

— Dawno przyjechałeś, kuzynku? Chodź-że do mamy, do inspektów—szczebiotała, wiodąc mnie około klombow kwiatowych, skacząc przez jarzynne grzędy.—I...

— Dalszy ciąg wiadomy—przerwała pani Joanna. — Rozpoczął się duet wiosenny, jak mówi generał.

— Otóż nie, właśnie że nie—protestuje Jan z ożywieniem.

— Dlaczegóż nie? Czy głosy się nie zgadzały? czy ochoty nie było?—pyta żdziwiona kobiéta.

— Ochoty? och, ochoty nie brakowało i przypuszczam — ochoty obustronnéj i głosy prawdopodobnie dostroiłyby się do jednego tonu, gdyby nie...

— Gdyby nie co? — ciekawie podchwytuje kobiéta, widząc wahanie opowiadającego.

— Jakby to pani powiedziéć, jak określić tę nieujętą przeszkodę? gdyby, trzymając się porównania muzycznego, nie jedna fałszywa nuta tenora, która wnosząc rozdźwięk, nie dopuściła w harmonijny duet spłynąć dwom młodym duszom.

Kobiéta ciekawe oczy utkwiła w zasępionéj twarzy mężczyzny.

— Było to stworzenie istotnie niepospolite — ciągnął daléj opowiadanie rejent.—Nie piękność, lecz bardzo szlachetny wdzięk, wielki talent muzyczny i nadzwyczaj bogata inteligencya. Ta główka, pod bogactwem rozrzuconych włosów, kryła skarby dowcipu, ciekawego i rozwiniętego umysłu; a pod bluzką białą, spiętą prostym, skórzanym paskiem, biło szlachetne lecz dumne serduszko.

Początek był obiecujący. Już rozbujała wyobraźnia snuła drażniące sceny wiosennego romansu, gdy ze zdziwieniem spostrzegłem, że tracę „czas i atłas". Dziewczę na moje gorące wejrzenia, a nawet półsłówka znaczące, odpowiadało wesołym żartem, lub dowcipnym przycinkiem, wcale nie dostrajając się do namiętnego tonu moich westchnień. To mnie ubodło, podrażniło miłość własną. Nie takie wiejskie panienki umiałem w prędkim czasie rozkochać, nie takiemi szczyciłem się zdobyczami. Poczekaj! pasterko, co obiecujesz serce za róże i pocałunki, poznasz, kto schyla się do twoich nóżek i o łaskawe prosi wejrzenie...

Raz wieczorem, gdy księżyc świecił ot tak jak dziś, akacya kwitła i słowiki śpiewały—zły i milczący chodziłem ze stryjenką i Jadzią po ogrodzie. Dziewczyna żartowała z mego zamyślenia.

— Powiał wiatr. Gonią za tobą czyjeś westchnienia, kuzynku— drażniła mnie—i dlatego jesteś taki smutny. A może cię dręczą wyrzuty sumienia, a może ty spać już chcesz, lub głodny jesteś po postnym obiedzie.

Poczciwa stryjenka stanęła.

— Może rzeczywiście głodny—mruknęła. — Każę przygotować coś posilniejszego do herbaty, bo ty, miejski paniczu, pewno postów nie obserwujesz. Zaraz wracam—zapowiedziała, idąc ku domowi.

Zostaliśmy sami. Ja milczałem uporczywie, bo uważałem, że to milczenie moje drażni nie żartem kuzyneczkę.

— Cóż tak nagle oniemiałeś, kuzynku? Serce boli, dręczy sumienie, czy odciski pieką? No, wyspowiadaj się Janku, co ci dolega?— z przymileniem dopytywała.

— I, piękna pani—ciągnął daléj po krótkim przestanku rejent— nie pierwszy dziś raz, jak widzisz, uchylam czoło przed trybunałem kobiecéj ciekawości. Wtedy—dawniéj—spowiednik był równie uroczy, otoczenie cudowne, serce nie wystygłe, tylko nie umiałem korzystać ze sprzyjających okoliczności. Zadraśnięta miłość własna zabójczą podszepnęła radę...

W lekkich, przejrzystych słowach płynęło do różowego uszka

dziewczyny wyznanie moich miłostek, fałszywych zapałów, niezdrowych apetytów... Podniecała mnie noc księżycowa, cisza wiejska, woń kwiatów i ten biały kwiatuszek tak blizko, tak blizko mnie siedzący na darniowéj ławeczce.

Słuchała milcząc, a ja plotłem. Bóg widzi, że nie pamiętam nawet, co tam w to niewinne uszko szeptałem. Pamiętam tylko cichutkie westchnienie i bardzo bladą twarzyczkę. Myślałem, że to księżyc tak wysrebrzył delikatne rysy i z zachwytem patrzyłem na idealną w blaskach księżyca postać dziewczyny. Cień długich rzęs padał na lica, usteczka w pół otwarte drżały. Schyliłem się, aby spojrzéć w spuszczone oczy: gorący oddech owionął moje czoło. Szybkim ruchem objąłem wiotką kibić, chcąc pocałunkiem zamknąć rozchylone usta. Dziewczyna zerwała się; wyprostowana, blada, milczała chwilę, potém rzekła szyderczo: Obszerne masz serce, kuzynie. Winszuję tym, które tam pomieszczenie znalazły, ale im nie zazdroszczę! Ten pensyonarski przycinek wrócił jéj utraconą chwilowo wesołość. Śmiejąc się i kłując mnie delikatném żądłem dowcipu i sarkazmu, zawróciła do domu.

Rejent zamilkł.

— I koniec?—spytała piękna pani.

— A koniec. Podrażniony oporem jeździłem jeszcze nieraz do Topolna, ale nie śmiałem rzucić serdeczniejszego słowa, widząc jéj ironiczny uśmiech. Rozumiałem, że w moje uczucie już ona nie uwierzy.

— I byłoż to uczucie? jesteś pan tego pewien? bałamucie niepoprawny! — grozi pani Joanna, obejmując go wabném spojrzeniem i wspierając się z wdziękiem o poręcz fotelu. Białe, obnażone ramię było na wysokości ust mężczyzny, lecz on nie wyzyskał pozycyi. Może dlatego, że spuszczonemi oczyma patrzył gdzieś wgłąb własnéj duszy.

— Tak, to było uczucie—mówił cicho—jedyne prawdziwe szczęście! Czuję to nie od dziś. Może dlatego, żem ustami ni razu nie dotknął tych rozkosznych ustek, nie przycisnąłem nigdy do piersi gibkiéj postaci; do dziś tęsknię za tym wzbronionym pocałunkiem, za odmówioną mi pieszczotą...

Wyszła niedługo zamąż...

— Sytuacya się komplikuje — syknęła uszczypliwie kobiéta. — Dawno pan widziałeś tą nieubłaganą?

— Przed kilkunastu laty. Wyjechała z mężem w dalsze strony, ja w tym czasie ożeniłem się. Czas leciał, a życie się wlokło... Od lat kilku owdowiała.

Zamilkli oboje.

— I cóż, piękny spowiedniku? — szepce smętnie mężczyzna — dasz rozgrzeszenie, pocieszysz, a może jaką nadzieją błyśniesz przed oczyma?

— Będę miłosierną, choć wyznałeś, grzeszniku, występek nie łatwo przebaczany przez zazdrosny ród niewieści. Dam ci więc radę, praktyczną radę kobiéty...

— Dziękuję zawczasu i słucham — mówi, sięgając po przez poręcz fotelu po białą rączkę i zatrzymując ją w chłodnych dłoniach.

— Jedź i zobacz swój dawny ideał—szydersko mówi kobiéta. — Uczucie, co przetrwało lata, nie dostrzeże zapewne i zmian, jakie te lata sprowadziły. Odchuchaj twoją zwiędłą sielankę, życzę ci szczęścia zawczasu, bo o powodzeniu nie wątpię!—dodaje z drwiącym uśmiechem, wstając i prostując wspaniałą postać.

Ruszono się w salonie. Ze zgrozą spoglądając na odosobnioną parę, poważne damy i poważni panowie, śmiejące dziewczęta i studenci—parami sunęli do sali jadalnéj.

II.

Z ciekawością, która bywa motorem większéj części czynów, targany niepokojem podnieconych a zmęczonych nerwów, niedbale rozparty na aksamitnych poduszkach wagonu, jechał rejent Jan, aby, po upływie lat kilkunastu, spojrzéć w oczy wybrance młodości.

Sam wzruszał ramionami na cel swojéj podróży. Chwilami prawie wstydził się przed samym sobą; on 40-toletni, syt życia mężczyzna, jak młokos pędzi mil kilkadziesiąt — po co? aby zobaczyć starzejącą kobietę, ku któréj niegdyś gorąco zabiło mu serce.

Czego się po tém spotkaniu spodziewał, czego oczekiwał?

Błękitne oczy i twarz różowa pani Joanny stają mu przed oczyma. Dziwna rzecz! Obok téj świeżéj twarzy majaczy jakiś inny obraz: jakaś główka okryta masą ciemnych włosów, jakieś podłużne, ciemne a wiecznie łzawe oczy i twarz blada, zakrywa tę życiem kwitnącą postać.

Drażni, wyzywa i pierzcha.

Mężczyzna przesuwa dłoń po oczach, zbiéra przytomność, odpędza natrętną marę. Stara się trzeźwo patrzéć na okolicę z szalonym pośpiechem przesuwającą się przed oknami wagonu. Widzi oto nikłe

posiewy przy drodze i próbuje obliczyć, jaki nakład czasu i kapitału mógłby te piaski doprowadziś do kultury pól brandeburskich. Jaki system zastosowaćby należało, aby podnieść wartość marnowanych bogactw leśnych kraju? Między szeregami cyfr, w wianku nikłych kiści owsa, z po za przerzedzonych zarośli jedliny znów ciemne i błękitne oczy w bezładnéj plątaninie przesuwają się przed nim; ponętne biusty kobiece, obietnic pełne spojrzenia drażnią i spokoju nie dają.

Czasem, z boku, groźnie spojrzy i ta pogardzona, odepchnięta, któréj kapitałem dźwigał swoją fortunę, a rujnował szczęście. Uśmiecha się złowrogo, ironicznie; w suchéj, zaciśniętéj dłoni trzyma—jego wolność.

Zrywa się gwałtownie i zbliża do otwartego okna.

Gorący, cichy wieczór lipcowy osnuwa mrokiem ziemię. W przyrodzie—wszystkie twory, nie gwałcące jéj praw, uspokojone, zabierają się do snu, do spoczynku. Tylko lokomotywa, symbol śpieszącego się, gwałtownego, niecierpliwego wieku, sapie i bucha kłębami dymu, rzuca przeraźliwe sygnały; tylko wychowańcy cywilizacyi, co nam przyniosła parę i elektryczność, wyzyskując ciemność nocy i jasność dnia pędzą w szalonéj pogoni za zyskiem, rozkoszą, użyciem...

Jadą. Noc lipcowa błyszczy tysiącem gwiazd, oddycha wonią pól i lasów, dyszy rozkoszą ziemi i milionem pożądań ludzkich.

Sen nie chwyta znużonego mężczyzny. Sen, to dobrodziejstwo, którém natura darzy tylko posłuszne, uległe swe dzieci; otacza on marzeniem młodość, stoi u wezgłowia małżeńskiego i kolébki dziecięcéj, zamyka spokojne powieki starca.

Ty, zmęczony torturą niezaspokojonych żądz, ty, któryś znużeniem pracy nie okupił ceny spoczynku, który istniejesz jako wyjątek ogólnego prawa — będziesz téż wyjątkiem z powszechnego dobrodziejstwa.

— Mądry to chochlik, pani Joanna — myśli mężczyzna. — Wysłała mnie, abym spojrzawszy na ruinę kobiéty pozbył się wspomnień i bez zastrzeżeń i cofań pozostał przy niéj.

Uśmiécha się na tę dowcipną politykę niewieścią.

— Kobiéta—szepcze—kobiéta, jeżeli nie frymarczy naszą słabością, to zawsze ją wyzyska.

Jak téż ona moze wyglądać teraz—po kilkunastu latach?

Była wysoka, lecz szczupła — musiała nabrać tuszy i powagi. Przed oczyma wyobraźni staje nie dziewczę płochliwe i dumne, lecz kobiéta, znająca rozkosz, a może jéj pożądająca.

Zapalając cygaro, przypomina sobie stare hiszpańskie przy-

słowie: „Kobiéta — ogień, mężczyzna — hubka; dyabeł przychodzi i dmucha.“

Uśmiécha się do swoich myśli; dymek płynie delikatną chmurką siną—on marzy.

Z poza lekkich osłon bielizny widzi wspaniale zaokrąglony biust; czuje falujące jego ruchy tuż tuż przy swojéj piersi; atłasowe, życiem tętniące łono czeka jego pieszczot, usta rozchylone ust jego szukają... Drżącemi ramionami oplata rozpalone namiętnością, głodne rozkoszy ciało, już tonie w namiętnych uściskach... Żar i dreszcz wstrząsa nim naprzemian, szalone uderzenia serca dech tamują, pot występuje na skronie — ha!

Gwałtowném szarpnięciem rozrywa pod szyją koszulę.

Oddycha głęboko.

Z otwartego okna wagonu płynie spokojne, ciepłe powietrze. Obudzony gwałtowném poruszeniem współtowarzysz podróży, spogląda nań zdziwiony i w dalszy przedział przenosi swój sen i swoją osobę.

Mężczyzna wytrzeźwiony tym epizodem z chorobliwych halucynacyi, zapala zgasłe cygaro i siada na inném miejscu — przy oknie.

Gwiazdy błyszczą i mrugają z błękitnéj toni lipcowego nieba. Słychać ciężki oddech lokomotywy i miarowy, jednostajny łoskot pędzącego pociągu. Ciemna smuga dymu, pełna iskier, znaczy ślad potworu fantastycznemi skrętami.

Jakież efemeryczne istnienie tych migocących iskier! Z wrzącego kotła, gdzie sprzeczne żywioły w harmonijnéj zgodzie wytwarzają siłę, z tumanem ciemnego, duszącego dymu buchają w górę, lśnią chwilę—i nikną, zanim dolecą ziemi, jak spalone żądze, jak zaspokojona namiętność!

Oczy mężczyzny, znużone czuwaniem, przymykają się zwolna.

Cóż to za światełka migoczą w ciemnych oknach jego pięknego domu? Jakiż to ruch niezwykły zapełnia te wytworne, a tak ciche komnaty?

Jakieś postaci przesuwają się ostrożnym, lekkim krokiem, przyciszone głosy szepczą radosną jakąś nowinę; widzi uśmiechy i łzy, a w pierś wpływa mu z téj atmosfery przesiąkłéj radością — przeczucie szczęścia.

Ciekawie, ostrożnie, zbliża się do sypialnéj komnaty.

Dlaczegóż tam takie ciemne zasłony okrywają okna? czemu w bladém świetle przyćmionéj lampy jakieś obce majaczą cienie?

Z pod białych osłon bielizny uśmiécha się doń twarz ukochana;

dłonie białe obejmują szyję klęczącego mężczyzny, głos słodki szepce mu w ucho: „masz syna!"

Ach! Z dreszczem rozkoszy i jękiem bólu podnosi blady człowiek z miękkiego wezgłowia znużoną głowę.

Mary, ciągłe mary straconego szczęścia, złamanego życia! I przeklina wyobraźnię, co mu rozstraja nerwy, inteligencyą, która myśl rozbudza, zmysły, co spokój mącą i to serce puste, niezaspokojone, tęskne, czepiające się mar i złudzeń w głodzie rzeczywistości.

Chce się uspokoić, okiełznać wyobraźnię, nie drażnić zmysłów; przyrzeka sobie stanowczo ze wszelkiemi ofiarami okupi swoją wolność — i wplecie znów w normalny bieg swoje życie. Zazna jeszcze szczęścia, znajdzie cel pracy i przystań cichą domowego ogniska.

Im więcéj zbliża się do celu podróży, tém większy niepokój go ogarnia.

— Czy ona mnie pamięta — pyta raz po raz. Ona, taka sama, taka serdeczna, nie odepchnie mnie teraz, nie zniszczy obojętnie tych ostatnich błysków młodości i życia, któremi rozpaczuie chwytam się choć wspomnień.

A jeżeli i ją życie zniszczyło? Jeżeli pobladła, zwiędła twarz ostudzi dawne zapały? Ha, zobaczę, pomyślę, za-sta-no-wię się.

Jakieś ciemne pasma plączą się przed oczyma, coraz cięższe powieki przymykają się zwolna — uspokojony, zadowolony mężczyzna śpi.

Źle widać ułożył się do téj chwilowéj drzémki, bo twarz krzywi się znów jakimś bolesnym wyrazem. Czuje dziwny ciężar na piersiach, bezwładność, bezsilność. Widzi oto śliczny swój ogród, okalający dom na przedmieściu, piękne, kwitnące róże, wonne rabaty kwiatowe. Ale czemu tak ciężko stąpa po znanych ścieżkach, czemu tak drży mu ręka, gdy chce uszczknąć rozkwitłą różę? I któż to ujmuje jego dłoń słabą, czyje ramię silne z pieczołowitością miłości wspiéra niepewne jego kroki a głos taki świéży, jak powiew majowego ranku, mówi łagodnie: „wesprzyj się na mnie ojcze!" A tam w dali, jakaż to różowa jutrzenka z fartuszkiem pełnym róż biegnie, przeskakuje klomby, gubiąc kwiaty, rzucając w powietrze srebrzyste tony śmiechu a oplótłszy ramionami jego szyję, nadstawia twarzyczkę i rozkazuje: „całuj, tatusiu, całuj!"

Błogi uśmiech rozjaśnia twarz śpiącego.

I nagle, tak jakoś wszystko mierzchnie, blednie, posępnieje. Szron zwarzył kwiaty i chmurą zaszło słońce; ciężar opada na piersi, bojaźnią dygocze serce.

Znów sam w pustym, dużym pokoju; bezwładnych nóg nie może dźwignąć z wygodnego fotelu, który narzędziem tortur mu się wydaje.

Boi się. Szeroko rozwarte oczy rzucają dokoła szybkie, lękliwe wejrzenia; jakiś szmer w sąsiednim pokoju draźni ucho — do ciszy nawykłe. Wyciąga drżącą rękę po dzwonek i z rozpaczą bezsilną poznaje, że nie może go już uchwycić na pobliskim stoliku!

Osuwa się głębiéj w poduszki fotelu.

Bezwładność, śmierć powolna, paraliż. Tylko myśl pracuje, tylko serce cierpi, oh, jak cierpi!

W długich, samotnych godzinach przesuwa się w myśli całe zmarnowane życie; łatwe miłostki, płatne rozkosze, jak złośliwe gnomy w kankanowych skokach wiją się, plączą przed zagasłém okiem; rozpustne pantominy, lubieżne gesta, sprosne piesnki urągają jego bezsilności. W głębi dalekiéj błyszczą ciemne oczy i szlachetna, wyniosła postać.

Drżące, spragnione dłonie wyciąga ku niéj.

Napróżno! Roje psotnych chochlików, tłumy brudnych, wstrętnych maszkar otaczają go i bronią dostępu białym aniołom, a w szalonéj sarabandzie gestów, pląsów, świszczącym szeptem rzucają w uszy: „masz co chciałeś — złoto, rozkosz, szał, swobodę.“

Z dreszczem obrzydzenia cofa się i bezwładnie osuwa na sam brzeg głębokiego fotelu. Lęka się spaść, chce wołać a ucho znów chwyta przytłumione szepty, sprzeczki, tuż obok w gabinecie.

Ciche: „cyt, cyt,“ wpada mu w ucho. Co się boisz, mówi głos twardy, bezlitosny; toż śpi, a choćby nie spał, do dzwonka nie sięgnie, niedołęga. Stolik posunąłem daléj.

Zimny pot obléwa mu czoło... to głos jego lokaja.

— Daj wytrych, pilnik, śmiało! Po co mu te pieniądze? staremu trupowi? Albo to ma żonę, dzieci? Na resztę życia i pogrzeb wystarczy, bierz!

Zgrzyt wytrycha, głuchy trzask — szelest papierów — cisza.

Łzy, gorące łzy prawdziwe sączą się z pod przymkniętych powiek śpiącego.

Pociąg, zwalniając biegu, kołysze się, drga silniéj, staje.

Stacya Góry! krzyczy głos na peronie.

Mężczyzna z westchnieniem ulgi otwiéra oczy. Tu kres jego podróży.

Po kilkogodzinnym wypoczynku, bryczka pocztowa niesie go daléj. Wiorst kilka przejeżdża w jasnych blaskach poranku i niecierpliwy, ciekawy, wyskakuje przed gankiem nizkiego dworku.

— Jak tu czysto, cicho, miło — formułuje pierwsze wrażenia zdejmując płaszcz, gdy dzieweczka wiejska oznajmia pani przybyłego gościa.

— Proś do bawialni, dźwięczny mu w uchu głos tak znany, tak niezmieniony!

I za ustępującą służącą wolnym, swobodnym krokiem ktoś wchodzi.

Lekka mgła zasłania mu wzrok, widzi zaledwo kontury smukłéj, młodzieńczéj postaci, gdy głos przyciszony grzecznie powtarza stereotypowy: „Kogóż mam przyjemność witać w moim domu?“

Mężczyzna usiłuje zebrać przytomność i uwagę. Ta kobiéta wyniosła, z bladą twarzą i płonącemi oczyma, toż to ona, ta sama, poznaje ją i podziwia. Okiem błyszczącém obejmuje delikatne i szlachetne rysy, owal twarzy trochę przedłużony, klasyczny rysunek ust i głowy a wyciągając dłoń witającą, niepewnym głosem pyta:

— Nie poznajesz mnie, kuzynko?

Różowa łuna przebiega po twarzy kobiéty.

— Kuzyn Jan! — woła radośnie, ściskając dłoń jego. — Cóż za gość! jaka niespodzianka! Siadajże, odpocznij. Cóż cię sprowadza w nasze strony? Interesa prawne? Jakiś ty dobry, żeś mnie nie minął! — płynie potok słów serdecznych, prostych, siostrzanych.

Mężczyzna na tą powódź pytań, jedną ma odpowiedź, którą jednocześnie i oczy jego wypowiadają.

— Jak ty nic nie zmieniłaś się, Jadziu!

— Nie zmieniłam się przez lat tyle? — śmieje się kobiéta. — Żartujesz, Janie, a raczéj przez grzeczność światowego człowieka nie chcesz liczyć szkód, jakie mi czas wyrządził. Zresztą, najmniejsze to dla mnie straty! Poniosłam inne, prawdziwe, ciężkie i bolesne, — ciszéj dodaje, a oczy zwykle łzawe toną w błyszczącéj wilgoci.

— Wiem, wiem — cicho przerywa mężczyzna.

— Gdy życie serce na części szarpie i goryczą poi, cóż znaczy w porównaniu z tym bólem te kilka zmarszczek, te srebrne nitki we włosach i pobladłe lica?

Zamilkła.

Oczy mężczyzny ciekawie, natrętnie badają siedzącą obok kobietę. Tak, to ona, dawna Jadzia, z pogłębionem wejrzeniem ciemnych oczu, spokojnym, szlachetnym wyrazem delikatnéj twarzy. Prawda, w ciemnych włosach, z prostotą zwiniętych na kształtnéj głowie przebłyskują srebrne nici, choć oczy jaśnieją młodzieńczym wyrazem, a usta drobne składają się w dawny, słodki uśmiech.

Przed gankiem rozlega sią tentent.

Smukły chłopiec jasnowłosy w bluzie gimnazisty wchodzi do pokoju.

— Ostatek siana wiozą, matko — mówi, kłaniając się nieznajomemu.

— Mój syn — szepcze kobiéta z blaskiem w oczach i uśmiechem na twarzy — a oto, moja córka — wskazując małą, ośmioletnią dziewczynkę z grabkami na ramieniu, idącą w gronie dziewcząt wiejskich, za kopiastemi wozami zielonego siana.

— Szczęśliwaś kuzynko — wzdycha smutny człowiek.

Wieczór. Jak brylanty utkane na ciemnym szafirze, drgają w głębiach przestworzy gwiazdy bez liczby; mgławica rozbitych światów milczącym szlakiem bramuje szatę niebios a wspaniała kamea księżyca opalowém spięciem ujmuje na piersiach nieskończoności fantastyczne zwoje błękitów.

W parném powietrzu lipcowéj nocy cisza; zaledwie gdzieś w gałęziach ptak zakwili na gnieździe, ledwie w dali pies wioskowy zaszczeka. Z łąk dalekich dochodzą przytłumione odgłosy wodnego ptactwa, rechot żabek, przeciągłe wołanie derkacza. Wioska usypia.

Pracownicy dnia w śnie bez marzeń krzepią siły do nowych trudów, ci, którzy sił nie zużyli w twardéj szkole pracy, w tych cichych godzinach nocy myślą, szaleją, cierpią...

Dwoje ludzi przechadza się wolno po jasno oświeconych aleach ogrodu.

— Tak — mówi mężczyzna — prawda. Poniosłaś bolesną stratę, jesteś w ciężkiém położeniu, ale masz cel życia, masz dzieci. A to już część szczęścia...

— I ty mogłeś mieć to wszystko, Janie, a przytém bezkłopotliwy spokój dostatku. Dlaczego rozłączyłeś się z żoną?

— Rozłączyłem się? — głośno pyta mężczyzna. — Czyż potrzeba rozłączać to, co nigdy połączoném nie było?

Pytający wzrok kobiéty spoczywa na nim.

— Tak było, jak ci mówię. Co znaczy związek ciała, gdy nie ma téj spójni, jaką daje wspólność pojęć, myśli, zgodność charakteru. Co to za męczące życie, nurzać się tylko w zmysłowych uciechach, jaki niesmak, gdy ta, która powinna dźwigać ku górze, być idealnym pierwiastkiem życia, ściąga nas ciągle w bagno, wiecznie głodna, nigdy nie syta... A zresztą i ambrozya spowszednieje w codziennym użytku i Wenus z Milo opatrzy się w negliżu...

— Co ty mówisz? Janie — pyta zdziwiona kobiéta. — Czyż ciągle, jak dawniéj, męczy cię głód wrażeń, ciekawość coraz nowych

zabawek? Czy w twojém sercu nie ma miejsca na uczucie, na miłość?

— Miłość, miłość — sarkastycznie powtarza mężczyzna. — Wy, kobiéty, w pałacach i dworkach, wszędzie i zawsze szukacie, wypatrujecie miłości. Ja rozglądam się po świecie i w duszy własnéj i analizując treść ludzkich uczuć, motory czynów, często pytam zniechęcony, czy ona, ta miłość jest rzeczywistością, czy tylko wytworem imaginacyi głodnéj wrażeń?

— Chcesz przeczyć miłości, Janie, a powiedz mi, cóż kojarzy ludzi w związki trwałe, co daje siłę i punkt oparcia w życiu, jeżeli uczucie wykluczasz ze stosunków ludzkich?

— Co kojarzy ludzi? pytasz. Czy nigdy nie spojrzałaś uważnie na tę plątaninę wiotkich nici zasad, pajęczéj przędzy uczuć i grubych sznurów interesu, która się życiem nazywa? Jednych łączy interes, drugich przypadek, innych chwilowe upodobanie, zwyczaj, układ familijny lub akt rejentalny.

— Biedni! — szepcze kobiéta.

— Litujesz się nad nimi, kuzynko! Ty, dla któréj, jak sądzę, miłość nie jest „*terra incognita*,“ masz uzasadnione powody do politowania nad nędzarzami, którzy jéj nie znają. Ty, osóbko doświadczona i mądra — mówi żartobliwie biorąc jéj rękę — naucz mnie profana, czém jest w twojém pojęciu miłość?

Kobiéta milczy, długie rzęsy rzucają cień na blade lica.

— Miłość — mówi przyciszonym głosem — w sferze ducha, to piękno i dobro; to najwyższy rozwój téj siły, co kruszy egoizm jednostki na korzyść drugiéj istoty; to skarb, który dziwnym a niepowtarzającym się w naturze zjawiskiem ubogaca tego, który go oddaje drugiemu. To pierwiastek tworzący naszą nieśmiertelność...

— O piękna mentorko! za wysokie wskazujesz mi tory — sarkastycznie mówi mężczyzna wpatrując się we wzruszoną twarz kobiéty. — Racz zejść trochę niżéj i mnie, zwykłemu śmiertelnikowi powiedz, przez jaką kombinacyę spleciesz tę twoją idealną mrzonkę z prozaicznemi warunkami bytu? Jak przystosujesz miłość do małżeństwa?

— Małżeństwo i miłość! — woła kobiéta — ależ to najnaturalniejsza kombinacya w życiu! Miłość w małżeństwie, to zapach kwiatu, jasność płomienia, ciepło ogniska; to dźwięk pieśni i duch, ożywiający materyę i dymiące ogniska. Bywają także bezdźwięczne pieśni, bezduszne formy zwierzęce... Nie upoważnia to jednak do negacyi woni, blasku, ciepła, duszy i miłości.

Umilkła. Roziskrzony zapałem wzrok płynął w dal, objął spoj-

rzeniem siny las, stojący cicho w blaskach księżycowych, wzniósł się na czyste sklepienie niebios, gdzie światło drgające po nad tą ziemią cieniem okrytą, pyłem przysutą i krwią zbryzganą, nucą może hymny wiekuistego bytu miłości.

Mężczyzna zapatrzony w czyste linie profilu, milczy także; po długiéj chwili przyciszonym głosem pyta:

— Powiedz mi szczerze, Jadziu, z takiém podniosłém zapatrywaniem się na świat i ludzi — byłaś ty szczęśliwą? Nigdy brutalny rozdźwięk między idealną teoryą a prozą życia nie wsączył goryczy do duszy, nie schylił ku ziemi czoła?

— Szczęśliwą, szczęśliwą — powtarza kobiéta. — A cóż jest szczęście? — pyta cicho, przenosząc wzrok z nieobjętych przestworów, tak majestatycznych w swoim spokoju, na drżącego niepokojem, szarpanego coraz innèm pragnieniem człowieka. — Jeżeli szczęściem jest być w młodości swobodną jak ptak, czystą jak kwiat, a późniéj stanowić radość, światło drugiéj istoty; jeżeli szczęściem jest módz kochać i żyć dla kogo, a po za ukochaniem rodzinném, współczuć każdą radość, każdy ból swego społeczeństwa, to byłam i jestem szczęśliwą.

— „Komuś, dla kogo, przez kogo“ Jadziu! Same abstrakcye, które w rzeczywistości mogą się równać najcięższéj niedoli. Ja cię pytam o twoje, tylko twoje osobiste, niepodzielne uczucia. Dały ci one królewską ucztę miłości za młodu, ich wspomnienie jest teraz ciepłém i światłem kobiecych lat twoich?

Kobiéta schyliła głowę.

— Po co mnie pytasz? Janie! Są niedościgłe gwiazdy, które nam świecą, choć nigdy nie spłyną w spragnione ramiona, jak są niewcielone w życie ideały, które mu urok nadają i na drogę naszą rzucają woń i blask.

— Wtedy, gdy my depczemy po cierniach i rozbijamy się o kamienie, prawda? — przerwał drwiąco mężczyzna. — Pamiętasz, kuzynko, podobną noc w Topolnie? Wtedy, może pod bezwiednym wpływem tych egzaltowanych pojęć o miłości, odepchnęłaś ramię, co cię uścisnąć chciało a zarazem i serce, które mogłabyś była tak łatwo, tak łatwo zatrzymać przy sobie, dać mu szczęście i spokój — pamiętasz?

— Pamiętam — szepcze kobiéta. — Była to dla mnie chwila samowiedzy. Słuchając twojéj spowiedzi, patrzyłam w moje wzburzone, bolące serce i poczułam raz pierwszy... żem dumna.

— Tak, przez dumę wzgardziłaś roztwartém, jak zajezdny dom sercem młodego chłopca, nie uwzględniając, że on może nie znalazł

jeszcze bożyszcza, któreby mógł w niém stale umieścić. Sprawdziły się twoje szydercze słowa: nie masz powodu zazdrościć chwilowym wybuchom. Rozkoszy i uciech miałem zawsze do syta, jednego serca nie miałem nigdy.

— Może zbyt wiele wymagasz od życia, kuzynie. Zepsuło cię szczęście...

— Szczęście? — pyta z ironią mężczyzna — szczęście? Kiedym pustak szalony, gonił rozkosz po świecie i spijałem jéj narkotyczne puchary, myślisz, że byłem szczęśliwy? Gdy w objęciach moich drżała kobiéta, co była żoną a miała pretensye i wymagania metresy, czyż to było szczęście? Kiedy zmęczony, zdenerwowany, znudzony, włóczyłem się samotny po obcych krajach i za nikim nie tęskniłem, do nikogo nie wyrywałem się z powrotem, byłoż to dowodem szczęścia? Kiedy teraz, samotny w moim cichym domu, przesycony, zniechęcony, z pustką w sercu i żalem błądzę po wytwornych komnatach a nawet echo nie odpowie na kroki, tłumione kobiercem, to także szczęście? W jałowéj, pustéj egzystencyi, tylko jeden jest promyk jasny, ku któremu zwracam się nieustannie, jedno wspomnienie, które mnie z życiem i ludźmi godzi... to pamięć chwil przeżytych obok dziewczęcia szlachetnego, obok istoty prawdziwie, jedynie ukochanéj... Głos mężczyzny drży, drży ręka, którą ujmuje delikatnie dłoń kobiéty i do ust ją podnosi.

— Wiedziałaś, Jadziu, przeczuwałaś, żem ciebie kochał za młodu? Czy czujesz, rozumiesz, że dotychczas nie zapomniałem, że tęsknię, pragnę i czekam? — pyta ledwo dosłyszanym głosem.

Z pięknych, ciemnych oczów wolno spływają łzy, dłoń biała wysuwa się z gorących uścisków mężczyzny.

— Rozpoczynać nowe życie z sercem zmęczoném, otwiérać miłości ramiona, które obejmowały raz szczęście umarłe, wysnuwać świéżą przędzę z przepalonéj łzami tkanki, zapóźno Janie, zapóźno!

* * *

W salonach i salonikach, buduarach, kuchniach, garderobach wielkiego miasta płynęły, szumiały, wrzały roje wieści i nowin.

Jedne gęsim krokiem głosiły wszem wobec i każdemu z osobna, że piękny, świetny, zepsuty przez kobiéty i szczęście, rejent puścił się znów w dalszą podróż. Drugie, syczącym szeptem gadziny, opowiadały dyskretnie na ucho, że niepoprawny bałamut w stolicy zagranicznéj cieszy się łaskami zachwycającéj artystki; trzecie z chrześcian-

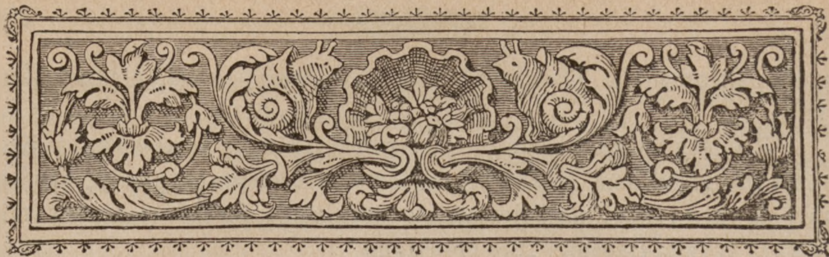
skiém politowaniem ubolewały nad zawodem pewnéj, pięknéj blondynki.

Kobiéty za wachlarzami i bez wachlarzów, z uśmiechem politowania lub grymasem złośliwego zadowolenia szeptały, plotły, utyskiwały na czas i ludzi, na znieważenie moralności, pieczętując wszystkie dysputy tryumfującemi: „nie mówiłam?“

Mężczyźni przy biurkach i zielonych stolikach, przy cygarze, bilardzie, fajeczce, z westchnieniem zazdrości rzucali: „szczęśliwy!“

Gryf.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Stefan Ramułt, „Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego“ Krak. 1893. Dr. Nadmorski, „Kaszuby i Kociewie. Język, zwyczaje, przesądy, podania i pieśni ludowe“. Poznań 1892.

Plemię Kaszubów, ze względu na charakterystyczne cechy języka, zasługuje na bliższą uwagę lingwistów, o ile nam wiadomo, niezbyt szczodrze korzystających z nagromadzonego obficie materyału.

Obok słowozbiorów Cenôwy (1861 r.), Hilferdinga (1862 r.), Derdowskiego (1880 r.), Pobłockiego (1887 r.) i Leona Biskupskiego (1891 r.), praca p. Stefana Ramułta cenny dla nauki stanowi nabytek, za który autorowi szczególną winniśmy wdzięczność. Kto nie zbierał materyału lingwistycznego lub etnograficznego, ten nie wié, z jakiemi czynność taka połączona jest trudnościami. Dla tego téż, oddając hołd pilnemu i sumiennemu na niwie nauki pracownikowi, pozwalamy sobie wyrazić życzenie, obyśmy więcéj takich Ramułtów mieli! Pracowity i sumienny autor, dzieło swoje przesłał akademii umiejętności w r. 1888. W następnym roku, w skutek orzeczenia sędziów co do prac nadesłanych na konkurs Lindego, słownik ten odznaczony nagrodą, przeleżał jednak w rękopisie aż do r. b. Nic wszakże dzieło to na zwłoce nie ucierpiało, bo pomnożonem zostało o kilka tysięcy wyrazów, tudzież dodaniem wstępu i małego zbiorku literatury ludowéj. O ile wnosić możemy z przedmowy, wkrótce spodziewać się można wyjścia części drugiéj, a więc podwojenia dotychczasowego słowozbioru o jakie 14,000 wyrazów.

Autor zaczyna od rysu historyczno-etnograficznego, następnie opisuje siedliska Kaszubów, których ogólną liczbę podaje na 242,000

dusz. Poczém mówi o dźwiękach, iloczasie, akcencie, gwarach kaszubskich, przedstawionych według p. R. w trzech głównych grupach: 1) północnéj, 2) środkowéj i 3) południowéj. Północnéj gwary używają Słowincy i Kabatkowie w pow. słupskim (Stolpe), Kaszubowie połebscy w północno-wschodniéj części powiatu lęborskiego (Lauenburg), Żarnowiczanie, Bylacy i rybacy na półwyspie Heli. Gwara środkowa obejmuje powiaty: pucki, wejherowski, kartuzki i po części gdański. Południową słyszéć można w powiatach: kościerskim, chojnickim i człuchowskim.

Autor pod nazwę Pomorzan pociąga Słowian połabskich, Słowińców, Kabatków i Kaszubów. Tych ostatnich uważa za resztki Pomorzan, zaliczając ich do szczepu połabskiego. Z tego powodu tworzy nowy podział narzeczy zachodnio-słowiańskich, wśród których język kaszubski, nazwany przez p. R. pomorskim, zajmuje takie stanowisko jak polski, czeski, słowacki, górno i dolnołużycki.

Dla przeprowadzenia swojéj tezy, autor porównywa kaszubszczyznę z językiem literackim polskim, zamiast wykazać nam stosunek onéj do gwar ludowych polskich. Nie wiem, dla czego autor tę drugą metodę błędną nazywa. Przewiduje nawet pewne zarzuty, gdyż mówi: „Dotychczasowy sposób załatwiania właściwości języka kaszubskiego i polskiego uważam za nieodpowiedni. Polega on na tém, że w braku tożsamości lub bodaj analogii zjawisk i praw językowych pomorskich w języku literackim polskim szuka się zwykle podobieństw n a w y r y w k i raz tutaj, to znów w innéj gwarze polskiéj ludowéj, przy czém nie uwzględnia się różnic, dzielących te gwary od języka pomorskiego“. W takim razie np. gwarę zakopańską należałoby porównać z językiem literackim, mając na uwadze różnicę mowy górali zakopańskich od gwary np. mazurskiéj, wielkopolskiéj i t. p. Autor wszakże nie wyróżnił tych cech charakterystycznych, bo nie uwzględnił wszystkich gwar polskich; dla tego téż doń stosować musimy metodę „na wyrywki“.

P. R. utrzymuje, jakoby *â* długie było wyłącznym kaszubszczyzny znamieniem, nie zdając sobie sprawy z gwarnictwa polskiego, tudzież z pomników językowych, gdzie ono bądź żyje, bądź téż drgało jeszcze życiem, nim śladu swojego istnienia w samogłosce ścieśnionéj nie zostawiło. Twierdzenie, że samogłoski ścieśnione w kaszubskim nietylko wyróżniają się od takichże dźwięków w języku literackim, ale nawet w gwarach polskich, jest nieco śmiałém; albowiem w niektórych dyalektach *ó* zbliża się w wymowie do *i*, a nawet do niemieckiego *ö* np. w okolicach Tarnobrzegu w Galicyi. Przejście *a* na *e* po płynnéj *r* (rek=rak, redość=radość i t. p.) znaném jest w dyalekto-

logii mazurskiéj; np. redzić, zdreda (radzić, zdrada). Nietylko po płynnéj *r* ale i po innych spółgłoskach np. jek (jak), osukenstwo (oszukaństwo). Coś podobnego czytamy w „Kazaniach świętokrzyskich:“ „święta Katerzyna“. W Biblii szarospatackiéj: wszeko, jeko (jako), reno (rano) i t. p. W Psałterzu Floryańskim elbo zam. *a*lbo (106, 12). W tłomacz. Statutu wiśl. Świętosława z Wojcieszyna: „jęż renę“. „Pyotr sam urenił“. Grupa *ir* nietylko w kaszubsk. częsta, jak chce p. R. Stanowi ona cechę staropolszczyzny i wszystkich gwar polskich. Przejście na *ier* (wierzch zam. w*i*rzch) jest znacznie późniejsze. Przejście *u* na *e* wyróżnia zdaniem p. R. kaszubski nietylko od polszczyzny, ale od innych narzeczy słowiańskich. Ze słów jego wnioskujemy, że autor nie wié, iż we wsi Pisarzowice w Galicyi zachodniéj jest połednie zam. południe. Podobnież w gwarze zebrzydowickiéj i w górnoszląskiéj. Przejście to widoczne w dawném imieniu Pełka zam. F*u*lco. Samogłoski nosowe *ų į* żyją jeszcze w gwarach polskich. Chociażby w kaszubskim było dz zam. *d* (dzarł=darł) nic za połabskiém kaszubszczyzny pochodzeniem nie przemawia; albowiem w gwarach wielkopolskich mamy również podobnego rodzaju zmiękczenia, niezgodne z językiem literackim np. *idzią* zam. idą (Krobia, Ostrzeszów, Odolanów, Krotoszyn, Pleszew, Września), u ży*dzi*a lub ży*di*a zam. u żyda (Miejska Górka w W. Ks. Poznańskiém). Oprócz tego w gwarach tych są inne zmiękczenia, nie tyczące się tego *dz* np. wi*ni*o (wino), śli*ni*a (ślina), mły*ni*a, glinia (młyna, glina), sy*ni*owi (synowi), *die*mbina i t. p. W Biblii szarospatackiéj: ge*dzy*ni (jedyny), szwyadzecztwo (świa*d*ectwo). Inne zmiękczenia w téjże Biblii: *cz*yeszcz (teść), czwyrdza (twierdza), dob*rz*ego (dobrego), *instrumentalis singl.* syost*rz*ą (siostrą) i t. p. Ścisły rozbiór poglądów p. R. wymagałby nie skromnego artykuliku sprawozdawczego, ale rozprawy, a nawet obszernego dosyć dzieła, na co w piśmie tém miejsca nie mamy.

Przejdźmy teraz do książki p. Nadmorskiego.

Słowianie siedzący nad Wisłą, Odrą i Łabą (Elbą) od Karpat i gór Olbrzymich aż po morze Baltyckie i Północne, należeli według p. N. do jednego plemienia, którego sąsiedzi wschodni nazywali Lachami. Różnice z początku nieznaczne, z czasem przez stosunki z Niemcami i Celtami, wytworzyły cechy, które nadają się do odpowiedniego podziału na pewne gromady czyli grupy plemienne. Dowodów spólności plemiennéj tych ludów, autor szuka w języku. Znaną nazwę wojewody nad Wisłą, p. N. znajduje w gwarze Drewian i Glinian aż do XVII w. U Platowa, brzmi ten wyraz *wawoada*, u Ekkarda zaś *wowoda*. Najbardziéj wszakże za jednolitością gwar polsko-połabskich, przemawiają dźwięki nosowe. Najdawniejszym znakiem jest

an, późniéj *ę*, którego miejsce zastąpiło z czasem *ą*. Toż zdarza się u mieszkańców Rujany i Pomorza zachodniego, gdzie w XIII st. zachodzi proces zmiany *an* na *ę* (en). W zabytkach mowy Drewian i Glinian z XVII w. *u* nosowe t. j. *un* (np. runka, junsik i t. p.), a obok tego *o* nosowe (ronka i t. p.). My zaś od siebie dodajemy, że w Kurowie i Ponigwodzie (w lubelsk.), tudzież pod Sierpcem, nierzadkie to *un* (na zielonum łącke, umywajum. Wisła V, 757). Pochylanie *a* na *o*, znane w gwarach polskich, częste w pomnikach połabskich (m*o*m=mam, m*o*sz=masz, m*o*=ma, w*o*m=wam i t. p. Samogłoska *y i* na *ē* w postaci *ei*: żywot=seiwot, glina=gleina. W połabsk. *ü* zam. *o* (büg) widzi autor kaszubskie *oe*.

Wątpliwą jest rzeczą, azali połabsk. *tj* lub *tgi* brzmiéć mogło jak kaszubskie *cz* (neistgi t. j. nesczy=nizki, *tje*sa t. j. czesa=koza i t. p.). Zdaje się, o ile polegać można na bałamutnéj wyrazów tych ortografii, że pisarz chciał tu wyrazić miękkie *t'*, które przeszło z czasem na *tj*, dla tego zestawienie podobnych form z kaszubskiém niesczi (nizki), czij (kij), czede (kiedy) uważamy za przedwczesne. Owo *tj* zam. kaszubsk. *cz* żyje jeszcze w mowie Słowińców i Kabatków obok *kj*, jak również *gj* obok *dj*.

Grupa *or* zam. naszego *ro* widna w połabsk. wog*or*d (ogród), w*or*da (wrota), g*or*ch (groch). U Kaszubów koło Pucka i Wejherowa *or* zam. polsk. *ar*; gr*ó*nk=g*ar*nek. Przydechem wyróżniają się gwary połabsko-łużyckie od polsko-kaszubskich. W pierwszych bowiem rolę tę spełnia *w*, w drugich krótkie *u*, co autor niewłaściwie przez *ł* wyraża. Akcent w gwarach północno-kaszubskich jest ruchomy, z dążnością atoli umieszczania go na zgłosce przedostatniéj. W miarę atoli bliższego sąsiedztwa z polszczyzną, akcent poboczny staje się głównym. Najdawniejsze pomniki połabszczyzny wykazują *o*, *a*, *u* zam. późniejszego *e*. Autor opierając się na formach połabskich w*or*ch, w*ar*ch (wierzch), utrzymuje, że tematem wyrazu „Warszawa“ jest w*ar*ch lub w*arz*ch, t. j. wierzch, gdyż miasto leży na wzgórzu (pierwotnie Warzchawa). W dowodzeniu tém jest pozór. Zgadzając się nawet na temat powyższy, musielibyśmy przyjąć formę *Warcha* lub *Warzcha* i sufiks *wa*. W takim razie byłoby Warchawa lub Warzchawa nie zaś Warszawa, bo *ch* czy *zcha* nie miałoby powodu przejścia na *sz*. O ile nam wiadomo, najdawniejszą formą jest „Warszewa“ i Warszowa“. W Kodeksie Wielkop. (II nr. 1067, r. 1326) np. „Warzeva“ t. j. „Troidinus dux Mazovie etc. 1326 Mai 30 in Warzeva“. U Rzyszczewskiego i Muczkowskiego pod r. 1339 czytamy Varsch*o*viam (tom III, nr. LXXXIX), pod r. 1358: „Semouito duce Warss*o*uie (CXX)“. Jest to więc nic innego, jak forma przymiotnika

dzierżawczego warsew, warszew, warszow t. j. warsów, w rodz. żeńsk. warszewa, warszowa, w końcu przez upodobnienie do *a* końcówkowego: Warsz*a*wa t. j. Warsa, Warsza.

Przykłady przytoczone przez autora dowodzą, że i mowa kaszubska się przekształcała, nawet utraciwszy trochę form dawniejszych, a w wielu gwarach polskich istniejących. Pierwotna kaszubszczyzna zachowała się na północy, zwłaszcza u Słowińców i Kabatków, na południu zbliża się do gwary kociewskiéj, należącéj do dyalektologii polskiéj. Mieszkańcy północni nazywają się *greby* (grubi), południowi zaś *fajnkaszuby.* Niektórzy dzielą Kaszubów na Beloków t. j. wymawiających *l* zam. *ł*, i Łeżaków, zachowujących w wymowie tę drugą. W mowie Kociewiaków przy zetknięciu się powiatów starogardzkiego i kwidzyńskiego ze świeckim, istnieje pierwotne *an* zam. ę; rami*an*, zi*an*mian (na ziemię), r*an*ka i t. p. Często słyszéć można: Ziel*an*ski (Zieliński), Czerwi*an*ski (Czerwiński), l*an* (len), lami*ans* (lemiesz). Spółgłoska *rz* brzmi jak ż.

W następnych rozdziałach autor opisuje okolice zamieszkałe przez Kaszubów i Kociewiaków, tudzież podania, piosnki miejscowe, zwyczaje i przesądy. Przytém dodane są piosnki kaszubskie i kociewskie. *Justyn Feliks Gajsler.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Adam Krechowiecki.* **Najmłodsi**, powieść. 2 tomy (str. 295, 369). Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.—W pomyśle głównym powieść ta przypomina „Wnuczęta“ Kaczkowskiego. Tu i tam mamy odmalowane trzy kolejne pokolenia, coraz to słabsze, coraz to mniéj rozumiejące potrzeby ogółu, coraz bardziéj egoistyczne. Pokolenie najstarsze do późnéj starości przechowuje czerstwość ducha, zasady stałe postępowania, hart moralny, piętnujący każde odstąpienie od obowiązków obywatelskich. Drugie z kolei rozmarzone romantyzmem, niepraktyczne, ale szlachetne, nie umié utrzymać w całości pozostawionéj sobie spuścizny, nie wiadomo na co i jak marnuje ją, ale poczucie spraw ogólnych przechowuje w sobie ciągle i uczynkami dobroczynnemi dla najbliższego otoczenia stara się utrzymać związek miedzy „niższymi“ i „wyższymi“. Najmłodsze wreszcie, ostatnie jest osłabłe, skarlałe, pozbawione energii, chorujące na zanik woli, lub téż zdrożnemi ją kierujące ścieżkami, łatwo na znikczemnienie się podaje lub się posuwa do zbrodni w imię jakiejś nieprzetrawionéj doktryny.

Teoretycznie p. Krechowiecki nie potępia w czambuł wszystkiego, co dziś jest; uznaje i podnosi szczerość w uczuciach, trzeźwość w poglądach, prawdę w sztuce; lecz na takiém teoretyczném tylko ustępstwie poprzestaje; w akcyi zaś powieściowéj same ujemne strony życia spółczesnego maluje. Najsympatyczniejszą, duchowo najczystszą postacią w utworze jest wprawdzie przedstawicielka także najmłodszego pokolenia, lecz czytelnik musi ją uważać raczéj za wyjątek niż za regułę, za jakąś postać z czasów romantycznych zabłąkaną wśród smutnych, bolesnych, prozaicznych stosunków dzisiejszych. Tajemnica otaczająca jéj urodzenie aż do ostatnich kart powieści, poezya stepu, na którym się wychowała, nadzwyczajne talenta, jakiemi potrafiła sobie zdobyć publiczność wybredną Paryża i koteryjną krytykę tameczną; tragiczność jéj uczuć: wszystko to dostatecznie ją charakteryzuje jako dziewicę doby romantycznéj, nie dla tego bynajmniéj, żeby pod względem wewnętrznym brakowało dzisiaj kobiet takich, ale dla tego, że formy zewnętrzne życia, w jakie ją przybrał autor, a zwłaszcza zestawienie jéj z innymi przedstawicielami „najmłodszych“ uważać ją w ten sposób zniewalają. Bo istotnymi przedstawicielami „najmłodszych“ według intencyi autora są: Zygmunt Czarnoszyński i Jerzy Sipajłło. W ich znowuż charakterystyce przypominają się rysy, któremi niegdyś Kaczkowski nakreślił bohaterów „Dziwożony“, starając się przeprowadzić przeciwieństwo między arystokracyą i demokracyą. Zygmunt, potomek znakomitego rodu, którego świetności nie może już podtrzymywać zasobami rozległéj fortuny, wychowany miękko, niedostatecznie ukształcony, a mający pretensyę do genialności, sprobowawszy zaledwie trudu znalezienia sobie jakiejś pracy chlebodajnéj, woli następnie przyjąć wygodne, choć upokarzające stanowisko sekretarza u księcia de Sarthes, za którego wyszła jego kuzynka Irena, kochająca Zygmunta, lecz nie myśląca nawet o poślubieniu ubogiego, woli być żoną bogacza, a kochanką kuzyna. Powieściopisarz stara się zawsze utrzymać sympatyę czytelnika dla Zygmunta; przez odmalowanie atoli jego stosunku do Ireny i jéj męża stawia go chyba możliwie najniżéj w opinii ludzi ceniących godność własną. Nie myślimy przeczyć, żeby i z takich ludzi, jak Zygmunt, nie mogli się z czasem wyrobić dzielni pracownicy, gdyż wierzymy w żywotność organizmów, ale nie uważamy za rzecz społecznie dobrą budzenie spółczucia dla téj fazy w życiu próżniaków i rozpustników, w jakiéj widzimy Zygmunta w drugiéj części powieści. Dla Jerzego Sipajłły jest, zdaje się, niesprawiedliwym natomiast autor; od samego początku wykazuje w nim złe tylko popędy zarówno w stosunku do otoczenia domowego, do Oli, jak do Zygmunta i innych kolegów uniwersyteckich; nie przypuszcza

w nim innych drgnień szlachetniejszych nad żądzę wyniesienia się jakimkolwiek sposobem. Uczynił go konsekwentnym wyznawcą materyalizmu teoretycznego i praktycznego, a pod wpływem Bourgetowskiego „Ucznia" doprowadził go do spełnienia zbrodni, jakoby w imię nauki, do zaszczepienia jadu raka w piersi dziewczęcia, które leczył w szpitalu. To téż kiedy Zygmuntowi pozwala wyszlachetnićć, Jerzego skazuje na samobójstwo. W gruncie rzeczy nie jest jeden lepszym od drugiego, a okrutne słowo Jerzego, iż Zygmunt jest zabójcą ks. de Sarthes, ma usprawiedliwienie swoje nie tylko w złości człowieka, któremu wyrzucają zabójstwo dziewczyny. Sądzimy, że i takie charaktery jak Jerzego są zdolne do udoskonalenia i wyszlachetnienia. Ostatecznie, czy w Zygmuncie i w Jerzym są istotnie pierwiastki, któreby nam kazały uważać te osoby za typowych przedstawicieli „najmłodszego" pokolenia? Zapewne, powierzchownie rzecz biorąc t. j. opierając charakterystykę na drobiazgach zewnętrznych, można dojść do takiego przekonania, lecz w gruncie rzeczy nie mamy tu w tych postaciach czegoś znamiennego naprawdę. Już powyższe przypomnienie dwu analogicznych figur Kaczkowskiego, stworzonych w połowie tego stulecia, wskazuje, że osoby p. Krechowieckiego nie są utworami typowemi. Takich ludzi jak Czarnoszyński wydaje każda epoka, w któréj instynkty rycerskie nie mają pola rozwoju; pełno téż jest ich w naszém powieściopisarstwie. Postać Jerzego jest niewątpliwie w całym swoim przebiegu nową u nas, lecz nie można jéj również uznać za coś specyficznie najnowszego. Nie powołując się na wiek odrodzenia, na odgrzebywanie trupów dla sekcyi, przypomnę tylko ową pełną grozy scenę w II części „Wilhelma Meistra" Goethego, gdzie odmalowane zostało zabójstwo młodéj i pięknéj dziewczyny umyślnie dla celów anatomicznych. Więc i w tym szczególe, który dla bardzo wielu wydać się mógł charakterystycznym ze względu na swoje zabarwienie „naukowe", nie jest Jerzy wynikiem dążności najnowszych, ale ma już pokrewieństwo dość daleko w przeszłość sięgające. Zdaniem tedy naszém nie udało się autorowi dać psychologii najmłodszego pokolenia; lecz przyznać winniśmy, że niektóre sceny, mianowicie te, do których wchodzi Ola, znakomicie zostały nakreślone. Szkoda jedynie, że zacierają się one w skutek nadmiernéj gadatliwości i rozwlekłości innych epizodów i w skutek słabości kompozycyi, w któréj nie ma téj spójni silnéj i stanowczéj, jaka jest konieczna w dziełach sztuki, jeżeli mają wywrzéć jednolite wrażenie.

= *Kazimierz J. Górzycki.* **Wpływ stolicy apostolskiéj na rokowania pokojowe Kazimierza W. z Czechami i zakonem niemieckim.**

Lwów 1893. Postać Kazimierza Wielkiego owiana była przez długi czas w dziejach naszych jakąś barwą legendową, bo zarówno brak materyałów źródłowych, jakotéż i pracowników specyalnych nie dozwalał krytyce historycznéj odtworzyć téj dziejowéj osobistości we względnéj przynajmniéj pełni prawdy i życia. Zmarły Szujski, Helcel, Bobrzyński, Anatol Lewicki, Prochaska, oto szczupły szereg historyków polskich, zajmujących się czasami Kazimierza Wielkiego, do którego to zastępu przybywać poczynają i młodsi prawnicy, jak np. p. Górzycki, uczeń ś. p. Liskego, autor nie z pierwszą dopiéro pracą występujący.

Świt „epoki odrodzenia“ na Zachodzie, zainaugurowany pierwszemi krokami rozbudzonego w czasach wojen krzyżowych mieszczaństwa, jest ogólném tłem, na którém wspaniale zarysowuje się postać „Wielkiego Piasta.“ Tło to ponętne dla autora, lubującego się w przedstawianiu dziejów z socyologicznego punktu widzenia.

Czytając rozprawkę, obserwujemy z jednéj strony stolicę apostolską, działającą przeważnie pod wpływem własnych interesów, zaangażowanych silnie w walce z cesarzem Ludwikiem bawarskim, z drugiéj zaś strony widzimy rząd polski, kierowany wprawną dłonią króla Kazimierza. „Obznajmiony z tajnikami ówczesnéj dyplomacyi,“ świadom między innemi wzrastającego znaczenia grosza i pieniędzy w polityce, umié on sprytnie wyzyskać każdą sytuacyę. Korzystając z bliskich stosunków ze stolicą papieską, używa Kazimierz pośrednictwa jéj i poparcia w układach o pokój z Czechami i Krzyżakami. Wpływy polityczne papiestwa podupadły już wprawdzie, jak sam autor przyznaje, znacznie, skutkiem wzrastającéj potęgi samoistnéj, społecznéj i politycznéj państw poszczególnych; rząd Kazimierza Wielkiego doprowadza jednak do skutku „proces kanoniczny“ z Krzyżakami, którego rezultatem jest wyrok pierwotnie bardzo, późniéj zaś częściowo korzystny dla Polski. Na zasadach tego wyroku normują się ostatecznie stosunki polsko-krzyżackie, przedtém zaś przychylność kollektorów papieskich dla hojnego króla, przyczynia się wielce do możliwie korzystnego dla Kazimierza załatwienia sporów polsko-czeskich na kongresie w Wyszegradzie w 1335 r.

Polska traci wprawdzie prawa lenne na Szląsku, a zapewne i na Pomorzu, królowie jednak czescy przestają za to rościć sobie pretensye do korony polskiéj, a Krzyżacy zwracają Kujawy z ziemiami: dobrzyńską i michałowską. Król Kazimierz nie spuszcza z oka jednak spraw ziem odstąpionych i łączy się w danéj chwili nawet z cesarzem Ludwikiem przeciw Karolowi IV-emu, przyjacielowi papieża Klemensa VI go, by w ten sposób uratować tyle doniosły na owe czasy związek

szląskiego biskupstwa w Wrocławiu z Polską, t. j. z arcybiskupstwem w Gnieznie. Stosunek Polski do Węgier ciężkim bywa częstokroć dla Kazimierza, ale przynosi także nie małe korzyści, bo dom Anjou, rządzący w Węgrzech, ma rozległe stosunki ze stolicą apostolską i własną zresztą potęgą zasłania przyszłe swe piastowskie dziedzictwa przed nieprzyjaciółmi. Księstwo płockie na Mazowszu np. wraca do Polski głównie pod wpływem dyplomacyi węgierskiéj, a i na Rusi Czerwonéj dyplomacya ta, w samolubnych zresztą celach, pomaga Kazimierzowi Wielkiemu.

Oto krótka treść rozprawy p. Górzyckiego, która omawia wprawdzie częstokroć dawniéj już znane fakta, pogłębia je jednakowoż a nierzadko i w nowém oświetleniu przedstawia, tak, że w każdym razie należy ją uważać za cenne dorzucenie kilku cegiełek wiedzy dziejowéj do odbudowania całokształtu rządów Kazimierzowskich. Znajomość źródeł i literatury odnośnéj u autora widoczna, całość zaś zaleca się przejrzystym układem, stylem prostym, acz może nieco za suchym. *Nit.*

= *Władysław Karoli.* **Swoim i sobie.** Kraków—Petersburg, 1892, str. 80. Z dwu części składa się ten zbiorek poezyi młodego autora, który niepewną jeszcze ręką trąca w struny: pierwsza część zatytułowana jest: „Życie", druga—„Miłość". W tamtéj kreśli zazwyczaj obrazki z cierpień i niedoli ludzi biédnych, pracujących („Rybak", „Nędza", „Kowal", „Nauczycielka", „Dzienniki" i t. d.), starając się przemówić do serc i umysłów, któreby mogły wpływem swoim przyczynić się do ulżenia im losu. W dziale drugim maluje albo własne uczucia swoje, albo opowiada zdarzenia mające związek z miłością, albo daje przekłady obcych liryków (Petöfiego, Lermontowa). Szczerość, serdeczność, usposabiają dobrze dla autora; wróżb żadnych na przyszłość nie można jeszcze ze zbiorku jego pierwiosnków wyprowadzać; życzyć mu tylko wypada, ażeby studyami starał się zapanować nad językiem i formą wierszową i te bowiem narzędzia, któremi poeta posługiwać się musi, są dotychczas dość oporne ręce młodzieńczej.

= *Leon Szepielewicz.* **Powieść Cervantesa** (po rusku, Charków, 1893, str. 13 w dwie szpalty). Jest to szczegółowa wiadomość o mało u nas znanych nowelkach twórcy Don Kichota, wraz ze streszczeniem ich i krótką oceną. W pierwszém wydaniu z r. 1613 było ich 12; dwie z nich weszło do pierwszéj części Don Kichota. Pisane one były w różnych czasach; w najwcześniejszych znać wpływ nowelli-

styki włoskiéj; dwie mają niewątpliwe cechy autobiograficzne, mianowicie: „Jeniec algierski" i „Wspaniałomyślny kochanek"; niektóre posłużyły za temat do libret operowych (Precyosa Webera) lub dały wątek do dramatów.

= Po bardzo długiéj przerwie wydawnictwo **Encyklopedyi Wychowawczéj** zaczęło się ukazywać na nowo. Wyszedł mianowicie zeszyt 1-szy tomu V, zawierający dalszy ciąg litery G. Zastanowiła nas nieproporcyonalność artykułów tu zawartych; gdy bowiem o Łukaszu Górnickim (przez Piotra Chmielowskiego) znajdujemy $7^1/_2$ stronic, o Jakóbie Górskim (przez Kazimierza Morawskiego) mamy rozprawę na 26 stronach. W samych początkach Encyklopedya mieściła co prawda tak długie i dłusze artykuły o nauczycielach, czy wogóle, wpływowych osobistościach w pedagogice, ale późniéj wydawnictwo uszczupliło im miejsca, i dopiero z obecnym zeszytem zdaje się wracać na dawne tory. Rzecz p. Morawskiego jest bardzo dobra sama w sobie, lecz dla ram „Encyklopedyi Wychowawczéj" bezwarunkowo za wielka. Oprócz tego w zeszycie obecnym mamy bardzo gruntownie napisany przez Bronisława Bieńkowskiego artykuł o „Gramatyce greckiéj" i początek rozprawy o „Gramatyce łacińskiéj".

= **Biblioteka powszechna,** o której pisaliśmy w roku zeszłym, w tegorocznych wydawnictwach wcale nie zmieniła tego dziwnie mieszanego programu, jakiego się trzymała poprzednio. Obok przedruków rzeczy istotnie dobrych pod jakimkolwiek względem, obok przekładów dziełek rzeczywiście na przekład zasługujących, jak np. Pawła Mantegazzy „Wiek nerwowy" (w tłomaczeniu Jakóba Wolbruera), podaje także np. ramoty jak Włodzimierza Kaczorowskiego „Poradnik dla tańczących", który może mieć swoją speryalną wartość, ale do tego szeregu, w którym znajduje się Mickiewicz, Szekspir, Bernardin de Saint Pierre, Cyceron i t. p. zaliczać się zgoła nie może. Z utworów, które są odbitkami z czasopism, a więc w formie książkowéj pojawiają się w „Bibliotece powszechnéj", wymienić można zbiór nowel znanego już czytelnikom „Ateneum" p. Wilhelma Feldmana p. t. „Jak w życiu", daléj powieść Teofila Szumskiego „Victoria!", oraz szkic z życia ludu podgórza tatrzańskiego p. t. „Urzeczona", nakreślony przez J. S. Pobratymca.

— Wyszedł z druku zeszyt 144 **„Słownika geograficznego“** kończący tom XII, i zawierający między innemi artykuły: Wadowice, Waliszew, Walk, Wałcz, Wałdowo, Wapcz, Waplewo, Waręż, Warka i Warklany.

Korespondencya.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłając załączoną niżéj „informację“ dla wiadomości Redakcyi, uważamy za niezbędne — wyjaśnić, co mianowicie skłoniło nas do napisania tejże.

Słynne niegdyś z taniości Monachium podrożało niesłychanie. Kilkanaście lat obserwacyi na miejscu przekonało nas, że w kraju nic nie wiadomo po dziś dzień, jakie zmiany tutaj zaszły. Następnie dokładna znajomość życia naszych najmłodszych kolegów—ich ciągły niedostatek i wynikające z tego następstwa, — następstwa niesłychanie smutne (na żądanie Redakcyi możemy cytować fakta) przekonały nas, że „informacya“ nasza przydać się powinna.

Nie mamy na celu powstrzymywania mających ochotę kształcić się tutaj, uważamy owszem, że dla każdego artysty pobyt w Monachium pod wieloma względy bardzo korzystnym być może, chcemy jedynie oszczędzić przykrych zawodów i złudzeń, a także ochronić tutejszą naszą kolonję od kroków rozpaczy, czego dowód mieliśmy bardzo niedawno.

Ufamy też, że „informacya“ nasza powiadomi fundatorów, lub dających stypendya artystom, że środki w tym celu wyznaczane nie tak śmiesznie małe, a tém samém nie odpowiednie będą do panujących na miejscu stosunków.

Stypendya bowiem dotychczasowe zachęcały nieoględnych do wyjazdu za granicę, skazując ich potém na targanie sił i zdrowia w walce z głodem i chłodem, na jaką prawie każden z nich bywał skazany. Że zaś w tak trudnych warunkach pracować nie mogli, przeto zamiast studyować, musieli się zaprzedawać w niewolę tutejszym handlarzom sztuki, (że jest to niewola możemy cytować fakta(i wielu skutkiem tego istotne swe zdolności zmarnowało bez celu.

Sądząc, że wyjaśnienie powyższe wystarczy, aby nas ochronić od wszelkich mogących powstać zarzutów lub podejrzeń, prosimy

w interesie ogółu o umieszczenie „informacyi“ naszéj w piśmie Pańskiém.

Monachium w Lipcu 1893 r.

Władysław Wankie. Maryan Wawrzeniecki.
artyści malarze.

INFORMACYA.

Nie rzadko zdarzało się nam czytać w pismach krajowych najbłędniejsze pojęcia o stosunkach malarskich za granicą. Pobyt w Monachium zwłaszcza, przedstawiano, jako istne Eldorado dla każdego, kto się nad Izarą znajdzie. Opinia publiczna zbałamucona błyskotliwém i istotném powodzeniem niektórych tutejszych luminarzy w sztuce, sądziła, iż taki sam los czeka każdego, kto tutaj przybędzie.

Wielu znalazłszy się na miejscu, a naglonych brakiem środków, zamiast kształcić się w sztuce, cały czas swój zmuszeni byli poświęcić na wyrobniczy, a obecnie nie łatwy i nędzny zarobek. Uważamy, że w Monachium szybko i stosunkowo taniéj niż w Paryżu lub Rzymie wykształcić w sztuce się można — nie w celu tedy zniechęcania lub powstrzymywania przybyć tu zamierzających, lecz jedynie celem realnego poinformowania i dokładnego objaśnienia piszemy niniejszą informacyą.

Aby zatém wszelkie istniejące lub mogące powstać złudzenia i omyłki wykluczyć, objaśniamy rodziców, fundatorów stypendyów, oraz samych stypendystów o niezbędnych wydatkach, jakie każdego chcącego tutaj studyować czekają.

1) Uczeń prywatnéj szkoły malarskiéj.

Opłata szkolna	miesięcznie od 20 do	25 marek
Akt wieczorny	„ „ 2 „	4 „
Mieszkanie	„ „ 18 „	25 „
Życie (2 marki dziennie)		60 „
Utensylia malarskie	miesięcznie od 20 do	30 „
Opał	„ „ 8 „	16 „
Wydatki na pranie i drobne potrzeby		20 „
Suma miesięcznie	od 180 do	200 marek

2) Student Królewskiéj Akademii Szt. Pięknych.

Wszyscy obcokrajowcy płacą w Akademii za I-szy semestr 85 marek, następny zaś semestr 64 marki. czyli za 2 półrocza 149 marek; inne wydatki jak poprzednie.

3) Samodzielnie chcący pracować artysta malarz.

Atelier	miesięcznie			40	marek
Życie, pranie, ubranie	„			100	„
Model	miesięcznie	od	60 do	80	„
Utensylia malarskie, farby				50	„
Zwiedzanie wystaw, przyjemności, wyjazdy na studya w okolice	„	„	30 „	50	„
Wpisowe do Towarzystw Artystycznych, składki i nieprzewidziane wydatki		„	10 „	20	„
Suma miesięcznie		od	250 do	300	marek

Prosimy wszystkie pisma nasze o przedruk niniejszéj „Informacyi“, ze względu na jéj niezaprzeczoną ważność i cel.

Monachium w Lipcu 1893 r.

Władysław Wankie. Maryan Wawrzeniecki.
artyści malarze.



NEKROLOGIA.

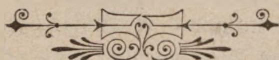
† **Stefan Kuczyński**, doktór medycyny, jeden z najgorliwszych propagatorów metody homeopatycznéj przed laty 25-ciu, kiedy miewał o tym przedmiocie wykłady w Warszawie, drukowane w „Przeglądzie Tygodniowym“ i osobno. Ogłosił także zarys „Hygieny“. Zmarł w Warszawie 29 czerwca r. b., przeżywszy lat 67.

† **Antoni Bądzkiewicz**, wytrawny nauczyciel i literat, urodzony w r. 1830, ukończył gimnazyum w Mińsku gub., na studya uniwersyteckie udał się w r. 1849 do Kijowa i obrał najprzód wydział lekarski, rychło atoli przeniósł się na historyczno-filologiczny. Odbywszy przytém praktykę na kursach pedagogicznych, zwycięsko wyszedł z egzaminu konkursowego, który w r. 1857 ogłosił kurator okręgu naukowego wileńskiego, i uzyskał posadę nauczyciela gimnazyum w Wilnie. Od r. 1864 nauczał w Piotrkowie, a od r. 1867 do 1889 w gimnazyum III-ém w Warszawie, wykładając język polski. Następnie był nauczycielem tegoż przedmiotu w szkole technicznéj drogi żelaznéj terespolskiéj i w szkole realnéj W. Górskiego. Zawód piśmienniczy rozpoczął w r. 1858 w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych“, opisując jubileusz d-ra J. Kowalskiego i jego stosunek z Mickiewiczem. Następnie przez cały czas redagowania „Gazety Codziennéj“ (potém Polskiéj) przez Kraszewskiego, był w niéj stałym korespondentem z Wilna; dużo téż pisywał w „Gazecie Warszawskiéj“, jak np. liczne wrażenia z wycieczek letnich, a zwłaszcza z Krynicy; tam także prowadził polemikę z A. A. Kryńskim. W „Bibliotece Warszawskiéj“ od r. 1869 pomieścił dużo ocen krytycznych, dotyczących gramatyki lub dziejów literatury polskiéj. W r. 1870 wydrukował artykuł p. t. „Kalevipoëg, epos estoński“; w r. 1872-im rozprawę o „J. A. Komeńskim“ (w „Szkole“ i osobno); w „Tygodni-

ku ilustrowanym“ drukował: „Jan i Jerzy Forsterowie“ podług nieznanych notat A. F. Adamowicza; „Aleksander Zdanowicz“, „Dzieje obserwatoryum wileńskiego“, „Pińsk i Pińszczyzna“; w „Kłosach“: „Oświata ludowa w Galicyi“, „Osuszanie błot Polesia“, „Życiorys Kazimierza Szlagiera“, nauczyciela, niegdyś dyrektora teatru w Wilnie; w „Muzeum“: „Projekt nowego opracowania Pana Tadeusza“, „Stanowisko korepetytora w dziejach szkolnictwa polskiego“; w „Tygodniku Powszechnym“: „Ideały i karykatury pedagogiczne“; w „Roli“: „Antypasty krytyczne“; w „Biesiadzie literackiéj“: Wspomnienie o A. H. Kirborze, życiorys prof. Piotra Skrzypińskiego i prof. Kassyanowicza. W „Ateneum“ drukował studyum o Ryszardzie Berwińskim, które téż wydał osobno. Prócz tego w odzielnych książkach wyszły: „Teorya poezyi w związku z jéj historyą“ (Warsz., 1867), „Nauka poezyi wobec sądu krytyków warszawskich“ (Warsz., 1868) treści polemicznéj, „Wypisy polskie“, trzy części w 4 tomach. Obecnie drukuje się jego studyum o Kornelu Ujejskim. Umarł po paromiesięcznéj chorobie w Warszawie 4 lipca r. b.

† **Malwina Ogonowska**, wykładająca w uniwersytecie bolońskim literatury słowiańskie, znana z rozprawy o Zygmuncie Krasińskim, zmarła w Bolonii w początkach lipca.

† **Franciszek Duchiński**, etnograf i historyk, zmarł w Paryżu 14 lipca, przeżywszy lat 77.



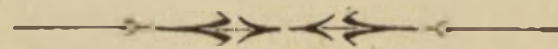
Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Іюля 1893 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

1. **Badania z historyozofii.** Część IV. Z jedną tablicą rysunków. Przez *Tadeusza Chrzanowskiego.* Warsz., 1892, 8-vo, str. 84.
2. **Cesarz Tyberyusz** przez *Kazimierza Morawskiego.* Petersb. skład główny w księgarni Br. Rymowicz, 1893, 8-vo, str. 69.
3. *Rudgard Kipling.* **Nowele**. Petersb. nakł. księg. Br. Rymowicz, 1893 8-vo, str. 60.
4. **Napoleon III i Włochy** przez *Henryka Lisickiego.* Petersb. nakł. księgarni Br. Rymowicz, 8-vo, str. 190.
5. **Stosunek psałterza** przekładania Jana Kochanowskiego do Paraphrasis psalmorum Jerzego Buchanana napisał *Antoni Sienicki.* Sambor druk Schwarza i Trojana, 1893, 8-vo, str. 65.
6. **Słownik gieograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów Słowiańskich, pod redak. *Br. Chlebowskiego.* T. XII, zeszyt 144, (str. 881—960)
7. *Henryk Gliński.* **Pogadanka o teatrze 1892 — 1893 r.** Petersbu 1893, 8-vo, str. 200.
8. **Książe „Panie Kochanku"** w świetle własnej korespondencyi. Studyum *Jerzego Mycielskiego.* Petersb. skład gł. w księgarni Br. Rymowicz 1891, 8-vo, str. 146.



Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one donioslością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

